Edwin Bendyk

BUNT SIECI

BIBLIOTEKA POLITYKI

Edwin Bendyk

BUNT SIECI

BIBLIOTEKA POLITYKI

BIBLIOTEKA POLITYKI
Tytuł: Bunt Sieci
Copyright © by Edwin Bendyk, 2012
Copyright © by POLITYKA SP, 2012

Redakcja: Andrzej Gorzym
Koordynator projektu: Piotr Zmelonek

Opracowanie graficzne: Janusz Fajto
Korekta: zespół

Zdjęcie na okładce: © Khanh Renaud/SIPA/East News

Wydawca: Polityka Spółdzielnia Pracy
ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa
www.polityka.pl, www.sklepolityki.pl

Wydanie pierwsze, Warszawa 2012
ISBN e-booka: 978-83-62418-88-2

Świadomość przygodności losu i nieokreśloności perspektywy zmagania o wspólnotę ogólnoludzką bez wątpienia nadwyręża pewność siebie i uczestników zmagań onieśmiela. Ale może też ona zmobilizować ich do większego wysiłku. Jedną z możliwych reakcji na tę nieokreśloność jest ideologia „końca ideologii" i praktyka niezaangażowania. Inną, równie prawdopodobną, ale o wiele bardziej obiecującą reakcją na stan niepewności jest nabranie przeświadczenia, że poszukiwanie powszechnego człowieczeństwa i praktyczne działania, jakich ono wymaga, nie były w żadnej innej epoce równie konieczne i pilne jak w naszej.

Zygmunt Bauman, *Kultura w płynnej nowoczesności*, 2011

Widzę dwa możliwe wyjścia z kryzysu: pierwsze, przez katastrofę, przynajmniej w Europie. Drugie, przez wynalezienie nowego życia społecznego, nie opartego już tylko na redystrybucji dochodu narodowego, lecz na afirmacji obrony praw uniwersalnych człowieka jako jedynej możliwej broni przeciwko triumfalizmowi zglobalizowanej gospodarki.

Alain Touraine, *Aprèes la crise*, 2010

Przyjaciołom, uczestnikom Ruchu Społecznego Obywatele Kultury

O „Buncie sieci”

„Bunt Sieci” powstał zainspirowany protestami przeciwko porozumieniu ACTA, choć tematy w nim poruszane zajmują mnie od wielu lat. Oczywiście, nie wiedziałem, że w styczniu 2012 r. dojdzie do masowych wystąpień. Obserwując jednak przemiany społeczne i kulturowe w Polsce i na świecie często zadawałem, również podczas publicznych wystąpień, pytania o to, jak nowe formy uczestnictwa w kulturze, które umożliwia m.in. Internet, mogą przełożyć się na nowe formy mobilizacji społecznej i politycznej. Kwestię tę podnosiłem m.in. 1 grudnia 2011 r. podczas inauguracji Poznańskiego Kongresu Kultury, w trakcie wykładu o nowych formach uczestnictwa w kulturze i demokracji.

Pytanie o możliwość zrywu znalazło szybko odpowiedź. Nikt nie przewidział skali i intensywności manifestacji organizowanych głównie przez ludzi młodych o różnych przekonaniach politycznych, o różnym statusie społecznym, mieszkających w miastach dużych i małych. To pierwsza taka mobilizacja w III Rzeczpospolitej. Nie jest to jednak pierwszy przykład „zmowy obywatelskiej” przeciwko polityce złej jakości i kiepskiemu zarządzaniu różnymi sferami życia w Polsce. Wyrażają się w nich po prostu kolejne przejawy Buntu Sieci, buntu nowego sieciowego społeczeństwa przeciwko starym, niewydolnym strukturom państwa tkwiącego ciągle w XX, a nawet i w XIX wieku.

Protest przeciwko ACTA przyspieszył pracę nad „Buntem Sieci”. Zdecydowałem, że przygotuję książkę będącą kroniką trwającej po cichu i przybierającej na sile rewolucji.

Gorącą analizę tego, co wydarzyło się na przełomie stycznia i lutego (część I książki, „Wirtualna wojna

domowa”), uzupełniam tekstami, jakie powstały w związku z projektem „Buntu Sieci” w ciągu ostatnich kilku lat (część II, „Wyznania kogniwojażera”). Dokumentują one przemiany w różnych sferach życia – zestawione razem pozwalają nie tylko odczuć ich klimat, lecz także odsłaniają procesy *in statu nascendi*, jakby to powiedzieli chemicy.

„Czy Polska przetrwa do 2030 roku?” – to kluczowe pytanie książki. Oczywiście pytanie to nie jest prognozą, lecz zachętą do refleksji nad światem, w którym najważniejsze role odgrywać będą dzisiejsi protestujący na ulicach polskich miast. Co zrobić, by nie zmarnować ich energii i umiejętności?

Zapraszam do lektury i wspólnego poszukiwania odpowiedzi. „Buntowi Sieci” towarzyszy dostępna w Internecie książka „Zatruta studnia. Rzecz o władzy i wolności” (www.buntsieci.pl). Powstała dekadę temu, lecz najważniejsze jej wnioski dotyczące delegitymizacji starego ładu i kryzysu zaufania nie straciły na aktualności. Pod adresem www.buntsieci.pl znajdziesz także drogi Czytelniku odniesienia do źródeł bibliograficznych, wyniki najnowszych badań i świeże doniesienia z frontów wirtualnej wojny domowej.

*

Autor książki jest jeden, nie działa jednak sam, korzystając chętnie i obficie z wiedzy i pomocy innych. Dziękuję wszystkim, biorąc wszakże całą odpowiedzialność za sposób, w jaki ich życzliwość wykorzystałem. Szczególne i odrębne podziękowania dla redakcji „Polityki” i jej kierownictwa za to, że karkołomny pomysł wydania tej książki poparła, Piotrowi Zmelonkowi za to, że w rekordowym czasie uruchomił machinę produkcyjną, a Andrzejowi Gorzymowi, redaktorowi tomu, za to, że pomógł nadać książce właściwy kształt. W końcu jednak nic by się nie udało bez wsparcia rodziny, która dzielnie znosiła

faktyczną nieobecność ojca i męża oraz pomagała w chwilach zwątpienia.

Prolog

– *Hakerzy zaatakowali rządowe strony, potrzebny komentarz!* – esemes z redakcji przerwał leniwą rutynę sobotniego popołudnia. Rzeczywiście, witryny Sejmu, Kancelarii Premiera, Ministerstwa Kultury albo były zupełnie niedostępne, albo pozwalały na chwilowy kontakt, by szybko zniknąć w czeluściach cyberprzestrzeni. Co się dzieje?

Gorączkowe poszukiwania informacji w Internecie i u „dobrze poinformowanych źródeł" niewiele wyjaśniały. Niewykluczone, że w przypadku witryny Sejmu na początku powodem zablokowania dostępu mogła być zwykła awaria. I prawdopodobne, że adres Ministerstwa Kultury zatkał się, bo administrator nie przewidział, że kiedykolwiek witryna resortu spotka się z tak dużym zainteresowaniem i w ramach oszczędności ustawił próg maksymalnego obciążenia.

Kiedy jednak z sieci zaczęły znikać kolejne adresy i oprócz Sejmu do grona „wyłączonych cyfrowo" dołączył prezydent, Centralne Biuro Śledcze, a nawet CERT, czyli internetowa policja odpowiedzialna za bezpieczeństwo rządowej domeny, stało się jasne, że do akcji wkroczyli hakerzy. Rozpoczął się zmasowany atak na infrastrukturę informacyjną polskiego państwa. Słynny kolektyw Anonymous, tajna hakerska międzynarodówka zajmująca się atakowaniem z przyczyn politycznych sieciowych celów na całym świecie, zakomunikował w swym kanale na Twitterze: „Sejm.gov.pl – tango down", znaczy – zadanie wykonane. Zabawa z bezradną władzą miała trwać jeszcze kilka dni.

Paweł Graś, rzecznik rządu wyrwany z weekendowego wywczasu, tłumaczył nieporadnie, że za internetowymi

kłopotami władzy stało nadmierne zainteresowanie społeczeństwa treściami publikowanymi w rządowych witrynach. Hakerzy pojawili się później. Generał Stanisław Koziej, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, przypomniał ustawy umożliwiające wprowadzenie stanu wyjątkowego w sytuacji zagrożenia cybernetycznego.

Te wizje nie ostudziły jednak emocji. Przeciwnie, napięcie rosło, ofiarą ataku padł komputer Igora Ostrowskiego, wiceministra administracji i cyfryzacji. Anonymous opublikował zaś informację, że mają dostęp do plików osób publicznych i nie zawahają się ich upublicznić. We wtorek 24 stycznia 2012 r. akcja miała się rozszerzyć z Internetu na ulicę. I rozszerzyła. „Kto nie skacze, ten za ACTA!” skandowali uczestnicy manifestacji. W Warszawie przed przedstawicielstwem Unii Europejskiej zebrały się tysiące demonstrantów. Setki we Wrocławiu. Podczas kolejnych dni, mimo silnych mrozów, manifestacje zgromadziły w dziesiątkach polskich miast – od Gdańska przez Olsztyn, Warszawę, Kielce, po Tarnów – rzesze protestujących. Czegoś takiego nie było od upadku komuny.

Formalny powód gniewu łatwo ustalić – ACTA. Kto jednak, choćby w piątek, poza ekspertami i aktywistami wiedział, co znaczy ten akronim? Kogo obchodziła międzynarodowa umowa handlowa dotycząca zwalczania obrotu towarami podrabianymi? To jednak właśnie transparenty „Stop ACTA” zgromadziły tłumy, przeważnie młodych ludzi. Ale ich nastrój o wiele lepiej oddawało inne hasło, z graficznego komentarza Marka Raczkowskiego. Bohaterowie jego rysunkowej manifestacji zgromadzili się pod hasłem „K…wa mać!”, które potem także trafiło na prawdziwe transparenty. Bardziej elegancko stan ducha protestujących wyraził jeden z warszawskich licealistów, gdy go zapytałem, dlaczego właśnie ACTA tak ich poruszyła, choć kilka miesięcy wcześniejsze próby zainicjowania w Polsce ruchu Oburzonych spełzły na

niczym? Licealista stwierdził, że po prostu czara goryczy się przepełniła, sprawa ACTA okazała się decydującą kroplą.

Skala i intensywność manifestacji zaskoczyła wszystkich, nie wyłączając samych ich uczestników. Politycy, zarówno z obozu władzy, jak i partii opozycyjnych, odkryli z przerażeniem, że mają do czynienia z podmiotem, którego nie rozumieją, z którym nie mają żadnego kontaktu, a który nieoczekiwanie urósł w siłę. O co chodzi? Pytał zdezorientowany premier, a jego ministrowie udzielali sprzecznych odpowiedzi, każdego dnia zmieniając zdanie. Podobnie zmieniała się taktyka Donalda Tuska – kolejne przeobrażenia premiera wobec Buntu Sieci można w skrócie opisać trójczłonowym procesem metamorfozy: surowy ojciec, zagubiony w lesie, neofita. Jeszcze 24 stycznia premier stanowczo twierdził, że nie ulegnie szantażowi, dwa tygodnie później, 6 lutego, podczas ponadsiedmiogodzinnej debaty w swojej kancelarii pytał: Powiedzcie mi, o co chodzi?, by w końcu 17 lutego przyznać: Wiedziałem zbyt mało, rząd wycofuje poparcie dla ACTA, zgadzam się z krytykami tego porozumienia.

Dynamika szalona, choć doskonale wpisuje się w scenariusze innych ponowoczesnych rewolucji. Podobny przebieg miało powstanie Zapatystów w meksykańskim stanie Chiapas w 1994 r., nazwane pierwszą postmodernistyczną rewoltą. Przypomnijmy: 1 stycznia 1994 r. w życie wchodziło porozumienie NAFTA łączące Kanadę, Stany Zjednoczone i Meksyk wspólnymi regułami wymiany handlowej. Indianie z Chiapas ze swym barwnym liderem, subcommandante Marcosem, ruszyli na San Cristobal i inne miasta stanu w obronie swoich praw i tradycyjnego stylu życia oraz gospodarowania, opartego m.in. na wspólnotowej własności ziemi.

Rząd odpowiedział wysyłając armię, Indianie wycofali się w góry, by prowadzić z ukrycia kampanię polityczną. Po

dwóch tygodniach rząd wysłał negocjatorów, by ustalić warunku porozumienia. Zapatyści wygrali, bo dzięki umiejętnemu wykorzystaniu mediów zdołali zmobilizować w swojej sprawie światową opinię publiczną. Ta zaś, dzięki rozwojowi nowych mediów, m.in. raczkującemu wówczas Internetowi, miała nowe narzędzia oddziaływania na rzeczywistość polityczną.

Manuel Castells, wybitny badacz społeczeństwa sieciowego, wyjaśniał, że został złamany monopol legalnej władzy na informację i wiedzę. Równolegle do mediów kontrolowanych przez rząd meksykański zaczęły nadawać inne ośrodki: sami Zapatyści, media związane z Kościołem katolickim, do komunikacji włączyli się prominentni aktywiści, z Olivierem Stonem na czele. Władza straciła kontrolę nad procesem komunikacyjnym, tym samym straciła możliwość kształtowania dominującego stanu świadomości na temat zachodzących wydarzeń. W rezultacie straciła legitymację dla swych działań i musiała przyznać się do politycznej porażki.

Zapatyści wygrali nie dlatego jednak, że mieli rację, tylko dlatego, że skutecznie zdołali zdelegitymizować racje władzy. Czy w zamian powstał polityczny kontrprojekt, równie monolityczny, jak wcześniejszy projekt władzy? Nie, Zapatyści wygrali, lecz nie przejęli władzy, osiągnęli jednak swój cel, tworząc przy okazji nowy model rewolty na czasy sieci. Model udoskonalony w kolejnych latach przez zryw protestów alterglobalistycznych, począwszy od spektakularnego Buntu Sieci N30 w Seattle w 1999r. (N30, czyli 30 listopada). Najbardziej charakterystycznym aspektem N30 okazało się zgodne współdziałanie środowisk, które na co dzień są w konflikcie interesów. Przeciwko szczytowi Światowej Organizacji Handlu protestowali ramię w ramię związkowcy broniący miejsc pracy i organizacje broniące praw imigrantów. Podstawowe tożsamości uczestników protestu zostały jednak na czas

walki zawieszone, by uzyskać cel nadrzędny, zablokować prace WHO mające doprowadzić do dalszej deregulacji przepisów o międzynarodowym handlu i inwestycjach.

Polska długo czekała na własny Bunt Sieci. Zobaczmy, jak do niego doszło. Po jednej stronie stoi władza i establishment przywykły do codziennej rutyny politycznego zarządzania społeczeństwem. Pilnuje, żeby nie zabrakło ciepłej wody, kupuje przywilejami spokój najlepiej zorganizowanych grup zdolnych do występowania w obronie swoich interesów i stara się nie męczyć społeczeństwa udziałem w podejmowaniu decyzji, zostawiając trud zawodowcom wspieranym przez ekspertów.

Wybory odbywają się regularnie, nie ma problemu z sukcesją władzy nawet po tak dramatycznych wydarzeniach jak katastrofa 10 kwietnia 2010 r. Mimo tragicznej śmierci nominalnie najważniejszych osób w państwie, nic się w istocie nie wydarzyło. Mobilizacja oparta na smoleńskiej tragedii nie przyniosła wielkich rezultatów. Alternatywne społeczeństwo wolnych Polaków okazało się politycznie bezpłodne. Trudno o lepszy dowód na postpolityczność i przyzwolenie na technokratyczny model modernizacji i rządzenia.

Tymczasem nieoczekiwanie naprzeciw technokratycznej władzy stanął podmiot, którego eksperci nie zauważyli, a politycy nie wyczuli. Ich radary zasilane nieustannie paliwem badań opinii i sondażami nie dostrzegły, że procesy zachodzące dotychczas w niszach, na marginesach głównego nurtu życia społecznego, gospodarczego, kultury zaczynają pączkować, nabierać siły.

Równolegle do zmian społecznych zmienia się kluczowa infrastruktura. Niepostrzeżenie okazało się, że dla coraz większej części Polaków ważniejsze od autostrad są infostrady. By zainicjować wybuch, wystarczyła niewielka iskra, majstrowanie przy temacie zdaniem rządowych

ekspertów nieważnym wobec prawdziwych wyzwań jak służba zdrowia czy reforma systemu emerytalnego.

To jednak ten nieistotny temat, jakieś tam międzynarodowe porozumienie handlowe, wywołało gniew, który, jak w filmie „V jak vendetta” braci Wachowskich wyprowadził niezadowolonych na ulice, gdzie przekonali się, że ze sprywatyzowanych jednostek zamieniają się w podmiot zbiorowy, działający razem mimo braku formalnego przywództwa. Zebrali się pod sztandarem, na którym napisali „Chcemy wolnego Internetu, chcemy wolnego dostępu do kultury, chcemy wolnego dostępu do wiedzy”. Czyżby to było ważniejsze niż chleb i sprawiedliwość, o którą walczyli rewolucjoniści wcześniejszych epok i walczą Oburzeni na Zachodzie, nie mogąc znieść, że 1 proc. najbogatszych ma tyle co reszta?

Kim są buntownicy z polskich ulic? Potomkami Karola Marksa walczącymi o cyberkomunizm i zniesienie własności, czy może raczej epigonami neoliberalizmu, dziećmi Leszka Balcerowicza pragnącymi uwolnienia energii prywatnych jednostek od zbędnych ograniczeń nakładanych przez instytucje państwa, którym nie można ufać? A może ponowoczesnymi wyznawcami idei narodowej, mobilizującymi się na hasło Internet, Honor, Ojczyzna? Jak wytłumaczyć populistyczny ruch, skoro za sztandarowymi hasłami nie stoi charyzmatyczny przywódca, niezbędne ucieleśnienie tych haseł, by ruch osiągnął polityczne znaczenie i nie okazał się jedynie rodzajem flashmobu?

Próby podłączenia się politycznych osobowości, by wspomnieć nieudany występ Janusza Palikota na jednej z warszawskich manifestacji, spełzły na niczym. Owszem, pojawili się poeci rewolucji, jak Piotr Czerski, autor słynnego już manifestu „My, Dzieci Sieci”, wodzów ciągle jednak brakuje. A może na tym polega ponowoczesność, że władzę sprawują dyskursy, a nie realni ludzie?

Wyobraźmy sobie Donalda Tuska na początku całej awantury. Prace nad ACTA, jednym z wielu porozumień i ustaleń międzynarodowych, jakimi rząd zajmuje się każdego roku, postępują bez przeszkód. Pieczę nad nimi sprawuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Formalnie jednak stroną w negocjacjach międzynarodowych jest Komisja Europejska negocjująca w imieniu Unii Europejskiej i zrzeszonych w niej państw. To właśnie MKiDN złożyło 16 listopada 2011 r. wniosek, by rząd wyraził zgodę na podpisanie ACTA. Zgodnie z regulaminem, Rada Ministrów może nad tego typu sprawami pracować w trybie obiegowym. Jak wiadomo, po wyborach ministrowie nie mają czasu zajmować się analizą dokumentu, na który i tak przecież nie mają wpływu. Rząd zezwala zatem na podpisanie ACTA odpowiednią uchwałą z 26 listopada. W połowie grudnia, u schyłku polskiej prezydencji, sprawę finalizuje Rada Unii Europejskiej, przyjmując porozumienie. Nadszedł czas na podpisywanie dokumentu przez sygnatariuszy, a potem na proces ratyfikacyjny.

Sprawa wydaje się na tyle oczywista, że podczas spotkania 19 stycznia 2012 r. z przedstawicielami Grupy Dialog rząd informuje

o decyzji dotyczącej podpisania ACTA. Tę Grupę tworzą reprezentanci środowisk związanych z Internetem: organizacji pozarządowych, jak Fundacja Panoptykon i Fundacja Nowoczesna Polska; eksperci, jak Piotr VaGla Waglowski; organizacje branżowe, jak Polska Izba Informatyki i Telekomunikacji. Przedstawiciele strony społecznej co najmniej się zdziwili, gdyż od dłuższego czasu przekazywali informacje i opinie, że ACTA stwarza zagrożenie dla podstawowych praw i wolności, należy więc wstrzymać się z przyjęciem porozumienia przez Polskę.

Rząd jednak na uwagi Grupy Dialog nie odpowiedział, wszak minister kultury zapewnił, że konsultacje społeczne miały miejsce i ich uczestnikom projekt porozumienia się podobał. Z kolei Ministerstwo Gospodarki, które w ramach prezydencji kierowało pracami nad ACTA na poziomie unijnym, uznało przyjęcie porozumienia przez Radę Unii Europejskiej za spektakularny sukces polskiego przywództwa w UE. Jak później stwierdził premier: istniały wszystkie przesłanki, by uznać, że prace nad ACTA przebiegły jak należy i doprowadziły do prawidłowej decyzji, zgodnej zresztą ze stanowiskiem innych demokratycznych państw-stron porozumienia.

Kalkulacja wydawała się prosta: po jednej stronie kontekst międzynarodowy i zgodne stanowisko najważniejszych sojuszników Polski: Stanów Zjednoczonych, Komisji Europejskiej, Japonii. Na froncie wewnętrznym brak sygnałów ze strony opozycji, że temat może wywołać polityczną burzę oraz pełna zgoda na ACTA istotnych grup interesu. Do tego brak jakiegokolwiek zainteresowania opinii publicznej i mediów. W takiej sytuacji mamrotanie jakiejś Grupy Dialog nie mogło zrobić wielkiego wrażenia na poważnym rządzie. I trudno odmówić przedstawicielom władzy racji.

Racje z 19 stycznia jednak szybko utraciły ważność wobec wydarzeń z kolejnych dni. Po niefortunnym spotkaniu rządu z Grupą Dialog jej przedstawiciele wezwali do protestu. Doskonałą inspiracją stał się strajk Internetu w Stanach Zjednoczonych 18 stycznia. Amerykańscy internauci i firmy internetowe wystąpiły przeciwko projektom dwóch antypirackich ustaw – PIPA i SOPA, które miały zaostrzyć walkę z nielegalnym obrotem treściami. Zdaniem protestujących, drakońskie przepisy tych ustaw grożą wprowadzeniem nieformalnej cenzury, ograniczają prawo do prywatności i krępują swobodę działalności gospodarczej firm internetowych.

Spektakularnym wyrazem gniewu internautów stała się akcja angielskojęzycznej Wikipedii, która na 24 godziny zamknęła dostęp do swych zasobów, wyświetlając czarny ekran z napisem: „Czy wyobrażasz sobie świat bez wolnego dostępu do wiedzy?”.

Strajk Internetu uświadomił amerykańskim politykom, że nastąpiła wyraźna rekonfiguracja sił. Zwarty dotychczas front *copyright industries* (przemysłów praw autorskich), skupiający wytwórców treści od studiów filmowych, przez producentów muzyki – po wytwórców oprogramowania komputerowego, podzielił się. W uproszczeniu: po jednej stronie stanęło Hollywood, po drugiej zaś Krzemowa Dolina wsparta na dodatek milionami internautów. Politycy dostrzegli, że protest nie jest tylko okazjonalnym buntem, lecz wyraża głębszą zmianę w grze interesów i rozkładzie politycznych emocji. Prace nad SOPA i PIPA z dnia na dzień wytraciły impet.

Stany Zjednoczone są jednak krajem awangardowym, o gospodarce opartej w olbrzymiej mierze na oryginalnej własności intelektualnej, w której same wspomniane copyright industries wytwarzają 1,6 bln dol. rocznie, a więc 11,1 proc. PKB! Polska ulokowana raczej na gospodarczych peryferiach nie wydawała się krajem, w którym kwestie własności intelektualnej mogą budzić społeczne emocje. Rzeczywiście, temat ACTA zajmował przedstawicieli Grupy Dialog, poza nimi mało kto jednak wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Dlatego kiedy w sobotę 21 stycznia serwery władzy zaczęły odmawiać posłuszeństwa, trudno było od razu o jednoznaczną ocenę: czy to już bunt i wynikające z niego celowe ataki na infrastrukturę, czy jedynie niewydolność techniczna? Trudno się bowiem dziwić, że „zatkała” się witryna Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Administrator opublikował na niej plik z polską wersją porozumienia ACTA w wersji faksimile. Powstał dokument o wielkości blisko 25 MB. Gdy

o ACTA zaczęto mówić, zwiększyło się zainteresowanie plikiem, niestety administrator ograniczył próg obsługiwanego ruchu. Recepta na awarię gotowa, nie trzeba hakera wobec samohakerskich zdolności resortu kultury.

Im dalej w noc, tym bardziej polski Internet się rozgrzewał, przyciągając także zainteresowanie sojuszników, jak choćby słynny kolektyw Anonymous. Tajna międzynarodówka hakerska postanowiła wspomóc protest przeciwko ACTA, planując ataki na kolejne witryny. Które „wyłączenia" były rzeczywiście dziełem Anonymous, które rodzimych amatorów, a które pochodziły ze strony obcych służb specjalnych korzystających z okazji, by sprawdzić polską infrastrukturę teleinformatyczną, nigdy się nie dowiemy.

Ciekawsza i ważniejsza jest analiza dyskursu wokół ataków analizowanych jako forma obywatelskiego protestu. Czy blokowanie witryn rządowych to odpowiednik demonstracji ulicznych i pikietowania urzędów publicznych? Czy też może pójście na łatwiznę, forma slacktywizmu, czyli działania niewymagającego wielkiego wysiłku, spektakularnego, lecz też bardzo pozornego? Pikieta wymaga zgromadzenia konkretnych ludzi, do ataku typu DDoS wystarczy botnet – sieć poddanych hakerskiej kontroli komputerów. Czy taki atak rzeczywiście wyraża polityczną wolę i podmiotowość, czy bliższy jest logice działania terrorystycznego?

Do dyskusji z wdziękiem słonia wkroczył rzecznik rządu Paweł Graś, nieskładnie tłumacząc, co się stało. Precyzyjniejszy starał się być generał Stanisław Koziej, analizujący różne stopnie cybernetycznego zagrożenia, od właśnie dopuszczalnego w demokracji haktywizmu jako formy obywatelskiego protestu – przez zwykłe akty przestępcze, do których należy zaliczyć włamania do witryn – i w końcu cyberterroryzm polegający na celowych

atakach na krytyczną infrastrukturę państwa. Przy okazji szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego pochwalił swojego szefa, stwierdzając, że już jesienią prezydent podpisał ustawę zmieniającą przepisy o stanie wyjątkowym. W efekcie Polska jest w pełni gotowa, by stawić czoła cyberniebezpieczeństwom.

Rząd i premier musieli tymczasem ocenić, czy mają po prostu do czynienia ze zgrywą, która psuje wizerunek, lecz nie grozi kryzysem politycznym, czy też może chodzi o coś poważniejszego. Tropy wskazują, że pierwsze dni afery wokół ACTA polegały na zarządzaniu kryzysem wizerunkowym metodami PR. Rząd po prostu zlekceważył zagrożenie, a premier, jak zwykle w takich sytuacjach, postanowił nałożyć maskę surowego ojca panującego nad sytuacją.

Pretekstu dostarczyły incydenty z włamaniami na witryny oraz do komputera Igora Ostrowskiego, wiceministra administracji i cyfryzacji. Towarzyszył im komunikat w Twitterze na kanale należącym do Anonymous: jeśli rząd nie zrezygnuje z podpisania ACTA, ujawnione zostaną pliki należące do osób pełniących funkcje publiczne. Premier oświadczył, że nie ulegnie szantażowi i porozumienie zostanie podpisane zgodnie z planem, czyli 26 stycznia w Tokio. Jednocześnie trwała niespójna kampania informacyjna w mediach głównego nurtu: gdy Michał Boni, minister administracji i cyfryzacji, przepraszał za niedostatek konsultacji społecznych, Bogdan Zdrojewski, minister kultury, przekonywał, że procesowi konsultacji nie można niczego zarzucić.

Trudno też było wydobyć jednolitą argumentację rządu uzasadniającą podpisanie ACTA oraz odnoszącą się do uwag Grupy Dialog, a także wątpliwości wniesionych już po wybuchu afery przez głównego inspektora ochrony danych osobowych oraz rzecznika praw obywatelskich. Informacyjnemu chaosowi ujawniającemu, że brak głębszej

rządowej refleksji nad tematem, którym przez większość czasu zajmował się po prostu urzędnik średniego szczebla resortu kultury, towarzyszyła zdumiewająca niekompetencja, jeśli chodzi o działania w sieci – najważniejszej przestrzeni starcia.

W przeddzień podpisania ACTA okazało się, że rządowi piarowcy postanowili poprawić wizerunek swego mocodawcy i usunęli z fanpage'u Kancelarii Premiera tysiące nieprzychylnych komentarzy. Prosty zabieg cenzorski, łamiący podstawowe reguły sieciowej etykiety, okazał się nie dość, że nieelegancki, to jeszcze całkowicie nieskuteczny. W Internecie nic nie ginie, nie przepadły więc też komentarze zgromadzone przez serwis Fanpage Trender, zajmujący się analizami aktywności w Facebooku.

To właśnie blog Fanpage Trendera ujawnił nie tylko skalę cenzury, lecz także kłamstwa przedstawicieli rządu. Wbrew temu, co mówił sam premier, wśród skasowanych wypowiedzi internautów jedynie 1,49 proc. zawierało wulgaryzmy, które tak bardzo wstrząsnęły wrażliwością szefa rządu. Większość pozostałych wpisów nie była może zbyt odkrywcza, a wypowiedzi się powtarzały, lecz analiza ekspercka pokazuje, że powtórzenia nie wynikały ze spamu. Badacze z Fanpage Trendera stwierdzili przy okazji, że autorzy 79 proc. skasowanych uwag to mężczyźni.

Najwyraźniej jednak premier przyjął taktykę „przewiezienia" tematu do 26 stycznia, licząc, że po podpisaniu porozumienia w Tokio energia powoli wygaśnie w zderzeniu z nieubłaganą wymową faktów i nieustępliwością władzy. Stało się odwrotnie. Owszem, wygasły operacje haktywistyczne i hakerskie, bo gniew wylał się na ulice i to w natężeniu nieznanym od początku pokomunistycznej transformacji.

Stanęli obok siebie ci, co jeszcze 11 listopada byli po dwóch stronach barykady – środowiska kibiców, narodowcy i lewica wszystkich odcieni. Jeśli rywalizowali, to raczej

o to, kto pierwszy zarejestruje zgromadzenie w odpowiednim urzędzie, by wszystko odbywało się lege artis. Poza nielicznymi wyjątkami nie widać było przemocy, której potencjał ujawniły latem 2011 r. ulice Londynu. Socjologowie z Zespołu Analiz Ruchów Społecznych dziwili się, że zdominowany przez młodych ruch był tak mało młodzieżowy, a tak bardzo po dorosłemu racjonalny i zdolny do samoograniczenia. Faktem jednak pozostaje, że drobny kryzys komunikacyjny przekształcił się w pełnowymiarowy kryzys polityczny. Co gorsza, kryzys nowego rodzaju, jakim nie sposób zarządzać starymi, wypróbowanymi metodami.

Tydzień po podpisaniu ACTA upłynął na gorączkowym poszukiwaniu rozwiązań, które doprowadziły Donalda Tuska w piątek, 3 lutego, do oświadczenia, że wstrzymuje ratyfikację ACTA. Wydawałoby się, że gest w kierunku rozejmu, a jednak znaczna część protestujących odebrała go inaczej. Uczestnicy Improwizowanego Kongresu Wolnego Internetu zwołanego w Warszawie 4–5 lutego uznali, że deklaracji premiera nie można ufać. Wszak rząd ponosi odpowiedzialność za podpis pod porozumieniem, ratyfikacja zaś należy do Sejmu. Czyżby premier reprezentował także wolę władzy ustawodawczej? By dać pełny wyraz tej nieufności, Kongres przyjął uchwałę, że jego uczestnicy nie wezmą bezpośredniego udziału w debacie 6 lutego, zwołanej w Kancelarii Premiera.

Debata jednak się odbyła, a kto ją przeżył, uczestniczył w wydarzeniu historycznym, jeśli z pokorą uznać, że historia nie tylko w powtórzeniu, lecz już za pierwszym razem przypomina farsę. Jeszcze zanim spotkanie się rozpoczęło, wiadomo było, że nie przyniesie oczekiwanego skutku. Oto bowiem z jednej strony siedli przedstawiciele władzy i zobaczyli z przerażeniem, że nie wiedzą, z kim mają do czynienia po przeciwnej stronie.

Niektórych uczestników rozpoznawali: tu przyjaźnie machał ręką Zbigniew Hołdys, tam wiceprezes ZAiKS

Michał Komar, między nimi jednak jakiś facet w garniturze i sandałach na bosych stopach mimo piętnastopniowego mrozu na dworze, a za nim wielu podobnych w garniturach i bez, w kolorowych czapeczkach, z kitkami lub na łyso.

Każda minuta spotkania ujawniała również, że całe to wymieszane towarzystwo nie tworzy nawet wierzchołka góry lodowej, że prawdziwa reprezentacja cyfrowego świata to wielość, która uczestniczy w dyskusji za pośrednictwem sieci. Po pierwszej godzinie wiadomo już było, że, jak w greckiej tragedii, pomysł na „rozmowę z internautami" zmierza do katastrofy. Po 7 godzinach spektaklu wszyscy już byli tak wykończeni, że zapomniano o katharsis. Mimo to dobrze, że spotkanie doszło do skutku. Premier miał okazję zapytać, o co tak naprawdę chodzi? Czy rzeczywiście porozumienie ACTA wywołało kryzys, czy też stało się jedynie pretekstem do eksplozji zasilanej znacznie głębszymi korzeniami? Czy styczniowe bunty to zapowiedź rewolucji, czy tylko karnawałowe zawieszenie ładu społecznego, kiedy tłum na chwilę przejmuje inicjatywę, a gdy już spontaniczny wybuch energii się wyczerpie, wszystko wraca do starego porządku?

Część I **Wirtualna wojna domowa**

Społeczeństwa informacyjne na całym świecie mają pewne wspólne cechy strukturalne: zasadzają się na generowaniu wiedzy oraz przetwarzaniu informacji za pomocą technologii informacyjnych opartych na mikroelektronice. Są one zorganizowane w sieci, a ich centralne czynności powiązane są w sieć na skalę globalną, operują zaś, dzięki infrastrukturze telekomunikacyjnej oraz transportowej, jako jednostka w czasie rzeczywistym. Ta społeczno-technologiczna struktura rozwija się i upowszechnia dzięki lepszym możliwościom działania, stopniowo marginalizując konkurencyjne formy organizacyjne z epoki przemysłowej, które oparte są na wertykalnych, mniej elastycznych formach zarządzania i działania.

Manuel Castells, Pekka Himanen,
Społeczeństwo informacyjne i państwo dobrobytu

1.0 Rewolucja. czas Manifestów

My, dzieci sieci – my, którzy dorastaliśmy z Internetem i w Internecie – *jesteśmy pokoleniem, które przyjęte kryteria tego terminu spełnia niejako na odwrót. Nie doświadczyliśmy impulsu ze strony rzeczywistości, ale przekształcenia się samej rzeczywistości; nie łączy nas wspólny, ograniczony kontekst kulturowy – ale poczucie wolności jego wyboru i samodefinicji. Pisząc te słowa mam świadomość nadużycia, jakiego dopuszczam się używając zaimka „my” – ponieważ nasze „my” jest płynne, nieostre, wedle starych kategorii: doraźne. Jeżeli piszę „my” – to znaczy: „wielu z nas” albo „niektórzy z nas”. Jeżeli piszę: „jesteśmy” – to znaczy: „bywamy”. Piszę: „my” tylko dlatego, żeby móc o nas w ogóle napisać.*

Tak zaczyna się manifest „My, Dzieci Sieci” autorstwa poety Piotra Czerskiego. Szybko został podchwycony jako główny tekst Buntu Sieci, wyrażający samoświadomość i wartości spajające uczestników protestów przeciwko ACTA. Wywołał on wielki entuzjazm wśród internautów. Tekst manifestu dostrzegły media zagraniczne, jego przesłaniem zainteresował się niemiecki „Die Zeit”, amerykański „The Atlantic”, w Internecie ukazały się jego przekłady na liczne języki: hiszpański, francuski, a nawet estoński.

Tekst ukazał się 13 lutego na łamach „Dziennika Bałtyckiego”, a więc gdy energia rewolty już wygasała. Bardziej sceptyczni obserwatorzy wydarzeń przyjęli propozycję Czerskiego z dystansem. Adam Leszczyński z „Gazety Wyborczej” uszczypliwie punktował manifest, że głosząc pochwałę wolności nie dostrzega zniewolenia, jakie niesie potęga takich korporacji jak Facebook, monetyzujących prywatność swoich użytkowników.

Wojciech Orliński, też z „Gazety”, na swym blogu kpił z rewolucyjnej arogancji autora przypisującego Dzieciom Sieci” wyjątkowe cechy i wartości, które są jednak niczym wobec heroizmu starszych pokoleń mających za sobą rok 1968:

Szczególnie głupim fragmentem wydało mi się: „nie ma w nas tej wynikającej z onieśmielenia pokornej akceptacji, jaka cechowała naszych rodziców – przekonanych o nadzwyczajnej wadze spraw urzędowych i odświętnym interakcji z państwem”. Nigdy nie było takiej akceptacji ani u mnie, ani u moich rodziców. Jestem dzieckiem studentów z 1968, więc spokojnie można założyć, że nad moją kołyską częściej padały słowa „prasa kłamie” niż „a kuku”.

Musi boleć, gdy pojawia się gówniarz mówiący „ja” zamiast „my” z komunikatem: *posuń się dziadku, zanim posuniemy ciebie.* Bo choćby chełpił się nadmiernie, to jednak daje wyraźnie do zrozumienia, że coś istotnego się zmieniło, że nawet analogiczne doświadczenia starszych pokoleń nie są już doświadczeniami pokolenia, które musi ułożyć sobie życie po swojemu korzystając z dostępnych klocków, a więc także kapitalistycznego Facebooka. Co gorsza, daje do zrozumienia, że mądrość Orlińskiego, Leszczyńskiego i wielu innych wybitnych postaci mediów głównego nurtu wcale ich nie rajcuje, podobnie zresztą jak nie robią już wrażenia źródła tej mądrości. Stanisława Lema zaś czytają za karę w ramach szkolnych lektur, a nie z zachwytem, w jaki wpadali młodzi podczas lektury trzy dekady temu.

Manifest nie jest jednak analitycznym opisem rzeczywistości, tylko tekstem próbującym uchwycić w karby narracji chaotyczne, na razie, doświadczenie, którego intensywność zaskoczyła samych zaangażowanych. Raczej nie analizuje, lecz projektuje, próbując pogodzić doznania i emocje z dostępnymi pojęciami. Ponieważ pojęć brakuje, odwołuje się także do klisz. Ot, choćby: *Wiemy, że*

potrzebne nam informacje znajdziemy w wielu miejscach, umiemy do nich dotrzeć, potrafimy ocenić ich wiarygodność. Przywykliśmy do tego, że zamiast jednej odpowiedzi znajdujemy wiele różnych – i umiemy wyabstrahować z nich wersję, która jest prawdopodobnie najsłuszniejsza, odrzucając te, które sprawiają wrażenie mało wiarygodnych. Selekcjonujemy, filtrujemy, zapamiętujemy – i jesteśmy gotowi wymienić zapamiętaną informację, kiedy pojawi się jej nowa, lepsza wersja.

Ponieważ „My, Dzieci Sieci" definiuje tożsamość nowego podmiotu w momencie jego historycznego stawania się, musi budować na różnicy: *Dorastaliśmy z siecią – i w sieci. To nas odróżnia, to czyni nieoczywistą z waszej perspektywy, ale istotną różnicę: my nie „surfujemy", a sieć nie jest dla nas „miejscem" czy „wirtualną przestrzenią". Sieć nie jest dla nas czymś zewnętrznym wobec rzeczywistości, ale jej równoprawnym elementem: niewidoczną, ale stale obecną warstwą przenikającą się z przestrzenią fizyczną.*

A dalej, prawdziwy manifest musi definiować kluczowe wartości: *Najważniejszą dla nas wartością jest wolność: słowa, dostępu do informacji, kultury. Mamy poczucie, że to dzięki tej wolności sieć jest tym, czym jest – i że obrona jej wolnościowego kształtu jest naszym obowiązkiem wobec kolejnych pokoleń, takim samym, jak ochrona środowiska naturalnego.*

Tekst Czerskiego jest świadectwem chwili i, oczywiście, można się nad nim pastwić, dowodząc łatwo, że oto młodzi odkrywają na nowo miłość i wolność, choć wiadomo, że istota miłości i wolności się nie zmieniła. A poza tym i tak czekolada Wedla smakowała lepiej, kiedy to my, starzy, byliśmy młodzi, a fabryka nosiła imię 22 Lipca. Taka też była i moja pierwsza reakcja.

Potem jednak coś zaczęło nie pasować, niepokoić – przecież już o tym wszystkim, co manifestuje Czerski

w imieniu Dzieci Sieci, kiedyś pisałem (polecam „Burzenie cyfrowego muru” z drugiej części książki). I co z tego? Najwyraźniej moje teksty nie były ich tekstami i nie uczestniczyły bezpośrednio w kształtowaniu się nowej podmiotowości. Pytanie wszakże, czy ich tekstem jest manifest Czerskiego? Nie wiemy, jeśli jednak spojrzeć na metryczkę, to okaże się, że autor „My, Dzieci Sieci” urodził się w 1981 r. Cóż, bunty młodych zawsze odbywały się pod hasłem, by nie wierzyć ludziom po trzydziestce.

I rzeczywiście, podczas lektury manifestu dostrzegłem ciekawy trop. Tekst, jak wspomniałem, ukazał się 13 lutego. W tym czasie czekał już na druk w „Polityce” złamany artykuł „Wirtualna wojna domowa”. Najwyraźniej nasze teksty powstawały w podobnym czasie, bez żadnej komunikacji z sobą. Bardzo jednak są do siebie podobne. Podobieństwo zasadnicze wynika z podstawowej konstatacji, że osią sporu jest konflikt między nowym, cyfrowym światem sieci a starym, analogowym światem hierarchii. Oto fragment „Wirtualnej wojny domowej”:

Stary, analogowy świat hierarchii starł się z nowym cyfrowym światem sieci. Zderzyły się dwie nieprzystające do siebie logiki działania, a polem starcia jest stosunek do informacji.

W tym samym czasie Czerski pisze:

Wychowani w sieci myślimy trochę inaczej. Umiejętność znajdowania informacji jest dla nas czymś równie podstawowym, jak dla was umiejętność odnalezienia w obcym mieście dworca albo poczty. Kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć – jakie są pierwsze objawy ospy, czy rachunek za wodę nie jest podejrzanie wysoki albo dlaczego zatonęła „Estonia” – podejmujemy działania z taką pewnością, z jaką prowadzi się samochód wyposażony w nawigację GPS.

Podobnie, ale nie tak samo… Eureka! Przecież wiemy doskonale, że nasi młodzi wcale tak dobrze nie radzą sobie

z nowymi technikami przetwarzania informacji i krytyczną analizą treści. Owszem, tak młodych przedstawia obowiązujący stereotyp, a Czerski chętnie go wykorzystuje i jednocześnie utrwala. W rzeczywistości jednak Dzieci Sieci nie są niczym innym, niż produktem społeczeństwa stworzonego przez nas, dorosłych, w ramach Wielkiej Transformacji po 1989 r. To pierwsze pokolenie kształtowane przez Internet, medium uniwersalne, działające jednak w konkretnym, lokalnym doświadczeniu tworzenia się III Rzeczpospolitej. Tak więc w sposób naturalny Dzieci Sieci muszą być wypadkową oddziaływania wszystkich tych sił: uniwersalizującego wpływu sieci i popkultury, dominujących w III Rzeczpospolitej ideologii i dyskursów, w końcu codziennej rzeczywistości.

Manifest „My, Dzieci Sieci” to projekcja ukrytego marzenia nas dorosłych o pierwszym pokoleniu wychowanym w wolnej Polsce – pokoleniu ludzi wolnych, świetnie wykształconych, nowoczesnych, bez kompleksów, przed którymi świat stoi otworem. Czyż Dzieci Sieci nie są generacją wielkiego modernizacyjnego skoku, którego głównym wektorem stał się wzrost aspiracji edukacyjnych i pięciokrotne zwiększenie liczby studiujących w porównaniu do czasów PRL?

Zafascynowani swoim dziełem stworzyliśmy mit o Dobrym Dzikim – Cyfrowym Tubylcy, który przesłonił nam rzeczywistość. Zamiast zastanawiać się, jak możliwy jest prawdziwy boom edukacyjny bez bibliotek i publicznych repozytoriów wiedzy, zachwycaliśmy się egzotycznymi opowieściami o tym, jak Dzieci Sieci potrafią wszystko znaleźć w Internecie (a skoro tak, to po co się wysilać i budować uczciwą infrastrukturę).

Zamiast rozwijać powszechną i otwartą infrastrukturę kultury, zamieniliśmy domy kultury w supermarkety, oferujące za pieniądze „usługi kulturalne”.

Dzieci przestały być podmiotem twórczego rozwoju, lecz stały się przedmiotem inwestycji służących akumulacji kapitału ludzkiego. Przemiana ta nie zakłóciła naszego zadowolenia z siebie, bo woleliśmy zachwycać się barwnymi opowieściami o kulturowych niszach tworzonych przez młodych w sieci, fascynując się ich kreatywnym potencjałem.

Zamieniliśmy szkoły w fabryki kapitału ludzkiego, które po kolejnych falach standaryzacji programów i twórczego rozwoju systemu testowego stały się de facto fabrykami proletariatu pozbawionego podstawowych kulturowych, humanistycznych kompetencji. Skoro jednak wskaźniki w międzynarodowych testach PISA (Programme for International Student Assessment) oceniających osiągnięcia gimnazjalistów rosną, a nasi młodzi wygrywają w konkursach młodych naukowców i zawodach informatyków, to znaczy, że wszystko jest w porządku.

Być może nie rozumiemy ich do końca, skoro jednak spełniają nasze marzenia i gwarantują zwrot inwestycji (podliczmy szybko: języki, Internet, korepetycje, kursy, zajęcia sportowe i kulturalne, ciuchy i gadżety), to przecież nie jest najważniejsze.

Tak, Dzieci Sieci to dzieci naszych marzeń. Jasne, muszą się trochę zbuntować, takie prawo młodości, jeśli jednak robią to z wdziękiem i w granicach prawa? Przeraziło nas nieco, gdy dzieci wyszły na ulicę, szybko jednak okazało się, że nawet protestują w wymarzony sposób: grzecznie, racjonalnie, nie paląc rodzicom samochodów i sklepów. Mimo to niepokój pozostał, bo jednak w końcu odważyli się pokazać razem, wyrazić się swoim, często nieudolnym, pożyczonym z naszych fantazmatów głosem. I zaczęli żądać tego, cośmy im przecież już dawno dali. Jak bowiem można w wolnej Polsce domagać się wolności?

Dobry Dziki dla podstarzałych rewolucjonistów stał się jeszcze lepszym Dzikim. Dla innych przemienił się

w barbarzyńcę, pirata, złodzieja, bolszewika, kibola, żula pragnącego wolności bez odpowiedzialności, sięgającego po czyjąś własność bez zapłaty; chama, co bluzga w Internecie nie znając szacunku dla dorosłych; nieuka, który nie potrafi gramatycznie i ortograficznie złożyć kilku słów. Skąd ta wściekłość?

Bunt Sieci ujawnił bowiem, że zwrotu inwestycji nie będzie. Pokazał, że całe to ględzenie o społeczeństwie wiedzy, gospodarce opartej na innowacyjności, cały ten polski boom młodzieżowo-modernizacyjnoedukacyjny, przepraszam, boom inwestycyjny w kapitał ludzki, to po prostu bańka spekulacyjna żywiąca system, który nie kreuje większej realnej wartości.

Bańka pękła, nadszedł krach. Jak każdy kryzys, Bunt Sieci zagraża doraźnym interesom tych, którzy czerpali korzyści z chorego systemu, i otwiera szansę na zmianę w dłuższej perspektywie, szansę na wyjście z Matriksu urojeń o cudzie podrabianej modernizacji na gapę.

2.0 Wojna światów

Na początku 2011 r. miałem przyjemność współpracować z analitykami Boston Consulting Group nad przygotowaniem raportu o gospodarce internetowej w Polsce. Okazało się, że ta właśnie część polskiej ekonomii przekroczyła symboliczny próg – z bezpośrednim udziałem 2,7 proc. w PKB prześcignęła swym znaczeniem górnictwo. Zaczęliśmy żartować, kiedy w takim razie na ulice zamiast górniczych związkowców z kilofami wyjdą internauci uzbrojeni w komputerowe myszki domagając się respektowania swoich praw?

Rok później, w pamiętną już „sobotę hakerów", lecz na kilka godzin przed atakiem, w radiowej Trójce rozmawialiśmy z Darkiem Rosiakiem podczas jego audycji „Raport o stanie świata" o wolności w Internecie. Pretekstu dostarczył wspomniany już strajk sieci, jaki wybuchł w Stanach Zjednoczonych w proteście przeciwko projektom ustaw antypirackich o wdzięcznych nazwach SOPA i PIPA. W ramach sprzeciwu do angielskojęzycznej Wikipedii dołączyły inne portale i hakerzy. Ci zaatakowali m.in. witrynę FBI w odpowiedzi na rajd i zamknięcie serwisu Megaupload, największego na świecie „internetowego bazaru" umożliwiającego wymianę dowolnych, legalnych i pirackich plików cyfrowych.

Pytania o istotę sporu pokazały, że polityczna intuicja wraca do premiera. Czy będzie jej towarzyszyć także wyobraźnia wszystkich elit? Bo rzeczywiście, ACTA w Polsce, podobnie jak SOPA i PIPA w Stanach Zjednoczonych, to tylko zapalnik. Uwolnił on energię, która prędzej czy później musiała eksplodować. To energia ukryta w pogłębiających się napięciach współczesnego świata szukającego nowego pomysłu na organizację życia w epoce,

jaka nastąpi po kryzysie. W sporze o ACTA spotykają się kwestie związane z nowym ładem geopolitycznym, pytania o źródła wzrostu gospodarczego i zatrudnienie, problemy równowagi między prawem własności a innymi prawami obywatelskimi. To problemy, z jakimi świat musi zmagać się co jakiś czas, gdy na globalnej szachownicy rozpoczyna się kolejna partia i nowi aktorzy zaczynają dopominać się o większy udział w grze.

W obecnej transformacji geopolitycznej walka o zasoby intelektualne nabrała strategicznego znaczenia, bo w nich właśnie kraje rozwinięte upatrują źródeł swej przewagi w gospodarczej konkurencji. O roli „copyright industries" w gospodarce amerykańskiej już pisałem. Problem w tym, że na napięcia geopolityczne nakładają się skutki przemian społecznych i kulturowych, które powodują, że zmieniają się źródła podmiotowości indywidualnej i zbiorowej. Karol Marks pisał, że maszyna parowa stworzyła społeczeństwo przemysłowe z kapitalistą. Jakie społeczeństwo jest wytworem sieci? Pierwsze próby konceptualizacji pokazują, że opiera się ono na innych sposobach tworzenia więzi i inaczej konstruuje motywacje do indywidualnego i zbiorowego działania, niż sprawdzone w nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym.

Wybuchła wojna światów, w której stawką nie są jedynie pieniądze ze sprzedaży muzyki, filmów, oprogramowania, gier. W istocie chodzi o nowy ład i rozumienie w nim takich pojęć, jak władza, wolność, prywatność, demokracja, sfera publiczna, swoboda działalności gospodarczej, własność i dobro wspólne. Do wojny tej dołączyła Polska. Nie łudźmy się, że to tylko rewolta gówniarzy obawiających się, iż ktoś im chce zabrać ulubione zabawki i zmusić do płacenia za rozrywkę. To wirtualna wojna domowa. Stary, analogowy świat hierarchii starł się z nowym cyfrowym światem sieci. Zderzyły się dwie nieprzystające do siebie logiki działania,

a polem starcia jest stosunek do informacji, porozumiewania się, wiedzy, kultury.

W świecie starym informacja jest dobrem rzadkim, a kto ma do niej dostęp, ten ma władzę: polityk, który wie więcej od obywateli, może traktować społeczeństwo jak ciemną masę. Przedsiębiorca, mający lepszy dostęp do informacji handlowej od klienta, może narzucać większą marżę na swoje produkty i usługi. Agenci służb specjalnych, mający dostęp do informacji wrażliwych, mogą chronić bezpieczeństwo państwa, przy okazji trzymając w garści i polityka, i przedsiębiorcę.

W nowym cyfrowym świecie informacja nie traci na znaczeniu – przeciwnie, tyle tylko, że zmienia się jej ekonomika. Coraz lepiej wykształceni obywatele wiedzą coraz więcej, a dzięki Internetowi swą wiedzą mogą się łatwo dzielić. Asymetria informacyjna maleje. Zwykła wyszukiwarka internetowa i internetowe platformy handlowe powodują, że marże na niektóre produkty zmalały o kilkadziesiąt procent. Serwis Wikileaks spowodował, że nawet największe tajemnice rządów wychodzą na światło dzienne. Dla mieszkańców cyfrowego świata dostępna w sieci informacja jest podstawowym zasobem służącym koordynacji codziennego życia, począwszy od organizowania przejazdu do pracy lub szkoły – po planowanie zajęć w czasie wolnym.

W starym świecie hierarchii podstawowym trybem działania była reglamentacja dostępu do informacji i kontrola poprzez uprzywilejowany dostęp do tego zasobu. W świecie cyfrowym na odwrót – zasadą jest dostęp, a wszelkie próby reglamentacji i kontroli, nawet uzasadnionej, wzbudzają obawy. Jarosław Lipszyc z Fundacji Nowoczesna Polska od lat mówi: zmodernizujmy polską szkołę wprowadzając ją do sieci. Jak? Otwierając publiczne zasoby edukacyjne i oferując wolne podręczniki. W tym czasie minister edukacji za najważniejsze zadanie

uznała budowę komputerowego systemu informacji oświatowej, który pozwoli spisać, policzyć i skontrolować każdego ucznia i nauczyciela.

O podobnych systemach marzą wszyscy ministrowie; dziesiątki rejestrów gromadzą mniej i bardziej potrzebne informacje o obywatelach we wszystkich ich rolach: pacjenta, podatnika, przestępcy i ofiary przestępstwa, ucznia, studenta, nauczyciela. Polska nie wyróżnia się pod tym względem – informację o swych obywatelach gromadzą instytucje wszystkich państw, tak jak przedsiębiorstwa

o swoich klientach. Teoretycznie po to, żeby lepiej rozpoznać potrzeby i w odpowiedzi przygotować dobrze skrojoną usługę publiczną – od bezpieczeństwa po dostęp do lekarza.

Państwo polskie wyróżnia się jednak wyjątkowym brakiem informacyjnych kompetencji, o czym już wielokrotnie pisałem. Trudno o lepszy przykład niż bałagan w sprawie ustawy refundacyjnej na początku 2012 r. Wielu kłopotów można było uniknąć, gdyby istniał system umożliwiający dostęp do aktualnej informacji o ubezpieczonych. W XXI w. istnienie takich systemów w krajach rozwiniętych uznaje się za standard. Tyle tylko, że Polska pod względem informatyzacji nie jest, zdaniem Światowego Forum Gospodarczego, krajem rozwiniętym, bo zajmuje dopiero 62 miejsce w globalnym rankingu. Tak słabą ocenę zawdzięczamy niekompetencji administracji publicznej i polityków, którzy w tym samym porównaniu nie mieszczą się nawet w pierwszej setce.

Co gorsza, konsekwentnie trzymamy się swej pozycji w tym i podobnych porównaniach od lat, niezależnie od rządzącej koalicji (najlepszym tego dowodem tekst „Koniec utopii” z drugiej części książki). Równocześnie jednak rozwija się społeczeństwo, które realizuje własne strategie modernizacyjne i włącza się do sieci z wielkim zapałem.

Polska wersja Wikipedii pod względem liczby haseł należy do pierwszej dziesiątki. Gospodarka internetowa rozwija się szybciej niż inne sektory i coraz bardziej zyskuje na znaczeniu.

Recepta na konflikt gotowa. Oto bowiem z jednej strony czai się świat anachronicznych struktur, które chciałyby ciągle legitymizować swą rolę kontrolą nad informacją, lecz nie potrafią już nawet tego. Z drugiej – w życie wchodzą kolejne roczniki cyfrowych tubylców, które nie potrafią zrozumieć informacyjno-informatycznych problemów państwa. Gdy jednak widzą, jak ten skostniały aparat stara się nagiąć do swoich reguł ich cyfrowy świat, burzą się. Mają bowiem prawo przypuszczać, że utracą wolność, w zamian jednak nie pojawi się obiecywany ład i bezpieczeństwo.

Nie sposób było przewidzieć, czy i kiedy dojdzie w Polsce do buntu sieci. Ani do jakich doprowadzi to efektów. Nie ma w nim jednak nic zaskakującego – tlił się on od dawna. Zaskakuje odporność analogowych struktur starego świata na sygnały formułowane od lat i zapowiadające nadchodzącą nieuchronnie zmianę.

3.0 Bój o AcTA z Madzią w tle

Premier Tusk długo nie mógł zrozumieć istoty protestów przeciwko ACTA. Przed laty królowa brytyjska Elżbieta II nie mogła zrozumieć histerii swych rodaków po tragicznej śmierci księżnej Diany. Lud płakał i domagał się łez, czego rodzina królewska pojąć nie mogła. Wszak śmierć to sprawa prywatna i przeżywać ją należy w prywatności, okazywanie emocji w przestrzeni publicznej godne jest motłochu.

Dumna królowa nie dostrzegła, że czasy się zmieniły. Choć jej panowanie od momentu koronacji upływa pod czujnym okiem telewizyjnych kamer, nie zrozumiała transformującej mocy nowego medium. A – jak mawiał już w latach 60. XX stulecia Marshall McLuhan – świat za sprawą telewizji stał się globalną wioską, czyli przestrzenią, gdzie podział na sferę publiczną i prywatną się zaciera. Wszyscy, jak w wiosce, tylko że w skali globalnej, mogą podglądać wszystkich i chętnie z tej możliwości korzystają.

Szklany ekran nie nadaje się jednak do podtrzymywania wyrafinowanych dyskursów, możliwość transmisji obrazu o wiele lepiej służy do przekazywania emocji niż racjonalnych komunikatów. Richard Nixon przegrał z Johnem Kennedym telewizyjny pojedynek wyborczy, bo zbytnio skoncentrował się na treści, zapominając o tym, że najlepszy nawet przekaz traci, gdy nie wspiera go mocny obraz. Spocony kandydat republikanów nie miał szansy wobec młodzieńczej aury Kennedy’ego.

Telewizja stała się najważniejszym medium w drugiej połowie XX wieku i ciągle tę społeczną pozycję zachowuje, mimo ofensywy Internetu. W rezultacie nastąpiła głęboka przemiana sfery publicznej ukształtowanej zgodnie z receptami Niccolo Machiavellego. To właśnie autor

„Księcia” przyczynił się do upowszechnienia przekonania, że polityka i sfera publiczna rządzić się musi rozumem, czystą kalkulacją interesów, w której nie ma miejsca na ludzkie sentymenty. Te są dobre w alkowie lub domowym zaciszu, gdzie nawet wojownik ma prawo uronić łzę, oczekując od swojej wybranki ukojenia.

Masowe demokracje wymagają jednak, by władza komunikowała się z ludem władzę tę legitymizującym, a więc za pomocą ulubionego medium i za pomocą właściwych dla niego środków ekspresji. Elżbieta II, jako że nie musi poddawać się próbie demokratycznych wyborów, nie musi także zbytnio o lud zabiegać. Tak myśląc doprowadziła w 1997 r. do wielkiego kryzysu monarchii, szarpana przez tabloidy za brak serca i wrażliwości wobec tragicznej śmierci swej synowej.

Sprawę uratował Tony Blair właśnie moszczący się na stanowisku premiera po wielkim zwycięstwie nad torysami. Młody polityk doskonale rozumiał emocje tłumu i przekonał królową, że jeśli chce obronić resztki autorytetu, musi zgodzić się na królewski pogrzeb dla Diany zgodnie z rytuałem przewidzianym dla Królowej Matki, z drobną wszak modyfikacją: w uroczystości wezmą udział także uwielbiani przez lud celebryci i gwiazdy popkultury. Mimo estetycznych cierpień brytyjskiej arystokracji księżnę Dianę żegnała podczas mszy w Westminsterze sentymentalna piosenka „Candle in the Wind” w wykonaniu Eltona Johna.

Skoro nawet zdyscyplinowani Brytyjczycy uznali, że to już nie charakter, lecz emocje tworzą podstawy ładu społecznego, a zdolność do ich publicznego okazywania należy do cnót obywatelskich, to nie pozostało nic innego, niż światły wzór naśladować. Warto przypomnieć, jak dostało się Bronisławowi Komorowskiemu za chłód, z jakim obsługiwał kolejne pogrzeby po katastrofie 10 kwietnia 2010 r. Zamiast płakać, zajmował się przejmowaniem Kancelarii Prezydenckiej, tak jakby państwo nie mogło

poczekać. A oburzenie, jakie wywołały koszulki z napisem „nie płakałem po papieżu”? Arcybiskup Józef Życiński, największy strażnik herbertowskiej potęgi smaku, osobiście zadbał, by wystawa „T-Shirt dla wolności” przygotowana na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej nie odbyła się. Najwyraźniej przestrzeń publiczna i świątynia rozumu, jakimi powinien być uniwersytet, nie jest miejscem do manifestowania chłodu i sceptycyzmu, dziś można nie płakać w domu. Wychodząc na zewnątrz, lepiej mieć pod ręką cebulę. A nuż ktoś nas złapie z suchymi oczami.

Tym bardziej że problem komplikuje się niepomiernie w czasach „wirtualności rzeczywistej”. Pojęcie to wprowadził wspominany już Manuel Castells, by opisać sytuację, w której mieszkaniec współczesności większość doznań i informacji o świecie czerpie za pośrednictwem mediów, z telewizją na czele. W rezultacie pojęcie rzeczywistości zaczyna rozmywać się. Co jest bardziej realne? Śmierć dziecka w Homs podczas bombardowania przez wojska Asada, śmierć Madzi z Sosnowca czy Hanki Mostowiak z „M jak miłość”? Stopień realności zależy od emocji, jakie konkretny obraz wyzwala. Skoro śmierć Hanki Mostowiak przeżyło ponad 7 mln widzów, to znaczy, że miała ona jak najbardziej rzeczywisty wymiar.

Pierwsi chyba zrozumieli tę siłę wirtualności rzeczywistej Amerykanie, którzy już w latach 90. ubiegłego wieku angażowali w kampaniach politycznych postacie z seriali. Nie samych aktorów, którzy zdobyli sławę odgrywając popularne role – ten mechanizm znamy z 1989 r. Tylko postacie przez nich odgrywane, występujące w filmie i uczestniczące pod tą właśnie tożsamością, np. w debacie w trakcie kampanii prezydenckiej.

Polska demokracja aż tak bardzo dojrzała nie jest, potencjał wirtualności rzeczywistej odkrył jednak tygodnik „Wprost”, publikując ostatni przed śmiercią wywiad z Rysiem z „Klanu”. Niby miała to być gra z konwencją,

prześmiewcza dekonstrukcja rzeczywistości kreowanej przez media i popkulturę, w istocie jednak to chyba konwencja zdekonstruowała „Wprost”.

Polscy politycy doskonale czują się w tej konwencji, wiedzą doskonale, kiedy należy płakać i jak budować emocje za pomocą telewizji. Jednym z aspektów przemiany sfery publicznej pod dyktando szklanego ekranu jest zmiana zasad debaty, co znakomicie analizuje Manuel Castells w książce „Communication Power” (Władza komunikacji). Skoro zostało już udowodnione, że nie ma co w telewizji napinać się na debatę racjonalną (kto pamięta dyskusję Jacka Rostowskiego z Leszkiem Balcerowiczem o otwartych funduszach emerytalnych, ten doskonale zrozumie), należy maksymalizować zyski z gry emocji. A w tej grze podstawowa taktyka polega na „character killing” – niszczeniu wizerunku adwersarza. „Mordo ty moja!”, klip mający zohydzić konkurentów Prawa i Sprawiedliwości w kampanii wyborczej z 2007 r., to kanoniczny wręcz przykład taktyki symbolicznego mordowania przeciwnika. Nie chodzi o prawdę, tylko o delegitymizację komunikatu adwersarza. Trochę o tym już było przy okazji analizy rewolty Zapatystów w 1994 r.

Jak zmieniło sferę publiczną upowszechnienie Internetu? Co oznacza dla polityki fakt, że dla Polaków poniżej trzydziestki Internet stał się medium ważniejszym od telewizji? Większość polityków traktuje sieć jako proste przedłużenie, ewolucyjną kontynuację przekazu telewizyjnego. Różnica polega na tym, że w miejsce ograniczonej liczby kanałów TV pojawiła się potencjalnie nieskończona liczba kanałów nadawczych udostępnionych przez YouTube, Vimeo i inne platformy. Ciągle jednak dominującym nośnikiem komunikatu jest obraz, a więc i kodowane przezeń emocje.

W rezultacie niszczycielski potencjał wzmógł się, klip „Mordo ty moja!”, wyświetlany najpierw w telewizji, szybko

migrował do sieci, gdzie można go oglądać do dziś. Problem polega wszakże na tym, że w sieci trudno zachować kontrolę nad raz wypuszczonym komunikatem. Klip tak się spodobał, że nastąpiła eksplozja twórczej energii i powstało wiele remiksów wykorzystujących wymyślony przez strategów PiS motyw, tylko że już często z zupełnie innym przesłaniem. Najczęściej, jak w klipie Grupy Operacyjnej wyrażającym obrzydzenie „mordami", które zdominowały całą przestrzeń polityczną. Najwyraźniej widać, że w sieci nie sposób zbudować manichejskiego podziału na My i Oni. PiS atakując skorumpowany salon dostał rykoszetem z własnej broni. Lub inaczej, podział ten powstaje, ale na zasadzie konfrontacji: My – Dzieci Sieci, i Oni – Mordy z analogu.

Politycy, a także dość znaczna część obserwatorów przestrzeni medialnej nie dostrzegła jednak komplementarnego aspektu Internetu. Owszem, można potraktować go jako kontynuację telewizji, kiedy każdy staje się potencjalnym nadawcą, zgodnie z hasłem YouTube – Broadcast Yourself! Jak wielka jest w ludziach potrzeba autoemisji, pokazują najlepiej statystyki YouTube. W ciągu miesiąca na serwerach serwisu ładowanych jest tyle treści wideo, ile trzy największe amerykańskie stacje telewizyjne wyprodukowały od początku swego istnienia.

W trakcie kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych w 2008 r., mimo że YouTube liczył dopiero niespełna trzy lata, stał się jednym z głównych mediów. Materiały popierające Baracka Obamę zyskały 150 mln osobogodzin oglądania, przy czym 90 proc. tego czasu skupiły treści przygotowane przez samych internautów, a tylko 10 proc. przez sztab przyszłego prezydenta.

Internet jednak, mimo rosnącej popularności serwisów wideo, jest ciągle medium opartym na komunikacji tekstowej. Setki milionów użytkowników Facebooka i Twittera cały czas coś pisze i czyta. Podobnie robią

dziesiątki milionów blogerów i komentatorów. Ba, nawet korzystanie z serwisów randkowych polega na sztuce autoprezentacji za pomocą tekstu. Okazuje się więc, że Internet jest u swych podstaw medium komunikacji tekstowej, a więc racjonalnej. Eva Illouz, izraelska socjolożka badająca przemiany intymności we współczesnym kapitalizmie, stwierdziła wręcz, że na skutek upowszechnienia Internetu komunikacja międzyludzka stała się hiperracjonalna.

Doszło do paradoksalnego odwrócenia idei Machiavellego, swoistej kontrrewolucji – oto w sferze publicznej, ciągle zdominowanej przez telewizję, rządzą emocje. To one motywują do działania i zastępują często rzeczową argumentację, odwołując się wprost do zasobów behawioralnych bez udziału rozumu. W przestrzeni prywatnej, w komunikacji pomiędzy konkretnymi osobami rządzi tekst, co wymaga angażowania rozumu.

Dwie logiki komunikacji – emocjonalna i racjonalna zderzyły się w Polsce podczas bitwy o ACTA. Bitwa ta rozegrała się w czasie, gdy cała Polska uczestniczyła w tragedii Madzi z Sosnowca. Telewizje i tabloidy raczyły swych odbiorców wielodniowym serialem na żywo, ze scenariuszem starannie opracowanym przez takich speców jak Krzysztof Rutkowski. W czasie, gdy cały telewizyjny naród płakał po Madzi równie szczerze jak po Hance Mostowiak, na ulicach rozegrał się zupełnie inny spektakl.

Walkę o ACTA opisywałem już w skrócie, koncentrując się na jej politycznym wymiarze. Warto wrócić do niej, by przyjrzeć się sposobom działania „aktawistów”. Szczęśliwie natychmiast po wybuchu Buntu Sieci pojawiła się grupa badaczy skupionych w Zespole Analizy Ruchów Społecznych, którzy podjęli się analizy tego bezprecedensowego w Polsce procesu. Przeprowadzili wiele pogłębionych wywiadów z organizatorami protestów w tak różnych miastach, jak Kraków i Bolesławiec,

Warszawa i Siedlce. Pierwsze, gorące konkluzje zaskakują (choć sami uczeni zastrzegają, że wnioski mogą się zmienić w miarę pogłębiania badań).

Dr Mikołaj Rakusa-Suszczewski stwierdził, że choć bunt przeciw ACTA był protestem ludzi młodych, to nie ujawniły się w jego trakcie cechy typowe dla młodzieńczych rewolt, kiedy dominuje niecierpliwość, gorączka, gwałtowność. Przeciwnie, „nasi rozmówcy wykazywali niepokojąco dużo roztropności i kultury. Te cechy uderzały mnie dużo bardziej niż podniecenie, ekscytacja, radykalizm czy też wyrażanie swojej dezaprobaty, goryczy i zawodu dla postawy rządu” – stwierdza socjolog.

Mimo braku centralnej koordynacji, uczestnicy na czas działania anty-ACTA zawiesili swoje polityczne czy ideologiczne tożsamości, przyjęli taktykę No Logo, której wyrazem stało się powszechne wykorzystanie maski Guya Fawkesa, spopularyzowane przez braci Wachowskich w filmie „V jak vendetta”. Wspólnej masce towarzyszył wspólny cel: rezygnacja z postulatów artykułowanych w imię partykularnych interesów na rzecz obrony praw ogólnych, w tym najważniejszego – prawa do wolności.

Młodzi buntownicy podeszli do problemu ACTA zgodnie z cechami, jakimi opisuje się pokolenie Y, czyli jak do projektu, zadania do wykonania w sposób jak najbardziej skuteczny i efektywny. Realizując ten projekt zachowywali się bardzo racjonalnie, jednocześnie jednak ostrożnie, a nawet asekurancko. Maska i taktyka No Logo służyła zarówno zawieszeniu pierwotnej tożsamości, jak i jej ukryciu, by w pewnym sensie odciąć się od odpowiedzialności za własne działania.

Bunt Sieci był jednak wielodniowym, dynamicznym procesem, w trakcie którego jego podmiot – manifestanci – przeobrażali się pod wpływem kolejnych reakcji mediów, polityków, opinii publicznej. Z jednej strony to oni wyszli w przestrzeń publiczną, by osiągnąć swój cel, zwrotnie

przestrzeń publiczna zaczęła oddziaływać na protestujących. Jak mówi dr Rakusa-Suszczewski, „Actawiści przeobrażają się w obrońców sprawiedliwości społecznej, rzeczników mobilizacji społecznej, stają się ruchem, który przypomina, czym jest demokracja i nieodzowne dla niej mechanizmy działania”.

Actawistów należy potraktować jako przedstawicieli nowej formuły ruchu społecznego, dla której właściwsze jest miano ruchu kulturowego. Jego uczestnicy koncentrowali się na sobie, a nie na przeciwniku, a ta afirmacja siebie miała służyć zwiększeniu zdolności rozumienia, porozumiewania się i działania. Celem nie była walka z konkretnym wrogiem, lecz obrona swoich interesów wyrażonych w języku uniwersalnych praw. Zupełnie odrębną kwestią są tożsamości kulturowe uczestników ruchu; o nich więcej w następnym rozdziale.

Obserwacje Zespołu Analiz Ruchów Społecznych potwierdzają jednak tezy formułowane m.in. przez francuskiego socjologa Alaina Touraine’a, który mówił w rozmowie dla „Polityki” (nr 38/2011): „Formy życia politycznego nie nadążają za trwającą transformacją. A główna zmiana polega na tym, że dziś to nie status społeczny, np. przynależność do klasy, określa kondycję jednostki, lecz odwrotnie – to na poziomie jednostki kształtuje się podmiotowość społeczna i polityczna, ona tworzy swoją historię i w rezultacie decyduje o możliwości działania nie tylko swojej osoby, lecz także działania zbiorowego. Ze świata Marksa i Durkheima przeszliśmy do świata Fryderyka Nietzschego czytanego przez okulary Zygmunta Freuda. W praktyce politycznej oznacza to, że dziś najważniejsze tematy i walki dotyczą kultury, bo uwolniona od społeczeństwa jednostka określa się przez kulturę. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie mają znaczenia stare tematy, jak walka z nierównościami ekonomicznymi czy wykluczeniem społecznym. Jednak

kluczem do formułowania programów politycznych staje się kultura”.

Bitwa o ACTA z Madzią z Sosnowca w tle doskonale ilustruje sygnalizowane przez Touraine’a przemiany sfery publicznej. Zauważmy, że w tym samym czasie nie brakowało innych bardzo ważnych tematów, wśród nich kluczowego dla przyszłego rozwoju kraju – reformy systemu emerytalnego. To jednak tragedia Madzi zaangażowała narodowe emocje, a spór o ACTA uruchomił zbiorowy rozum do bezprecedensowej mobilizacji obywatelskiej w imię obrony prawa wolności i otwartego dostępu do kultury, ujawniając tym samym nową formę podmiotowości politycznej. Dalsze badania ZARS potwierdziły pierwsze wrażenia, twierdzi Paweł Kuczyński z Zespołu Analiz Ruchów Społecznych. Na ulice wyszli przedstawiciele Pokolenia Y, jeśli mierzyć sposobem działania: nastawienie na projekt, skuteczność. Jeśli jednak mierzyć wartościami, to wśród liderów manifestacji dominowały postawy prawicowe, wręcz narodowe. Wielu z nich uczestniczyło w Marszach Niepodległości, nie czują jednak związku z żadną z istniejących partii. Z równą energią pogonili w Warszawie Janusza Palikota, jak w Krakowie wygwizdali Janusza Korwina-Mikke.

Tworzą swój antykorporacyjny i antyestablishmentowy świat. Łączą w nim pragnienie wolności ze swoim rozumieniem patriotyzmu, w którym już raczej nie ma miejsca na romantyczne rozmamłanie. Przed laty tygodnik „Ozon” przeprowadził akcję przywracania pamięci o Powstaniu Warszawskim. Pojawiły się plakaty z parą współczesnych młodych ludzi w powstańczych uniformach i pytaniem: Czy byś poszedł? Ci młodzi pewno by poszli, pod warunkiem, że pozytywnie oceniliby szansę na zwycięstwo.

Bitwa o ACTA miała charakter karnawału, jednak karnawału odwróconego. To nie dzika, dionizyjska energia

wylała się na ulice, by zakwestionować oparty na publicznym rozumie ład. To „actawiści” okazali się agentami racjonalności, którzy przejęli na chwilę kontrolę nad ulicami, przypominając o demokratycznej normie, jaką jest oparta na dialogu sfera publiczna. Sfera niszczona nieustannym dionizyjskim karnawałem dzikich emocji urządzanym przez polityków wespół z mediami.

Tyle tylko, że ta nowa racjonalność działa z logiką karnawału, ma charakter projektowy – koncentruje się w czasie na konkretnym zadaniu. Czy podobną mobilizację zdołają wywołać inne tematy? Jak choćby wspomniana reforma systemu emerytalnego? Albo debata

o modelu rozwoju energetyki? Nie wiadomo,choć liderzy ruchu anty-ACTA zapowiadają, że nie brakuje im pomysłów na kolejne „projekty”. Przeczuwają, że kryzys dopiero nadchodzi i w końcu trzeba będzie także upomnieć się o kwestie ekonomiczne młodych.

Ważnej podpowiedzi dla zrozumienia „actawistów” dostarcza maska Guya Fawkesa. Żeby wspomniane przez dr. Rakusę-Suszczewskiego samoograniczenie i zawieszenie indywidualnych tożsamości było możliwe i doprowadziło do działania wspólnego, potrzebny jest kod umożliwiający porozumienie i sformułowanie celu. Dziś takim nośnikiem uniwersalizmu umożliwiającym porozumiewanie się członków coraz bardziej zindywidualizowanego społeczeństwa jest kultura popularna.

„V jak vendetta” braci Wachowskich to współczesna wersja „Manifestu komunistycznego”, zrozumiała dla wszystkich opowieść zdolna zintegrować emocje wokół mobilizującej do działania narracji i symboliki. Warto dokładnie przeanalizować pełną symbolikę towarzyszącą bitwie o ACTA, zwłaszcza próby budowania lokalnych symboli adekwatnych wszakże do charakteru walki. Najciekawszym na pewno wyrazem takiej lokalizacji

i przejścia z wymiaru kosmopolitycznego (znak maski Fawkesa) do poziomu narodowego stał się znak Polski Walczącej z wkomponowaną weń internetową małpą.

Stefan Niesiołowski oburzył się na to zawłaszczenie symbolu uświęconego krwią Polaków zamęczonych w katowniach gestapo przez idiotów z ruchu walczącego z rządem wolnej Polski. W innej wypowiedzi Niesiołowski dokonał szybkiej socjologicznej analizy „actawistów", stwierdzając, że to żulia i kibole. Cóż, głośny poseł Platformy Obywatelskiej nie dostrzegł, że dziś również patriotyzm, jeśli ma być doświadczeniem łączącym zindywidualizowane jednostki we wspólnotę narodową, wymaga ekspresji za pomocą kodów kultury popularnej. Doskonale zrozumieli to twórcy Muzeum Powstania Warszawskiego, niezwykle skutecznie przekładając historię warszawskiej katastrofy na mit, który można atrakcyjnie opowiedzieć nawet językiem komiksu lub muzyki pop.

Jeśli więc część młodych „actawistów" sięga po znak Polski Walczącej, to nie dlatego, że są idiotami i profanują święte narodowe symbole, lecz dlatego, że korzystają z gotowych podpowiedzi, jakich dostarcza choćby Muzeum Powstania. Dokonują swoistego remiksu tradycji ze współczesnością, by jednocześnie wyrazić przywiązanie do tej tradycji oraz zakomunikować, że walczą o sprawę dla nich w chwili obecnej najważniejszą.

4.0 Jak teraz żyć, panie Premierze?

Dzieci Sieci opuściły ulice, rozeszły się do domów, szkół, sal wykładowych. Energia protestu przeciwko ACTA nie rozlała się falą oburzenia podsycanego innymi problemami. Projekt „stop-ACTA” został wykonany. Co będzie tematem następnego zadania? Nie wiadomo, jak też nie wiadomo, czy i kiedy nastąpi kolejny wybuch. Nie łudźmy się jednak, że nad Wisłą zapanował spokój.

Żaden z powodów wirtualnej wojny domowej nie został usunięty, Bunt Sieci trwa. Trwa także sprzątanie po protestach, różni aktorzy tłumaczą to, co się stało, na język swoich interesów. Donald Tusk 17 lutego przejął inicjatywę, zmieniając stanowisko w sprawie ACTA stanął na czele europejskiego ruchu walczącego z porozumieniem.

Zwieńczeniem tej transformacji była zwołana na 5 marca konferencja pod auspicjami Michała Boniego, ministra administracji i cyfryzacji. Pierwotnie ogłaszana jako kontynuacja debaty zainicjowanej 6 lutego w Kancelarii Premiera, niepostrzeżenie i po orwellowsku przekształciła się w Kongres Wolności w Internecie. Władza chyba poczuła, że odzyskuje kontrolę nad rzeczywistością i przy okazji może odświeżyć swój wizerunek, stając się orędownikiem internetowej wolności i skandując: kto nie z nami, ten za ACTA! Najaktywniejsi „actawiści” wyśmiali rządowy Kongres. Nie wierzą, że rząd wywiąże ze zobowiązań i szykują się, jeśli zajdzie taka potrzeba, do kolejnych wystąpień.

Środowiska twórcze poczuły z kolei, że tracą kontrolę i stoją wobec kolejnej fazy kulturalnej rewolucji. Co gorsza, do inicjatywy ulicznego motłochu dołączył jeden

z rządowych resortów. W dyskusjach na forach łączących filmowców i muzyków padają niewybredne słowa: grozi nam bolszewizm, populizm, tzw. wolność w Internecie to legalizacja złodziejstwa, barbarzyńcy stanęli u bram! Mnożą się teorie spiskowe: kto tak naprawdę wyciągnął młodych na ulice? Kto miał w tym interes? Kto najwięcej zarabia na nielegalnym obrocie treścią w sieci? Co przytomniejsi dostrzegają jednak, że przerażająca rewolucja kulturalna jest po prostu wyrazem głębokiego, systemowego pęknięcia.

Zmian nie da się zatrzymać biadoleniem, gadaniem, represjami. A zmian, mimo licznych i powtarzanych od lat zapowiedzi, brakuje. Publiczne repozytoria edukacyjne i naukowe ciągle są w szczątkowym stanie, gdyby nie Wikipedia, polscy uczniowie pozbawieni byliby praktycznie jakichkolwiek rozsądnych i legalnych treści. No tak, ale Wikipedia to właśnie wyraz Buntu Sieci, rozwiązanie pozasystemowe, bo system nie potrafi nawet wprowadzić instytucji Open Access, zobowiązującej do publikowania w Internecie prac powstałych w wyniku badań naukowych sfinansowanych ze środków publicznych.

Z mozołem rozwija się serwis Moja Polis, agregujący informacje

o różnych wymiarach życia publicznego w Polsce z rozdzielczością do pojedynczej gminy. Można sprawdzić, jakie gdzie są nakłady na kulturę, jakie były wpływy z odpisów podatkowych na organizacje pożytku publicznego i mnóstwo innych ważnych informacji. Serwis powstaje siłami społecznymi, z inicjatywy stowarzyszenia Klon/Jawor i musi nieustannie walczyć z systemem broniącym dostępu do informacji. Najsilniejszym bastionem oporu przed otwarciem zasobów jest Główny Urząd Statystyczny.

Miało być jedno okienko ułatwiające życie przedsiębiorcom. Owszem, jest, ale w Gruzji, która zdążyła w 2008 r. przegrać wojnę z Rosją i w cieniu porażki przeprowadzić wielką reformę administracji. Sieć jednak nie śpi i organizuje się, jak potrafi. Nie chodzi tylko o Dzieci Sieci, które dzięki Internetowi budują swoją przestrzeń autonomii. Sieć stała się platformą organizującą większość działań anty- i pozasystemowych.

Czym byliby bez Internetu kibice? Mobilizacja do Marszu Niepodległości 11 listopada 2011 r. trwała w Internecie wiele miesięcy. Czym byłby bez sieci II obieg, czyli aktywność środowisk prawicowych konsolidujących się przeciwko III Rzeczpospolitej? A ruchy konsumenckie, o których już pisałem wcześniej? A młode kobiety – jak bez Internetu i wzajemnej pomocy koordynowałyby złożoną logistykę „projektu dziecko”?

Polska sieć nie jest szczególnie wyjątkowa, nie wyróżniamy się pod tym względem na tle innych nacji. Polacy coraz lepiej radzą sobie z Internetem jako narzędziem umożliwiającym pokonywanie przeszkód stawianych przez System, dominujący w przestrzeni publicznej ład instytucjonalny pozbawiony zupełnie „inteligencji informacyjnej”.

Polski internauta stojąc na stacji kolejowej na przedmieściach Warszawy za pomocą smartfonu kupi bilet na samolot do Paryża, zarezerwuje hotel i bilet na wystawę, ściągnie nawet aplikację z audioprzewodnikiem, by przygotować się do zwiedzania. Jednego jednak się nie dowie – czy dojedzie na czas na Okęcie. O kupowaniu biletów kolejowych przez Internet lepiej nie wspominać.

Radzimy sobie z trudnościami realnego polskiego kapitalizmu dzięki nieformalnemu obiegowi wiedzy i informacji. Reprodukujemy dobre tradycje wcześniejszych pokoleń, obieg nieformalny to tradycyjna odpowiedź na dominującą antyinformacyjną kulturę polskiego folwarku.

Niestety, im lepiej sobie radzimy w sieci i dzięki temu także lepiej kontrolujemy rzeczywistość, tym słabsze bodźce dostaje System i pogłębia swoje samozadowolenie.

Spór o ACTA przypomniał jednak, że obiegów nie da się oddzielić, przenikają się nieustannie, aż w końcu doszło do gorącego konfliktu w realnej przestrzeni publicznej. To ważny moment budowania społecznej samowiedzy i podmiotowości w epoce, kiedy podmiotem działania staje się wielość, zbiór pojedynczych, autonomicznych osób stających razem, bo odkrywają wspólny cel. Molekuł wielości nie łączą więzy solidarności klasowej, nie mają charyzmatycznego przywódcy, nie kierują nimi struktury organizacji partyjnych i związkowych.

Wielość z ulic polskich miast zachowywała się niezwykle łagodnie, grzecznie – nie paliła samochodów, nie grabiła sklepów. Mimo spotkania w jednym miejscu różnych tożsamości kulturowych i ideowych nie dochodziło do awantur, choć, jak pokazał 11 listopada ub.r., niewiele trzeba, by poleciały kamienie. Więcej takich rewolucji, chciałoby się powiedzieć, gdyby nie to, że jednocześnie ta grzeczna rodzima wielość budzi lęk. Jak z nią rozmawiać, skoro nie ma formalnej reprezentacji? Jak ją opanować, skoro umiejętnie broni się przed próbami manipulacji?

Media były równie bezradne jak politycy. Wielość nie jest przecież tematem, potrzebni są bohaterowie, jak choćby detektyw Krzysztof Rutkowski. Ci jednak chronili się, jak mogli, przed fleszami odżegnując od jakiegokolwiek przywództwa. Pewno większość sama jest zdziwiona tym, co się dzieje – tym, że niewinne dotychczas zabawy w Internecie przełożyły się na rzeczywiste działanie. Sieć doskonale nadaje się, żeby ratować w niej maluchy (mowa o kampanii protestu przeciwko obowiązkowi szkolnemu dla sześciolatków), bronić Wawelu przed niechcianym pochówkiem (a także, by popierać ideę tego pochówku) czy

też walczyć o prawa konsumenckie naruszane przez chciwe banki i biura podróży.

Malcolm Gladwell, publicysta „New Yorkera”, takie formy aktywizmu pogardliwie nazwał „slacktywizmem”: kliknięcie na „lubię to!” na Facebooku czy nawet podpisanie jednej z wielu tysięcy petycji na stronie www.petycje.pl kosztuje niewiele, znakomicie jednak poprawia samopoczucie. Czy zmienia rzeczywistość? Czasem tak, częściej nie. Zwłaszcza że jak dowodzi Evgeniy Morozov, inny krytyczny badacz procesów politycznych w sieci, nigdy nie wiadomo, czy łańcuszek wirtualnego buntu nie jest prowokacją służb specjalnych zastawiających, jak w Iranie, sidła na aktywistów; aktem czarnego PR lub też, co się zdarza – wyrazem czystej i autentycznej energii protestu.

Czasem jednak zdarza się, że sygnał wysłany w sieci społecznościowej porusza wolę, która uruchamia aparat mięśniowy i podrywa do działania. Nie sposób zapomnieć, jak wieść o śmierci drobnego przestępcy Marka Duggana, zastrzelonego przez policję, wypchnęła na ulice tłumy londyńczyków. Zmobilizowana tragiczną śmiercią wielość ujawniła najczarniejsze oblicze niszczącej masy. Badania nad strukturą letnich buntów w Anglii trwają, kolejne warstwy informacji odsłaniają rzeczywistość, która w dużej mierze potwierdza obserwacje Michela Wieviorki. Francuski socjolog w książce „La violence” pisze m.in. o przemocy ekspresywnej – do jej eksplozji dochodzi wówczas, gdy zablokowane zostają inne kanały społecznego komunikowania. Gdy warstwy zmarginalizowane pozbawione są możliwości legalnego i zalegitymizowanego w dyskursie publicznym wyrażania swoich roszczeń, sięgają po medium radykalne, przemoc.

Polska wielość nie uległa pokusie przemocy, co chyba jeszcze bardziej przeraża polityczny establishment. Dlaczego? Bo zgromadzony na ulicach tłum pokazał, że nie

jest motłochem, lecz tworzy opinię – zbiorowe ciało wyrażające wspólnie i konsekwentnie przekonanie o wymiarze roszczenia, którego przedmiotem jest interes ogólny. Jak pisał 100 lat temu francuski psycholog społeczny Gabriel Tarde w książce „L'Opinion et la foule" (Opinia i tłum), opinia tym różni się od tłumu, że jest odporna na złą pogodę. Próba mrozu pokazała, że wielość z polskich ulic jest opinią par excellence.

To silne i nieoczekiwane w swej formie objawienie się autentycznej opinii poza dotychczasowymi kanałami komunikowania jest symptomem głębokiego kryzysu sfery publicznej, która polega na tym, przypomnijmy Kanta, że osoby prywatne w swej prywatności występują w przestrzeni publicznej, by zabrać głos o sprawach publicznych. Sfera publiczna uległa komercjalizacji, główną i oczekiwaną formą uczestnictwa osób prywatnych w życiu publicznym stała się konsumpcja.

Ten model skomercjalizowanej sfery publicznej wielość z polskich ulic odrzuciła. Czy z protestu wyłoni się nowy model? Odpowiedź na to pytanie wymaga wielkiej wyobraźni od wszystkich uczestników życia publicznego, zarówno establishmentu, jak i nowych aktorów odkrywających swą obywatelską podmiotowość. Twórcza wyobraźnia jest potrzebna, by uruchomić cykl innowacji politycznych niezbędnych, by włączyć w główny nurt życia publicznego te nowe formy podmiotowości. Tylko w ten sposób można będzie modyfikować i usieciawiać system, by w końcu wyzwolić się z folwarku.

Proces niezwykle trudny, nie tylko dlatego, że wywołuje opór grup interesu zagrożonych zakwestionowaniem status quo. Większą przeszkodą jest istnienie barier o charakterze epistemologicznym, polegających na niezdolności do wytworzenia wiedzy w adekwatny sposób reprezentującej społeczną rzeczywistość, a tym samym umożliwiającej mobilizację do skutecznego działania. Żyjemy w sytuacji

dysonansu dyskursywnego – nieustannie posługujemy się zarówno w debacie publicznej, jak i rozmowach prywatnych wyobrażeniami siebie i świata odbiegającymi od tego, jacy my sami jesteśmy i jaki jest świat.

Oto żyjemy nieustannie w kulturze folwarku i jesteśmy społeczeństwem w swej masie i korzeniach chłopskim, o szczególnej kondycji wielowiekowego pańszczyźnianego niewolnictwa. Udajemy jednak, że mieszkamy w dworku, że wszyscy jesteśmy ze szlachty i budujemy swą wyobrażoną tożsamość w oparciu o kody kultury szlachecko-sarmackiej. W efekcie powstaje potworek-hybryda tożsamości, warchoł nieprzestrzegający procedur, lecz jednocześnie pokornie gnący grzbiet przed zwierzchnikiem.

Oczywiście nie ma powrotu do tożsamości esencjalnych, wspólnotą wyobrażoną jest naród i bycie we wspólnocie także polega na odgrywaniu ról, które konstruuje wyobraźnia wspomagana podpowiedziami podsyłanymi przez kulturę i media. Problem zaczyna się wówczas, kiedy konstruowane tożsamości utrudniają życie, bo tworzą fałszywą samowiedzę. Jeśli sobie wmówimy, że jesteśmy Mesjaszem narodów i że 10 kwietnia 2010 r. Bóg wysłał sygnał dla swego wybranego Ludu, to do takiej samowiedzy projektować będziemy działania, marnotrawiąc energię na niekończące się żałobne rytuały mające usensownić bezsens – tragiczną katastrofę będącą dziełem przypadku, jakiego można było uniknąć.

Jeśli sobie wmówimy, że nowoczesność polega na umiejętności zorganizowania dużej imprezy sportowej, to będziemy w szaleńczym amoku czopować polskie metropolie betonowymi potiomkinowskimi konstrukcjami, myląc przyczynę ze skutkiem. Mimo usilnych starań nie udało się w żaden sposób uspołecznić projektu Euro 2012, choć badania prowadzone przez socjologów pokazały, że głód partycypacji wyraźnie istniał. Zamiast wykorzystać ten potencjał, daliśmy się całkowicie skolonizować UEFA

oddając w pacht tej prywatnej organizacji władzę nad naszą przestrzenia publiczną.

Warszawa ze Stadionem Narodowym stojącym vis à vis stalinowskiego Pałacu Kultury i Nauki stała się jeszcze bardziej miastem Trzeciego Świata niż wtedy, gdy w miejscu Stadionu żył Jarmark Europa. Jeden z niewielu rzeczywiście żywych, kosmopolitycznych fragmentów miasta ustąpił przed monumentem chorej wyobraźni, odgrodzonym płotem, na wzór setek zamkniętych warszawskich osiedli upodabniających stolicę Polski do Johannesburga.

Jeśli sobie wmówimy, że społeczeństwo wiedzy polega na liczbie studiujących i zdających maturę, to będziemy robić wszystko, by przybywało uczelni, a kryteria egzaminacyjne zbytnio nie utrudniały testu dojrzałości. Gdybyśmy uznali, że społeczeństwo wiedzy polega na wiedzy, to inwestowalibyśmy w biblioteki i czytelnictwo, w wyposażenie szkolnych laboratoriów i dostęp do kultury. Zamiast jednak rozwijać wśród młodzieży niemierzalną zupełnie zdolność do krytycznego myślenia, polegającą na wyjątkowości i niepowtarzalności, stworzyliśmy perfekcyjny system testowania pod klucz, prowadzący do konformizmu testowego i standaryzacji.

Gdy zaburzone przez dysonans dyskursywny tożsamości jednostkowe i zbiorowe zaczynają konfrontować wynikające ze swych wyobrażeń reprezentacje rzeczywistości, swoją samowiedzę, nieuchronnie w debacie publicznej zaczyna rządzić coś, co w języku angielskim nosi miano „bullshit”, a tłumaczone na polski bywa jako „pieprzenie” lub „gówno prawda” (to drugie tłumaczenie wydaje się bliższe angielskiemu źródłu).

Amerykański filozof Hary G. Frankfurt poświęcił pojęciu „bullshit” ciekawą rozprawkę opublikowaną w 1986 r. Wydana w 2005 r. ponownie jako samodzielny esej przez

wiele tygodni nie schodziła z listy bestsellerów „New York Timesa”. Czym jest więc bullshit?

Otóż ma tak się do rzeczywistości jak kłamstwo, kłamstwem jednak nie jest. To bowiem wymaga, by kłamiący wiedział, jaka jest prawda. Kłamcę i prawdomówcę łączy znajomość prawdy. Kto szerzy bullshit – nie kłamie, choć szerzy fałszywy obraz rzeczywistości, i dlatego w istocie bullshit gorszy jest od kłamstwa.

Frankfurt stwierdza już na samym początku swego eseju: „Jedną z najważniejszych cech naszej kultury jest to, że tak wiele w niej pieprzenia. Wszyscy o tym wiemy. Każdy z nas ma swój udział. Traktujemy jednak tę sytuację za normalną”. Dlaczego tak się dzieje? Zastanawia się filozof i dostrzega, że nie sposób uniknąć pieprzenia w sytuacji, gdy jest się zmuszonym do wypowiadania na tematy, o których nie ma się pojęcia.

W społeczeństwie nasyconym komunikacją pokusa do takich wypowiedzi pojawia się często, wszak demokratyczna cnota obywatelska polega na tym, by mieć zdanie nie tylko na tematy należące do profesjonalnych kompetencji. Wypowiadamy się więc chętnie i na każdy temat, rzadko jednak utrzymując zgodność wypowiadanych zdań z faktami. Zgodność tę zastępuje szczerość, czyli zgoda z własną osobą. Ba, nawet jednak jednostkowa tożsamość staje się coraz mniej stabilna, o czym obszerniej piszę w drugiej części książki, tak więc i szczerość traci oparcie w, wydawałoby się, najtwardszych faktach, wynikających z percepcji samego siebie. Tak więc nawet szczerość to bullshit, konkluduje Frankfurt.

W rezultacie pojawia się dość dramatyczna sytuacja. Jak wyjaśnia nestor niemieckiej socjologii Jürgen Habermas, sfera publiczna to przestrzeń racjonalnej rozmowy, której celem jest porozumienie między interlokutorami. Co jednak dzieje się ze sferą publiczną, gdy racjonalną rozmowę zastępuje pieprzenie? Trudno spodziewać się, że pieprzenie

może prowadzić do społecznej samowiedzy polegającej na właściwym rozpoznaniu rzeczywistości i zaprojektowaniu adekwatnych działań, nawet jeśli prowadzi do zgody. Prędzej już efektem pieprzenia będą popieprzone projekty przenikające rzeczywistość polityczną zarówno obozu władzy, jak i opozycji: czym innym niż pieprzeniem jest sprzedawanie Euro 2012 jako wyzwania modernizacyjnego, doszukiwanie się ekolewackiego spisku w teorii antropogenicznego globalnego ocieplenia i rosyjskiego zamachu jako przyczyny katastrofy lotniczej zawinionej rodzimą głupotą.

Co zrobić, kiedy pieprzą wszyscy: prezydent i jego doradcy, premier i jego ministrowie, szefowie partii opozycyjnych i ich spin doktorzy, a wtórują im w tym trudzie profesorowie Akademii Nauk, celebryci oraz obywatele – czym innym niż festiwalem obywatelskiego pieprzenia było siedmiogodzinne spotkanie w Kancelarii Premiera w sprawie ACTA? Kiepska to pociecha, że jak wynika z tekstu Frankfurta, produkcja bullshitu nie jest wcale polską specjalnością.

Alain Badiou, francuski filozof, z optymizmem twierdzi jednak, że istnieją procedury prawdy, kiedy poprzez działanie, poprzez udział w wydarzeniu dostępujemy doświadczenia rzeczywistości. Wydarzeniem w tym sensie była rewolucja na placu Tahrir w Egipcie, kiedy zgromadzeni buntownicy powiedzieli „dość pieprzenia!” i obalili reżim Mubaraka.

Czym w takim razie były polskie uliczne protesty przeciwko ACTA? Wydarzeniem, karnawałem racjonalności, jak pisałem wcześniej, kiedy tworzyła się nowa zbiorowa samowiedza ujawniająca przenikający zastaną społeczną rzeczywistość bullshit? Czy też tylko pieprzeniem?

Nie sposób ocenić na gorąco. Prawdziwe wydarzenie inicjuje proces historyczny, zmienia nieodwracalnie

rzeczywistość społeczną, powoduje, że na skutek aktu samowiedzy – spotkania ciał w przestrzeni publicznej w imię jakiejś ważnej racji – nie ma już powrotu do wcześniejszego stanu. Pseudowydarzenie nie zmienia nic, jest happeningiem, kiedy w niezobowiązujący sposób można sobie popieprzyć, by potem rozejść się do domu.

Nie wiemy więc, co tak naprawdę się stało – przekonamy się z czasem. Żywię jednak utopijną nadzieję, że wydarzyło się coś ważnego, że zatlił się kolejny płomyk energii społecznego działania. Energii oporu wobec zastanej rzeczywistości, wyrażającej przekonanie, że zmiana jest możliwa, że przyszłość nie jest zdeterminowana, lecz zadana. To niezbędny krok, by obudzić ducha innowacji, który żywi się krytyką zastanej rzeczywistości i niezgodą na bullshit. Innowacja jest błyskiem, w którym ujawnia się przyszłość i jednocześnie ta przyszłość się realizuje. Innowacja nie jest niczym innym niż zasadą nadziei w działaniu, wyrazem utopijnego realizmu łączącym w sobie akt krytyki, antycypacji i kreacji.

Jeśli ta intuicja choć w części jest słuszna, to warto ów płomyk podtrzymać, ochronić, by nie zdusiło go wszechobecne pieprzenie.

5.0 czy Polska przetrwa do 2030 roku?

To pytanie bez sensu! – odpowiedziało od razu kilka osób, z którymi podzieliłem się tematem swoich rozmyślań. Jaki ma sens myślenie w kategoriach narodowych, gdy widać wyraźnie, że rosnąca złożoność wyzwań, z których coraz więcej ma skalę globalną, wymaga opuszczenia zaścianka i integracji ponad granicami państwa narodowego? Inni, przyglądając się finansowym kłopotom Unii Europejskiej, pokazują, że ciągle nikt nic lepszego niż państwo narodowe nie wymyślił i że Polska jest najlepszą gwarancją, żeby Polska była Polską.

Moje pytanie nie wyklucza jednak żadnej z perspektyw, nie ma charakteru historycznego, lecz strategiczny; nie kryje supozycji o jakimś śmiertelnym niebezpieczeństwie dla zbiorowego bytu Polaków, lecz próbuje zachęcić do refleksji, co w perspektywie roku 2030 kryć się będzie pod pojęciem „trwanie”. Jak będzie wyglądał świat? Jak ludzie będą zarabiać na życie, na co będą chorować i jak się bawić?

Perspektywa dwóch dekad jest jednocześnie bardzo odległa, by wszelkie prognozy czynić mocno niepewnymi – i bliska na tyle, bo właśnie w 2030 r. zbierać będziemy dobre i robaczywe owoce decyzji lub zaniechań podjętych dziś, na początku drugiej dekady XXI wieku.

Sytuacja jest o tyle szczególna, że bodaj po raz pierwszy nie nastąpi naturalna międzypokoleniowa sukcesja władzy. Decyzje o świecie w 2030 r. podejmują dziś czterdziesto-, pięćdziesięciolatkowie, za lat 20 skończą lub kończyć będą swą aktywność zawodową, patrząc z niepokojem na świadczenia emerytalne. O ich wysokości w dużej mierze

zadecydują transfery ze środków wypracowywanych przez osoby w 2030 r. zawodowo aktywne, czyli dzisiejsze Dzieci Sieci.

Politycznie do takich transferów zmusić nie będzie trudno – „partia emerytów” coraz bardziej zyskuje i będzie nieustannie zyskiwać na sile, zwiększając wpływ na kształt realnej polityki. Z wpływu tego chętnie skorzysta, bo, jak wiemy z dzisiejszych wyliczeń, prognozowane emerytury z trudem zapewnią przetrwanie. Czy młodsi zechcą się podzielić? Wszystko zależeć będzie od wielkości tortu, czyli po prostu od stanu polskiej gospodarki i jej miejsca w globalnym podziale pracy. Bo od tego miejsca zależy ilość pieniędzy, jaka pozostaje w domu. Kto wymyśla iPada, bierze więcej niż ten, kto go montuje.

Jeśli pozostaniemy montownią, niewiele zostanie do dzielenia. Ewentualną solidarność pokoleń zastąpi międzypokoleniowa wojna, kiedy żyjący w niedostatku emeryci próbować będą wyrwać jak najwięcej od z trudem wiążących koniec z końcem aktywnych zawodowo młodych. A walkom tym przyglądać się będą w ponurym, zrezygnowanym lub pełnym gniewu milczeniu bezrobotni. Z rozlegającym się w tle hukiem walącej się infrastruktury wybudowanej za unijne pieniądze, na której utrzymanie zabraknie pieniędzy już w latach dwudziestych.

To możliwy i prawdopodobny scenariusz. Można go uniknąć – wszystko zależy od wniosków, jakie wyciągniemy z Buntu Sieci. Czy zdołamy wykorzystać ujawnioną energię i uwolnić ducha kreatywności i innowacji, niezbędnego, by zwiększyć efektywność nie tylko gospodarki, lecz w ogóle działania jednostek i całego społeczeństwa? Jeśli chcemy uniknąć, by dzisiejsza wirtualna wojna domowa przekształciła się w perspektywie 2030 r. w realny konflikt o topniejące zasoby, musimy zacząć działać dziś.

To nic odkrywczego, mamy przecież wychodzącą z podobnych przesłanek strategię „Polska 2030. Trzecia

fala nowoczesności” przygotowaną przez Michała Boniego. Powstała ona jako rozwinięcie ogłoszonego w 2009 r. raportu „Polska 2030”, towarzyszy jej szereg innych szczegółowych dokumentów strategicznych. Czy wystarczą, żeby pozytywnie odpowiedzieć na tytułowe pytanie, jeśli nawet przyjmiemy, że zawarta w nich diagnoza jest słuszna, a rozwiązania odpowiednie? Tym bardziej że podobne pytania zadają dziś Francuzi, Amerykanie, Chińczycy, Brazylijczycy – każdy szuka swojego sposobu na urządzenie świata po kryzysie w przekonaniu, że kryzys to zbyt wielka rzecz, żeby go zmarnować.

5.1 Koniec transformacji, czyli polski folwark

Transformacja nie żyje! Niech żyje transformacja! W ciągu dwudziestu lat, w połowę czasu, jaki potrzebował Naród Wybrany, by przejść

przez Morze Czerwone do Ziemi Obiecanej, Polacy wydostali się z gnuśnego bajora realnego socjalizmu na szerokie wody niemniej realnego kapitalizmu. Transformacja dobiegła końca, to główna teza projektu-raportu „Polska 2030” ogłoszonego w 2009 r., a przygotowanego pod kierownictwem Michała Boniego, wówczas szefa zespołu doradców w Kancelarii Premiera.

Teza o końcu transformacji nie budzi zasadniczego oporu, konkluduje bowiem obserwacje faktów i obiektywnej rzeczywistości: mamy demokrację, mamy wolnorynkowy kapitalizm, osiągnęliśmy cele polityczne i strategiczne stając się częścią euroatlantyckiej wspólnoty oraz członkiem Unii Europejskiej. Ba, zmieniło się także społeczeństwo – strajki podejmowane w imię godności zawodowej przez górników, hutników, kolejarzy, pielęgniarki, nauczycieli były, jak wyjaśniał Michał Boni,

niezbędnym etapem demontażu dyskursywnych struktur organizujących społeczny gniew, odziedziczonych po epoce przemysłowej, tożsamej w Polsce z epoką realnego socjalizmu. Etap protestów godnościowych mamy jednak już za sobą.

Za sobą także mamy lekcję populizmu w specyficznym, polskim wydaniu. Specyficznym, bo choć przyniósł konkretne polityczne skutki w postaci koalicji PiS-LPR-Samoobrona, to jednak był w istocie populizmem bez populos, zdolnym jedynie do mobilizacji radykalnego marginesu. Michał Boni mówił wówczas, w 2009 r., że, owszem, konflikty są w Polsce potrzebne pod warunkiem ich instytucjonalizacji, nie ma jednak potencjału dla społecznej rewolucji.

Diagnozę tę należy traktować bardzo poważnie również w 2012 r., po doświadczeniu katastrofy 10 kwietnia 2010 r. Rozpaliła ona wojnę kulturową, której jednak, jak pokazały zarówno wybory prezydenckie 2010 r., jak wybory parlamentarne rok później, zamienić na gorący konflikt. Jarosławowi Kaczyńskiemu pozostało jedynie marzenie o Budapeszcie. Z diagnozy tej i dalszego rozwoju wydarzeń wynika bowiem, że w obecnej strukturze polskiego społeczeństwa wyczerpała się możliwość zbudowania spójnego projektu politycznego, który byłby w stanie wyartykułować głosy nieobecne w polskiej debacie i zaproponować alternatywną wizję Polski 2030.

Hasło końca transformacji jest w tym kontekście polskim odpowiednikiem tezy o końcu historii sformułowanej przez Francisa Fukuyamę po raz pierwszy w 1989 r. Tak więc historia skończyła się, bo wyczerpał się potencjał dla sporów ideologicznych. Dwie dekady później wiemy wszyscy, że ani rynek nie jest doskonały, ani też państwo nie jest wszechmocne, Polacy jednak swoimi wyborami zdecydowali, w jakich proporcjach i w jakich sferach życia mają ujawniać się rynek i państwo, jak mają organizować

życie społeczno-gospodarcze. Z epoki zarządzania ludźmi przechodzimy do epoki zarządzania rzeczami i rozpoczynamy nowy proces budowy Gospodarki Opartej na Wiedzy i Kreatywności. Jego sukces zależy od decyzji i rozwiązań strategicznych dylematów. Czy utkniemy w stanie rozwojowego dryfu, czy wykorzystamy szanse modernizacyjne? Jak wykorzystamy zmiany demograficzne? Jaki model aktywności zawodowej wybierzemy? Czy nadal będziemy preferować biedną stabilność nad dynamiczną adaptacyjną mobilność? Palenie albo zdrowie, bieda albo bogactwo. Wybór należy do ciebie.

Czyżby? Teza o końcu transformacji skłania do postawienia kilku pytań problematyzujących pogodny obraz transformacyjnego sukcesu, jaki został odtrąbiony 4 czerwca 2009 r. przy okazji jubileuszu pierwszych wolnych wyborów. Pytanie zasadnicze: w jakim miejscu globalnego systemu współczesnego kapitalizmu Polska się znalazła? Czy jesteśmy, używając terminologii Immanuela Wallersteina, bliżej centrum, czy też może przesunęliśmy się w kierunku peryferii? I na ile autonomicznie możemy o swoim miejscu w systemie decydować, a na ile to właśnie centrum decydujące o światowym podziale pracy określa nasz los?

Opracowanie „Polska 2030” stwierdza: „Historia polskiego sukcesu gospodarczego lat 1990–2008 obok niewątpliwych atutów miała też trzy wyraźne słabości: 1) niskie stopy inwestycji i oszczędności, 2) rezygnację z pracy znacznej części osób w wieku roboczym oraz 3) nie w pełni odpowiadającą polskiemu potencjałowi dynamikę wzrostu produktywności. Zrównanie poziomu zamożności z krajami rozwiniętymi wymagać będzie zniwelowania tych słabości. Oznacza to konieczność szybszej niż dotychczas adaptacji technologii światowych, lepszego wykorzystania i podniesienia jakości zasobów pracy oraz intensywniejszej i lepiej zlokalizowanej akumulacji kapitału fizycznego”.

Cytat jest miarodajną próbką stylu dominującego w raporcie „Polska 2030”, pozornie neutralnego i technokratycznego, który jednak zamiast prowadzić do odpowiedzi, ujawnia mnóstwo problemów. Jak można bowiem czytać powyższy fragment? Przyszedł w 1990 r. kapitalizm do Polski i miliony, w sumie ok. 5 mln ludzi, „zrezygnowało z pracy”. Zapewne nowy system otworzył przed nimi lepsze perspektywy życia? Punkt pierwszy wskazuje jednak, że „rezygnujący z pracy” nie zostali rentierami – gdyby tak się stało, wzrosłaby stopa inwestycji i oszczędności. Jeśli ta stopa była mała, to może po prostu dlatego, że ci, którzy „zrezygnowali z pracy”, przejedli swoje oszczędności, by pierwszy okres transformacji przeżyć? Być może więc to nie oni zrezygnowali z pracy, tylko praca zrezygnowała z nich?

Restrukturyzacja socjalistycznego przemysłu była koniecznością, nie tylko jednak gospodarczą. Była koniecznością także polityczną, bo poprzez proces dezaktywizacji zawodowej prowadziła jednocześnie do procesu dezaktywizacji politycznej najlepiej zorganizowanych grup zawodowych zdolnych do najskuteczniejszego oporu. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, której gniew pogrzebał realny socjalizm, sama musiała odejść wraz ze starym systemem na śmietnik historii, by przez przypadek ten sam gniew nie zahamował rozwoju kapitalizmu. Piętno tego elementu pierwszego okresu transformacji, „jej obiektywnie konieczny koszt” odcisnął się trwałym śladem na całym dwudziestoleciu i w znacznym stopniu określa możliwości rozwoju w kolejnych dekadach (na co słusznie, choć za pomocą innej retoryki, zwraca uwagę raport „Polska 2030”).

Chodzi o podwójny problem: wysokiej stopy bezrobocia i niskiej stopy aktywności zawodowej. Wysokie bezrobocie, przekraczające w najgorszym okresie 20 proc., oznacza w sensie gospodarczym istnienie olbrzymiej rezerwowej

armii pracy. Łatwy dostęp do takiego zasobu wywołuje skutki opisane w punkcie trzecim cytatu z „Pol-ski 2030”: nie skłania do szybkiego zwiększania wydajności pracy, nie skłania też do inwestowania w rozwój kapitału fizycznego i nowe technologie. Po co, skoro na rynku jest pod dostatkiem taniej pracy?

Grzech pierworodny naszej transformacji polegający na trwałej dezaktywizacji zawodowej i wyprodukowaniu wielkich obszarów trwałego strukturalnego bezrobocia skutkuje wieloma innymi efektami. Rynek pracy rozwijający się w cieniu owej wielkiej armii rezerwowej doprowadził do rozwoju specyficznej kultury organizacyjnej w działających w Polsce firmach. Z jednej strony napływający kapitał zagraniczny zyskał doskonałą przestrzeń do realizacji eksperymentów, jakich nie był w stanie przeprowadzić w krajach macierzystych. Wystarczy sięgnąć po książkę „Prywatyzując Polskę” (Krytyka Polityczna 2008 r.) autorstwa amerykańskiej socjolożki Elisabeth Dunn. Opisuje w niej transformację rzeszowskiej Alimy, znanej wszystkim polskim rodzicom wytwórni żywności dla niemowląt.

Antidotum na eksperymenty kapitału zagranicznego nie jest kapitał polski, bo ten z kolei, jak pokazał prof. Janusz Hryniewicz w książce „Kultura polskich organizacji” (Warszawa 2007 r.), twórczo rozwija zdobycze polskiej myśli organizacyjnej. Jej szczytowym osiągnięciem jest wynaleziona jakieś czterysta lat temu folwarczna organizacja pracy. Polskie organizacje: firmy, biura, uczelnie i partie polityczne, kopiują w sensie strukturalnym, lecz także normatywnym, kulturę folwarku. Norma kreatywności i innowacyjności, tak premiowana we współczesnych podręcznikach zarządzania, jest tu realizowana w formie zaradności, cwaniactwa i kombinowania.

Tak skonstruowane przedsiębiorstwa, niezależnie od tego, jaki kapitał nimi włada, nie mogą być wydajnymi promotorami modernizacji, co zresztą doskonale ujawniają statystyki pokazujące, jakie sektory jakich kompetencji potrzebują od swoich pracowników. Kolejne edycje „Diagnozy społecznej" przygotowywanej pod kierownictwem prof. Janusza Czapińskiego mówią wprost, że popyt na wyższe umiejętności tworzy głównie sektor publiczny. W sektorze prywatnym nowocześni są prywatni właściciele, lecz są także racjonalni i wiedzą, że nie potrzebują kosztownych umiejętności od swoich pracowników. Nie potrzebują, bo w sektorze prywatnym najlepiej rozwijają się firmy w przemyśle drzewnym, przetwórstwa spożywczego i prostych usług, gdzie bardziej potrzebna jest twarda dyscyplina niż kreatywność.

Gospodarka o strukturze na poły feudalnej, a na poły kolonialnej nie tylko nie potrzebuje wielu kompetencji pracowniczych, o jakie zabijają się firmy centrum. Nie potrzebuje także endogennej działalności badawczo-rozwojowej. Technologie niezbędne dla zapewnienia jakości produkcji umożliwiającej eksport polskich okien, mebli, masła kupuje się u sprawdzonych dostawców zagranicznych. Własna innowacyjność nie jest zaś potrzebna, bo inwestuje się w nią wszędzie na świecie dopiero wówczas, gdy zostaną wyeksploatowane inne, mniej ryzykowne, czynniki tworzenia przewagi konkurencyjnej. Niezależnie od liczby ustaw, strategii i konferencji na temat relacji przemysłu ze sferą badań i rozwoju relacje te nie wypełnią się realnym życiem tak długo, jak długo gospodarka nie zacznie potrzebować innowacji. Gospodarka kieruje się jednak logiką kapitału, który lokuje się w miejscach obiecujących największe stopy zwrotu. Ciągle najlepiej opłaca się dyskontować potencjał rezerwowej armii pracy.

Co w takim razie z jednym z największych wyznaczników sukcesu polskiej transformacji, jakim ma być boom edukacyjny i wielokrotny wzrost liczby osób podejmujących studia wyższa? Zaiste, analizując tylko ten fragment naszej rzeczywistości, należałoby uznać, że nie tylko dogoniliśmy, lecz i przegoniliśmy rozwinięty świat. Sektor edukacji wyższej to jedna z najważniejszych gałęzi polskiej gospodarki. Uczelnie są największymi pracodawcami w polskich metropoliach, a poziom skolaryzacji polskiego społeczeństwa dynamicznie rośnie.

Warto jednak przypomnieć sobie statystyki rynku pracy z okresu tuż przed akcesją do Unii Europejskiej. Jasno było wówczas widać, że bezrobocie rośnie najszybciej wśród absolwentów szkół wyższych. Nowe legalne rynki pracy w Wielkiej Brytanii, Irlandii, Szwecji, jakie otworzyły się w 2004 r., rozbroiły tę bombę – fala emigracji uniosła niepotrzebne nikomu w Polsce umiejętności nabyte często za ciężkie pieniądze.

Rosnące kompetencje młodych Polaków w strukturze polskiej gospodarki nie rozwiązują problemu grzechu pierworodnego transformacji. Rezerwowa armia pracy nie znika, tylko zmienia się jej struktura. Ludzie, którzy ze stanu bezrobocia uciekali w krainę studiów, wracają do armijnych szeregów, ku radości kapitału. Dell w Łodzi mógł pozwolić sobie na zatrudnianie przy taśmie montażowej pracowników z wyższym wykształceniem za cenę, za jaką w Irlandii ledwo dałoby się złapać absolwenta liceum.

Jednym z mitów fundujących III Rzeczpospolitą i legitymizujących koszty transformacji, powtarzanym w raporcie „Polska 2030”, jest opowieść o tym, że porzucając realny socjalizm polskie społeczeństwo wróciło do stanu „normalności”. Mit ten analizował literaturoznawca Przemysław Czapliński w książce „Efekt bierności. Literatura w czasie normalnym” (Wydawnictwo Literackie 2004 r.): „Mit ten mówił, że »normalne« jest

przeciwieństwem »totalitarnego«, a zatem że wolność stanowi samoczynny układ pozwalający istnieć (działać, żyć, tworzyć, pracować, zarabiać) normalnie”.

Czapliński analizując funkcjonowanie tego mitu ujawnia, jak za sprawą kulturowych przekształceń widocznych wyraźnie w literaturze, przyczynia się on do utraty zróżnicowania komunikacji społecznej. Zróżnicowany dyskurs „normalizuje” się, przekształca w ideologię dominującą, „naturalizującą” i obiektywizującą cykl transformacyjnych zmian. Skutkiem ubocznym takiej niezróżnicowanej komunikacji jest „efekt bierności”. Metakultura bierności okazuje się niezwykle funkcjonalna z punktu widzenia transformacyjnej logiki, bo pozwala „znieczulić”, wpisać w system usprawiedliwień polskiego nowego kapitalizmu konieczność istnienia wspominanej już wielokrotnie rezerwowej armii pracy.

Problem w tym, że masowa dezaktywizacja zawodowa, coś co miało być jedynie chwilowym, koniecznym kosztem transformacji, wymagała wyprodukowania ideologii, która stała się kluczowym składnikiem ducha polskiego kapitalizmu. Przypomnijmy za Maksem Weberem i jego współczesnym uczniem, francuskim socjologiem Lukiem Boltanskim, że kapitalizm wymaga złożonego kulturowego systemu uzasadniającego społeczne zaangażowanie w ciągłe odtwarzanie systemu. Kapitaliści potrzebują zestawu norm kulturowych uzasadniających konieczność nieustannej akumulacji kosztem bieżącej konsumpcji, pracownicy potrzebują zestawu wyjaśnień tłumaczących im sens wyzysku i dyscypliny pracy, bezrobotni w końcu potrzebują opowieści tłumaczącej, dlaczego nie powinni użalać się nad swoim losem, bo sami są zań odpowiedzialni.

Duchem polskiego kapitalizmu jest duch bierności, który wyraża się nie tylko w postawach na rynku pracy, lecz szerzej, w innych sferach życia, w bierności politycznej, kulturowej i społecznej Polaków. Niestety, różnica między

społeczeństwem, które w roku 1980 ożywiał duch solidarności i wolności, a po roku 1989 pielęgnuje ducha bierności, jest taka, jak między pełnokrwistym ogierem a nadającym się do pociągowej roboty wałachem. Z chwilą, gdy obwieściliśmy koniec transformacji, nie ma już sensu pytanie, czy autokastracja była konieczna. Istotniejsze jest pytanie o przyszłość, czyli o to, czy jesteśmy w stanie zmienić ducha bierności.

„Polska 2030" nie pozostawia wątpliwości, że jedynie transformacja ducha polskiego kapitalizmu do aktywnej jego postaci, premiującego nie tylko za pomocą rynkowych bodźców, lecz także kulturowych norm aktywność nad biernością, adaptacyjność nad stabilnością, mobilność nad gnuśnością, może przynieść pozytywne odpowiedzi na wskazane w raporcie dylematy. Transformacja ducha solidarności do ducha bierności nastąpiła zdumiewająco szybko, bo okazała się funkcjonalna zarówno dla wewnętrznej logiki transformacji, jak i logiki globalnego kapitału i interesów centrum. Czy dziś możliwy jest równie szybki proces przekształcenia do odnowionego ducha solidarności? Czy nie jest to, by użyć raz jeszcze weterynaryjnej metafory, próba uczynienia wałacha ogierem? A ujmując rzecz nieweterynaryjnie, problem w tym, czy tak potrzebna dziś transformacja jest tylko postulatem, czy też ukształtują się zewnętrzne i wewnętrzne warunki systemowe umożliwiające jej realizację?

Michał Boni mówił w 2009 r., że szansą na uruchomienie pozytywnej transformacji będą warunki polityczne umożliwiające rozpoczęcie posttransformacyjnej transformacji. Założenia z 2009 r. po części się spełniły. Nikt nie mógł przewidzieć katastrofy smoleńskiej, zbyt optymistyczne okazały się prognozy zapowiadające koniec kryzysu. Plan polityczny udało się jednak wykonać, nikt już

nie przeszkadza w rządzeniu (z uwzględnieniem oczywiście humorów koalicjanta).

Póki co, mimo upływu czasu modernizacyjnego skoku, nie widać, choć można o nim przeczytać w dokumencie dopełniającym projekt „Polska 2030”. To strategia „Polska 2030. Trzecia fala modernizacji”. Uwzględnia on dyskusję, często krytyczną, jaką wywołał raport z 2009 r. Zawiera mnóstwo racjonalnych obserwacji, wskazuje zadania i cele. I co z tego?

Czy strategia rzeczywiście doprowadzi do zmiany ducha polskiego kapitalizmu? Zależeć to będzie zarówno od realnej polityki, jak i czynników pozapolitycznych. Kluczową rolę na pewno odegra kapitał. Czy proponowane zmiany będą zbieżne z logiką działania i interesem kapitału zarządzanego z pozycji globalnego centrum, jak i z lokalnych ośrodków dyspozycyjnych? Bo jego logika jest prosta, przypomnijmy, polega na szukaniu obszarów gwarantujących najszybsze zwroty z inwestycji. W tym celu kapitał i jego agenci wykorzystują wszelkie możliwe instrumenty, zarówno mechanizmy rynkowe, jak i instytucje państwa.

Rynek jest w tym przypadku medium neutralnym, istotniejsza jest rola państwa i pytanie, w czyim (niekoniecznie uświadomionym) interesie służy. Transformacja wszystkich krajów realnego socjalizmu pokazuje, że państwo odgrywało w tym procesie najważniejszą rolę decydując o strumieniach redystrybucji. W zależności od lokalnego kontekstu i gry sił, albo bardziej wspierało lokalne oligarchie, jak w Rosji lub na Ukrainie, albo próbowało równoważyć w różnym stopniu interesy globalnego centrum i potrzeby lokalnego kapitału.

Niezależnie od tych proporcji główną rolą państwa w krajach transformacji była organizacja i zarządzanie procesem „enclosure of the commons”, czyli grodzenia dobra wspólnotowego (utożsamianego z posocjalistyczną

własnością państwową, choć proces objął także własność spółdzielczą, która często okazywała się przyczółkiem do prawdziwej prywatyzacji, jak pokazuje proces przekształcania RSW i polskiej prasy).

Niezależnie od racjonalizacji uzasadniających procesy prywatyzacji, gdzie argumenty metafizyczne o wyższości własności prywatnej nad innymi formami własności mieszały się z argumentami o konieczności, bo przecież zawsze trzeba było łatać jakąś dziurę budżetową, państwo przekształciło się de facto w funkcjonariusza kapitału. Nowa transformacja wymaga, by państwo było funkcjonariuszem społeczeństwa, zdolnym kierować procesami akumulacji i kapitałowych przepływów. Czy polskie państwo jest w stanie odzyskać taką sprawczość?

To kluczowa kwestia, którą również analizują autorzy „Polski 2030”. Tyle tylko, że w ich wizji sprawczość jest synonimem sprawności zarządzania. Chodzi więc o sprawne zarządzanie usługami publicznymi i dobrem wspólnym, którego definicja ma powstawać na drodze autentycznego dialogu społecznego. Autentycznego, bo ma w nim być miejsce również na konflikt. Konflikt rozumiany w kategoriach liberalnych, czyli zróżnicowaną artykulację interesów, które można zważyć i zmierzyć, a potem za pomocą odpowiednich technik negocjacyjnych przekształcić w kompromis.

Ta szlachetna wizja wymaga jednak nie tylko sprawnego, lecz silnego państwa. Silnego politycznie, a więc dysponującego odpowiednią legitymacją wydaną przez społeczeństwo. Tu jednak przypomina o sobie duch bierności, którego jednym z aspektów jest bierność polityczna Polaków. W wielkich wyborach 2007 r. frekwencja wyniosła tyle co w ostatnich wyborach w Afganistanie. W wyborach w 2011 r. zainteresowanie Polaków procedurami demokratycznymi utrzymało się na tradycyjnym, niskim poziomie.

Nie wyciągam stąd od razu wniosku, że polityczna legitymacja dla działania państwa polskiego jest równie silna (słaba), jak państwa afgańskiego. Trudno jednak zaprzeczyć, że społeczne osadzenie władzy i instytucji państwa jest w Polsce niezwykle słabe, co też powoduje, że są one słabym depozytariuszem społecznych interesów. Władza staje się depozytariuszem tych, którzy mają głos i są w stanie dobitnie swój interes wyartykułować. Problemem Polski jest wszakże milcząca większość, w żadnej debacie nieuczestnicząca, niezdolna lub niewidząca potrzeby artykulacji.

Czy jest sposób, by tę milczącą większość wciągnąć do struktur autentycznego dialogu społecznego, o którym mówi Michał Boni? Pytanie ważne. Francuski socjolog Michel Wieviorka pisze w książce „La Violence” (Przemoc), że milcząca większość przez swą bierność wcale nie stabilizuje systemu społecznego. Przeciwnie, przez brak zdolności wyrażania gniewu w strukturach dyskursywnych pozbawia władzę możliwości zarządzania konfliktem. Niewypowiedziany konflikt bardzo łatwo komunikuje się za pomocą medium przemocy. Być może więc nie ma w Polsce potencjału do wybuchu rewolucji społecznej. Nie znaczy to, że nie grozi w każdej chwili eskalacja bezprzedmiotowej, niepolitycznej przemocy. Do podobnych zresztą wniosków dochodzą inni filozofowie społeczni, jak choćby Chantal Mouffe w swych analizach liberalnych, postpolitycznych koncepcji uprawiania polityki.

Projekt „Polska 2030” jest próbą sformułowania rozwojowej wizji techniką oświeconego namysłu przez grono racjonalnych ekspertów oderwanych od logiki bieżącej walki politycznej i instytucjonalnej. To oni za pomocą obiektywnych instrumentów: danych socjologicznych, wskaźników i milionów porównań, mają stworzyć prawdziwy obraz społeczeństwa, włącznie z jego milczącą częścią.

Obraz ten ma posłużyć do zaprojektowania niemniej obiektywnego projektu modernizacyjnego, wspomnianej postransformacyjnej transformacji.

Michał Boni sam jednak przyznawał, że przy tworzeniu swego projektu był zakładnikiem logiki skuteczności politycznej. Możliwość transformacji jest ograniczona przez zdolność klasy politycznej do zrozumienia jej celów. Czy klasa polityczna ukształtowana w kapitalizmie, w którym panował duch bierności i jest emanacją tego ducha, będzie zdolna do przekroczenia samej siebie i swoich ograniczeń? Czy baron Münchhausen jest w stanie sam siebie wyciągnąć za włosy z bagna? Konieczny jest zatem kompromis między wizją a politycznym realizmem, ze wskazaniem na realizm. Jaki tego będzie efekt?

Warto w tym miejscu przypomnieć wielki esej Istvana Bibo, historyka węgierskiego i przewodniczącego węgierskiego parlamentu w 1956 r., zatytułowany „Bieda małych państw wschodnioeuropejskich”. Analizuje w nim los Polski, Czech i Węgier. Pokazuje zdumiewającą konsekwencję, z jaką elity polityczne tych krajów, kierowane swoiście pojmowanym lokalnym realizmem, podejmowały projekty rozsynchronizowane z duchem czasów. Można zachwycać się modernizacyjnymi osiągnięciami II Rzeczpospolitej, lecz skazana została ona na marny koniec nie w chwili podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow, lecz w momencie sygnowania pokoju ryskiego kwestionującego linię Curzona jako naturalną wschodnią granicę Polski, stwierdza Bibo.

Przywołuję Bibo nie dlatego, by analizować w szczegółach jego esej, lecz by na nowo postawić zawartą w nim tezę: czy nowy duch polskiego kapitalizmu definiowany w „Polsce 2030” zgodny jest z duchem kapitalizmu, jaki tworzy się w centrum? Widać bowiem wyraźnie, że obecny kryzys gospodarczy to więcej niż tylko przejaw działania cyklu koniunkturalnego. Już nie

wystarczy obudzić dawny popyt, by powrócić na ścieżkę rozwoju. Zupełnie inaczej należy pojęcie rozwoju zdefiniować, choćby ze względu na zagrożenia ekologiczne i deficyt surowcowy.

Dlatego walka z kryzysem, jaką podejmują kraje centrum, zwłaszcza Stany Zjednoczone, lecz także Niemcy, Japonia, Korea Południowa, Chiny, Brazylia, polega nie tylko na stymulowaniu popytu przez inwestycje publiczne. Inwestycje te jednocześnie mają przekierować rozwój w nową przestrzeń, którą umownie nazwać można „zielonym kapitalizmem”. Nam realizm każe tkwić przy węglu i walczyć o interes sektora węglowo-energetycznego jak o niepodległość. Na początku marca 2012 r. zawetowaliśmy samotnie projekt unijnej polityki klimatycznej do 2050 r., skazując się na izolację. Historia uczy, że taki realizm może być groźny nawet dla suwerenności.

W końcu sam cel transformacji, jakim jest Gospodarka Oparta na Wiedzy i Kreatywności (zwana w refleksji krytycznej kapitalizmem kognitywnym). GOWiK nie jest rajem, lecz po prostu nowym wariantem kapitalizmu, ze wszystkimi właściwymi dla kapitalizmu problemami i wbudowanym w ten system antagonizmem między kapitałem i pracą. W miejsce problemów, które rozwiązuje kreując nowe źródła rozwoju, pojawiają się nowe trudności, a skala złożoności rośnie. Warto mieć prospektywną świadomość tych sprzeczności, gdyż tylko w ten sposób można choć w pewnym zakresie kontrolować zamiary centrów globalnego rozwoju. Zakres tej kontroli zależeć będzie jednak nie tylko od świadomości reguł gry, lecz także mobilizacji wewnętrznych zasobów.[1]

5.2 Świat wraca do rzeczywistości

Chcemy realnej demokracji, pisze Piotr Czerski w swym manifeście „My, Dzieci Sieci”. Trzeba wrócić do realnej gospodarki, opartej na pracy, a nie spekulacjach, mówią politycy krajów rozwiniętych, zwłaszcza tam, gdzie trwają kampanie wyborcze. Brytyjczycy tęsknią do przemysłu, który dawno już się wyprowadził poza granice Albionu. W Stanach Zjednoczonych konserwatystka Michele Bachman krytykuje modę na wyższe studia za snobizm, uważając, że wykonywanie robotniczej „blue collar job” nie uwłacza nikomu, jeśli robotę dobrze się wykonuje. Ulubionym miejscem spotkań wyborczych kandydatów na prezydenta Francji są fabryki – politycy muszą się jednak spieszyć, bo z krajobrazu znikają kolejne zakłady. Właśnie do Tunezji przeniosła się ostatnia wytwórnia bielizny.

Jeff Immelt, szef General Electric, największego konglomeratu przemysłowego na świecie, chwali się jednak, że jego firma w latach 2010–11 odtworzyła 7 tys. miejsc pracy w przemyśle i znowu pralki oraz lodówki są wytwarzane przez amerykańską firmę na amerykańskiej ziemi. Wcześniej tłumaczył, dlaczego tysiącami zwalniał robotników w USA, przekonując, że produkcja musi podążać za rynkiem

i kapitałem. A największą dynamiką mogą pochwalić się kraje rozwijające.

Nie wszyscy jednak w ten właśnie sposób rozumieją urealnienie. Apple, na początku XXI wieku najdroższa firma na nowojorskiej giełdzie, najdroższa także marka, nie ma skrupułów uznając, że realizm polega na takim zarządzaniu łańcuchem wartości, by wycisnąć zeń jak najwięcej dla akcjonariuszy i dostarczyć maksymalnej satysfakcji klientom. Z tego względu w Stanach Zjednoczonych Apple wytwarza już tylko myśl i zarządza całą resztą produkcji. Urządzenia z japońskich i koreańskich podzespołów

składają Chińczycy, którzy biorą za to kilkanaście dolarów. I są bezkonkurencyjni, bo robotnicza armia śpi w dormitoriach blisko swej fabryki, można ją więc ła-two i szybko zmobilizować, gdy gwałtownie wzrośnie popyt.

Nowa faza konwergencji

Sytuacja jednak się zmienia – Chiny odkrywają, że muszą zmienić lokomotywę napędzającą ich gospodarkę, zmniejszając udział eksportu na rzecz popytu wewnętrznego. Chińczycy się bogacą, liczba dolarowych milionerów przekroczyła już milion! Rośnie szybko nie tylko klasa średnia, lecz także pensje robotników (średnio o 20 proc. rocznie od 2008 r.). Ba, sytuacja demograficzna i społeczeństwo starzejące się szybko na skutek polityki jednego dziecka zaczyna cierpieć, rzecz niewiarygodna jeszcze dekadę temu, na brak rąk do pracy. W Pekinie, Szanghaju, Szenzen niedobór pracowników sięga setek tysięcy osób, to już nie mieszkańcy wnętrza kraju migrują na wybrzeże do tamtejszych fabryk, to fabryki przenoszą się w głąb Chin w pogoni za robotnikami. A gdy ich nie znajdują, idą dalej, do Wietnamu, Bangladeszu, Birmy.

Gdy popyt na pracę przewyższa podaż, płace rosną i Chiny przestają być tanią fabryką świata. Jeśli chcą utrzymać swą pozycję w globalnej gospodarce, muszą postawić na szybki wzrost produktywności, skoro konkurować tanią siłą roboczą się nie da. Dlatego od dekady intensywnie inwestują w nowe czynniki rozwoju, czyli po prostu innowacje. Foxconn, największa firma podwykonawcza na świecie, główny kooperant Apple, zapowiedział w 2011 r., że w ciągu trzech lat zastąpi 500 tys. swych pracowników robotami, które sam zresztą będzie produkował.

Michael Spence, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, przekonuje, że globalizacja wkracza w fazę

kolejnej konwergencji, czyli wyrównywania poziomów gospodarczych krajów rozwiniętych i rozwijających się. Pierwsza faza polegała na prostym uprzemysłowieniu, kiedy zwykłe inwestycje w infrastrukturę gospodarki industrialnej dawały zatrudnienie i przynosiły pierwszą falę wzrostu oraz dobrobytu, finansowanego głównie przez apetyt konsumentów z krajów rozwiniętych. Kolejna faza jest o wiele bardziej złożona – zależeć będzie od tego, czy Chiny, Indie, Brazylia, Indonezja zdołają przejść na model rozwoju napędzanego innowacjami, i to nie tylko kupowanymi (lub kopiowanymi), lecz oryginalnymi.

Trwające od dekady intensywne poszukiwanie odpowiedzi pokazuje, że taka transformacja już się dzieje, tylko prowadzi często do nieoczekiwanych skutków. Jednym z nich jest odkrycie, że znowu opłaca się produkować w Stanach Zjednoczonych. Z jednej strony zmalała kosztowa konkurencyjność chińskich fabryk – wzrosły koszty logistyczne ze względu na ceny paliwa, koordynacja produkcji z dala od centrum badawczo-rozwojowego tworzącego produkt także okazała się zbyt droga i złożona. Gdyby jeszcze tylko udało się coś zrobić u siebie na miejscu, żeby wycisnąć więcej z godziny pracy drogiego robotnika, to można by na nowo otworzyć produkcyjne hale.

Jeff Immelt tłumaczy więc na łamach „Harvard Business Review”, że trzeba było po prostu odwołać się do konkurencji, w jakiej Amerykanie są ciągle liderem – innowacyjności. Nowe sposoby organizacji produkcji i nowe technologie spowodowały, że lodówka powstaje w czasie o 68 proc. krótszym niż wcześniej. I teraz rachunek się zgadza. Co ciekawe, Immelt nie narzeka, lecz chwali współpracę ze związkami zawodowymi. Okazują się one znowu kluczowe, podobnie jak w okresie budowania Nowego Ładu, do budowy podstaw konkurencyjności. Dlaczego? Przecież tam, gdzie działają związki zawodowe,

rosną płace, a więc i koszty. To prawda, kapitalizm jednak odkrywa ponownie prawdy już dawno odkryte, tylko zapomniane w okresie neoliberalnego szaleństwa. Po pierwsze, pracownik to nie maszyna mająca wykonywać powtarzalne czynności, tylko człowiek obdarzony często unikatową wiedzą. To właśnie odwołanie się do tej wiedzy poprzez włączenie robotników do procesów innowacyjnych stało się podstawą wzrostu produktywności w fabryce GE w Louisville. Wiedza ta gromadzi się z czasem, więc opłaca się mieć stabilne zatrudnienie, a nie ciągle wymieniać pracowników na młodszych i tańszych. Związki zawodowe doskonale stabilizują stan zatrudnienia. Opłaca się za to zapłacić, spełniając oczekiwania płacowe. Opłaca się podwójnie, bo lepiej zarabiający robotnicy mają większą siłę nabywczą – przecież to oni będą kupować wyprodukowane przez siebie lodówki.

Lektura zeszytów „Harvard Business Review" z przełomu roku 2011/12, sztandarowego magazynu globalnej klasy menedżerskiej, prowadzi do wrażenia *déja vu*. Gdzieś już kiedyś o wszystkich tych pomysłach, które mają zbawić kapitalizm i Zachód jednocześnie, można było przeczytać. Owszem, najpierw w latach 90. XX wieku o konieczności korekty dla neoliberalizmu i rządów prostej efektywności finansowej pisali intelektualiści lewaccy, potem lewackie poglądy zaczęli uszlachetniać odchyleni na lewo, lecz głównonurtowi ekonomiści, jak Joseph Stiglitz czy Paul Krugman. Dziś w „HBR" Michael Porter pisze, że należy odejść od świętej zasady korporacyjnego kapitalizmu polegającej na maksymalizacji wartości akcji w kolejnych okresach rozliczeniowych.

Dziś trzeba myśleć w kategoriach *shared value*, kiedy korporacja tworzy ze swymi kooperantami złożony ekosystem po to, żeby zwiększyć wartość kreowaną przez cały ten system. W rezultacie powstaje większy tort do podziału, a więc i akcjonariusze mają większą dywidendę.

Dlatego np. Nestlé opłaca się współpracować z plantatorami kawy w Ameryce Południowej, a nie wymuszać na nich najniższą cenę za ziarno. Problemem plantatorów jest bowiem chroniczne niedoinwestowanie i wysokie ryzyko nieurodzaju, które z kolei wpędza w spiralę długów, które uniemożliwiają modernizację uprawy i jeszcze bardziej ją uzależniają od kaprysów pogody. W efekcie plantatorzy ubożeją, a główny odbiorca kawy narażony jest na fluktuacje cenowe oraz zaburzenia dostaw i jakości produktu. Można jednak umówić się na kooperację, w ramach której plantatorzy uzyskują gwarancję zbytu i ceny, co umożliwia planowanie np. inwestycji irygacyjnych. Proste? I opłaca się wszystkim.

„Harvard Business Review” odsłania kolejne „lewackie” rewelacje: warto inwestować w rozwój kompetencji pracowników, bo rośnie w ten sposób ich produktywność. Takie inwestycje nie mają jednak sensu na zbyt płynnym rynku pracy, bo gdy wyszkoli się pracownika, co kosztuje, zwiększa się jego wartość, na którą może skusić się inna firma, oferując trochę lepszą płacę. Jeśli jednak rynek pracy jest ustabilizowany, do czego potrzeba wspomnianych już związków zawodowych, można, podobnie jak z plantatorami kawy w Ameryce Południowej, grać w dłuższej perspektywie.

Ba, zupełna zgroza, ale autorzy „HBR” przekonują, że dobre dla gospodarki są regulacje ekologiczne. Tak, zwiększają one krótkoterminowe koszty działalności, przez to jednak są doskonałym bodźcem dla innowacji i tworzenia nowych rynków. A Christopher Meyer, wzięty biznesowy doradca strategiczny, i Julia Kirby, redaktorka „Harvard Business Review”, autorzy książki „Standing on the Sun: How Explosion of Capitalism Will Change Business Everywhere” (Stojąc na Słońcu. Jak wybuch kapitalizmu zmieni wszędzie biznes), piszą wprost: kapitalizm jest tym, na co umówią się kapitaliści.

Jeśli teraz umawiają się, że należy do rachunku ekonomicznego włączyć koszty zewnętrzne, to nie ma w tym sprzeczności, lecz obserwujemy wielką, kopernikańską rewolucję. Jeśli kapitalizm ma przetrwać, żeby nic się nie zmieniło, wszystko musi się zmienić.

Czyżbyśmy więc wracali do starych, dobrych czasów, kiedy absolwent szkoły zatrudniał się w General Motors, Toyocie lub General Electric i pracował tam do końca życia? Chciałoby się, rację miał jednak Heraklit – nie ma powrotu do tej samej rzeki.

Owszem, otwiera się szansa na odbudowę bazy przemysłowej w krajach rozwiniętych, jeśli nie straciły jeszcze swych innowacyjnych, kreatywnych i przedsiębiorczych kompetencji. Nowa konwergencja oznacza jednak to, że nowi gracze, wkraczając w nową, opartą na innowacyjności fazę swojego rozwoju, zaczynają także wprowadzać swoje filozofie rozwoju. Otóż to prawda, że o dynamice wzrostu światowej gospodarki w głównej mierze będzie decydować apetyt mieszkańców Indii, Chin, Brazylii etc. Dynamicznie rosnąca w tych krajach klasa średnia pragnie podobnego życia jak ludzie Zachodu: wygodnego mieszkania, samochodu, wykształcenia dla dzieci, podróży zagranicznych, najnowszych gadżetów. To dlatego trwa renesans przemysłów luksusowych w Europie – francuski Hermes jest jedną z najlepiej wycenianych firm na francuskiej giełdzie, bo nie może opędzić się od zamówień z Chin. Podobnie Ferrari, Porsche i Mercedes.

Oczywiście, taka ścieżka rozwoju, psychologicznie całkowicie zrozumiała, prostą drogą wiedzie do samobójstwa ludzkości. Po prostu nie ma tylu zasobów, by sprostać temu rosnącemu apetytowi. Przekłada się ten rosnący popyt na kluczowe surowce, a dalej na napięcia o charakterze strategicznym. Zbigniew Brzeziński przekonująco pokazuje w książce „On Strategy”, że łatwo wieszczyć koniec globalnej hegemonii Stanów

Zjednoczonych, trudniej wyobrazić sobie konsekwencje takiego końca. Czy się bowiem lubi Amerykę, czy nie, zbudowała ona największą w dziejach miękką i twardą infrastrukturę stabilizacji ładu światowego.

W perspektywie najbliższych dwóch dekad nie pojawi się aktor na globalnej scenie gotowy przejąć tę rolę. Chiny muszą jeszcze dużo zainwestować i wiele się nauczyć, żeby rzeczywiście zacząć grać na globalnej szachownicy. Póki co próby budowania zrębów chińskiego imperium w miejscach świata, z których wycofali się Amerykanie i Europejczycy, a więc np. w Afryce, prowadzą do ambiwalentnych skutków. Dlatego ewentualny upadek USA bez naturalnego sukcesora musiałby doprowadzić do wojen o nowy ład światowy. Powodów do takich wojen byłoby niemniej niż w 1914 r., kiedy I wojna zakończyła radosny okres globalizacji dziewiętnastowiecznej, opartej na europejskim imperializmie.

Świat postsamochodowy

Tak więc największą barierą dla nowej fali konwergencji mogą okazać się czynniki geostrategiczne, uruchomione z kolei kumulacją drobniejszych przyczyn: walki o zasoby, wodę, skutki zmiany klimatu. Wszystko zależy od dynamiki współbiegnących procesów: z jednej strony rośnie apetyt Chin i Indii na ropę, z drugiej strony Amerykanie zwiększają wydobycie gazu i ropy z rodzimych złóż łupkowych, tym samym zmniejszają swoje uzależnienie od importu i niejako usuwają się z drogi nowym graczom. Potencjalnie więc napięcie na tym froncie zmniejsza się.

Jednocześnie zmieniają się także styl życia i modele konsumpcji. O ile nowa klasa średnia krajów rozwijających się pragnie powtórzyć model życia mieszkańców Zachodu, to młodzi mieszkańcy Zachodu zaczynają inaczej definiować pojęcie jakości życia. Dla młodych Anglików i Francuzów

traci na atrakcyjności model życia rozwinięty w XX wieku wokół samochodu. Pojęcie mobilności kojarzą już bardziej w kategoriach zdolności do zarządzania swoją autonomią, której kluczowym aspektem jest spotykanie się z innymi. Najważniejszym jednak narzędziem umożliwiającym spotykanie się jest dziś nieustanny dostęp do informacji i komunikacji, czyli po prostu smartfon z dobrym abonamentem.

Samochód był potrzebny jako symbol wolności, gdy nie istniały inne sposoby bycia wśród ludzi, niż usiąść za kółkiem i pojechać na spotkanie. Ciągłe bycie w sieci umożliwia optymalizację i wybór zarówno samego spotkania, jak i sposobu dotarcia: rowerem; transportem publicznym, który działa coraz lepiej dzięki tym samym technologiom teleinformatycznym, które służą użytkownikom smartfonów; samochodem z samoobsługowej wypożyczalni czy z systemu dzielenia się autami.

Cywilizacja postsamochodowa dopiero się kształtuje, nie oznacza ona oczywiście świata bez samochodów, lecz świat, w którym samochód traci swoją imperialną pozycję i przestaje być podstawą autonomicznego systemu, wokół którego kręci się cała reszta życia. System samochodowy ustępuje przed siecią teleinformatyczną, staje się częścią tej sieci – samochody z autonomicznych urządzeń stają się ruchomymi węzłami, nieustannie monitorowanymi i kontrolowanymi przez systemy kamer, nadzoru i opłat. W efekcie dominacja samochodu rozpływa się wobec hegemonii informacji i komunikacji w szerszym sensie, co z kolei wiąże się z głębokimi przemianami innych aspektów modeli życia, spędzania czasu wolnego, rozrywki. Pytanie zasadnicze – na ile ta postsamochodowa rewolucja stanie się także atrakcyjna dla mieszkańców krajów rozwijających się? Wydaje się, że Chińczycy pilnie starają się tę rewolucję przyspieszyć, utrudniając maksymalnie posiadanie prywatnych pojazdów w swych metropoliach.

Podobnie wyganiają ze swych miast samochody mieszkańcy metropolii latynoamerykańskich, często wymyślając rozwiązania alternatywne, które inspirują kraje rozwinięte. System komunikacji miejskiej Transmilenio z Bogoty stał się źródłem wielu studiów pokazujących, jak najgorsze do życia miasto świata można przekształcić w przestrzeń życia zwróconą ku swym obywatelom.

Sam Pitroda, indyjski guru od technologii innowacyjnych i innowacji, przekonuje: nowa fala konwergencji polegać właśnie będzie na wzajemnym inspirowaniu się krajów na wszystkich poziomach rozwoju. O ile dotychczas przepływ idei i technologii był prosty i jednokierunkowy, to obecnie sprawa się skomplikowała. Bo to prawda, że mieszkańcy Indii stają się zamożniejsi, co nie oznacza, że mogą płacić tyle samo za podobne produkty i usługi co ich odpowiednicy w Europie lub USA. Dlatego np. indyjskie firmy telekomunikacyjne musiały wymyślić modele biznesowe zapewniające opłacalność w sytuacji, gdy abonent może wydać miesięcznie nie więcej niż 6 dol. (w porównaniu do 60 dol. średnio na abonenta na Zachodzie).

By zwiększyć rentowność swoich firm, operatorzy w Indiach i Afryce zaczęli rozwijać szeroką ofertę usług dodatkowych, np. bankowości przez telefonię komórkową. W efekcie znaczna część obrotu gotówkowego w Indiach i Afryce odbywa się bez gotówki, bez czeków i kart kredytowych. Forma ta okazała się na tyle atrakcyjna, że dziś wkracza na rynki krajów rozwiniętych, jako supernowoczesny, „kolejny etap świadczenia usług bankowo-finansowych”. Dla wielu Hindusów jest to po prostu etap pierwszy.

Podobnie dzieje się w innych obszarach. Wspominana już korporacja General Electric odkryła, że nie ma szansy na sprzedaż na indyjskim rynku swoich liniowych elektrokardiografów po 5 tys. dol., jakie bez problemu

sprzedają się w Europie. Centrum badawczo-rozwojowe GE w Indiach dostało więc zadanie opracowania urządzenia adekwatnego dla lokalnego rynku. Powstał model za 500 dol. Okazał się jednak na tyle funkcjonalny, że 40 proc. produkcji sprzedaje się też w Europie. Kraje rozwijające się pokazują, że innowacje nie muszą polegać na ciągłym rozwijaniu produktów i faszerowaniu ich kolejnymi, coraz bardziej wyrafinowanymi funkcjami. Czasami, chyba coraz częściej, wystarcza, jeśli coś jest „good enough” – wystarczająco dobre.

W Europie doskonałym przykładem może być renesans rumuńskiej marki samochodowej Dacia należącej do Renault. Dacia Logan nie zapewnia właścicielowi prestiżu, jednak doskonale spełnia za bardzo dobrą cenę podstawową funkcję samochodu: jeździ. Podobne tendencje widać na rynku gadżetów elektronicznych, gdzie trendowi produkowania coraz szybszych komputerów przeciwstawił się kontrtrend zapoczątkowany przez pojawienie się netbooków – małych tanich komputerków służących głównie do łączenia się z Internetem i realizacji podstawowych zadań. Kontrtrend pogłębił się wraz z wprowadzeniem na rynek w 2009 r., iPada i późniejszą ofensywą tabletów. Falę tę zamierzają wzmocnić Indie swoim tabletem za 35 dol.

Gospodarka nieformalna

Nowa fala konwergencji polegającej na wielokierunkowych przepływach idei i innowacji ma także ciemniejsze oblicze. Jest nim sektor gospodarki nieformalnej, czyli wszystkich transakcji przebiegających poza legalnym obiegiem handlowym. Do sektora tego zaliczyć należy zarówno handel narkotykami, podrabianymi lekami, jak i zwykły obrót handlowy poza ewidencją. Gospodarka nieformalna, opierająca się na czarnym rynku i szarej strefie, daje

zatrudnienie 1,8 mld ludziom, a więc połowie zawodowo czynnych na świecie. Generuje przy tym obroty rzędu 10 bln dol. rocznie, jak podaje Robert Neuwirth, dziennikarz i autor książki „Stealth of Nations: The Global Rise of the Informal Economy” (Niewidzialność narodów: Globalne narodziny gospodarki nieformalnej), powołując się na analizy OECD.

Żaden kraj nie jest wolny od sektora nieformalnego, w Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii sięga on 10 proc. PKB, w Polsce ok. 25 proc., w krajach rozwijających się nawet połowę. Sektor nieformalny jest zarówno źródłem patologii: pracy bez żadnej ochrony i podatków, lecz również licznych innowacji. W sektorze tym ma udział zarówno zorganizowana przestępczość, kontrolująca nielegalne rynki, jak i wyrażają się w nim wspólnotowe, przedekonomiczne formy gospodarowania, polegające na ekonomii daru i wzajemnej pomocy.

Sektor nieformalny jest wyrazem spontanicznej energii życia i przedsiębiorczości uciekającej przed próbami kontroli ze strony instytucji państwa, co nie oznacza, że jest przestrzenią chaosu i bezprawia. Segmentami sektora nieformalnego kierują subtelne często zasady polegające na wzajemności i zaufaniu, poza tym funkcjonuje on w pełnej symbiozie z sektorem legalnym. Tak było zawsze. Podobnie jak zawsze w obrocie dobrami niematerialnymi, polegającymi na własności intelektualnej, obecne było piractwo. Dziś jednak zastanawia dynamika tego sektora, który w krajach rozwijających się decyduje o dynamice ich wzrostu. Pytanie, czy obieg nieformalny w obecnej skali jest tylko aspektem aktualnej fazy konwergencji i zacznie maleć wraz z „porządkowaniem” i dojrzewaniem rynków wschodzących? Czy też raczej ujawnia się trwała tendencja zmuszająca do przemyślenia na nowo, czym jest gospodarka i jakie są źródła wytwarzania wartości?

Bo przecież za sektor nieformalny uznać można różne formy produkcji społecznej, dzięki którym powstaje oprogramowanie Open Source czy Wikipedia. Podobnie rynki usług świadczonych we wspólnotach sąsiedzkich, gdzie podstawą rozliczeń nie jest pieniądz, lecz czas. Takie formy współpracy i świadczenia usług powstają zarówno w Brazylii, w Stanach Zjednoczonych, jak i krajach Unii Europejskiej. Świat high-tech łączy się ze światem tradycyjnym, przednowoczesnym, czym bowiem różni się wspólna praca twórców systemu operacyjnego GNU/Linux od współdziałania rolników utrzymujących system irygacyjny w wiosce w Bangladeszu?

Jedni i drudzy, łącząc swoją pracę i kompetencje, wytwarzają konkretną wartość, której nie dostrzegają bezpośrednio gospodarcze statystyki. Wartość ta jednak bezpośrednio wpływa na gospodarkę, podobnie jak wartość pracy pszczół wykracza daleko poza produkowany przez nie miód. Oprogramowanie *open source*, podobnie jak wspólnotowy system irygacyjny, nie jest produktem, lecz tworzy infrastrukturę rozwoju – dobro publiczne, umożliwiając inne produktywne aktywności.

Za sprawą sieci przedekonomiczny świat pracy wspólnotowej łączy się z postekonomicznym światem kooperacji hight-tech. Oto bowiem dzięki globalnej infrastrukturze teleinformatycznej współpracować ze sobą mogą miliardy osób, w różnych modelach, od komercyjnego po społeczny. Stawką jest dotarcie zarówno do energii, jak i potencjału kreatywności i wiedzy ukrytego w tak wielu umysłach. Efekty wypełniają coraz liczniejsze już opracowania i książki. Don Tapscott, prorok cyfrowej rewolucji, pisze o nowym świecie na łamach „Makrowikinomii”, na popularności zyskują takie pojęcia jak Open Innovation, Open Business i micro-multinationals.

Stare korporacje, jak Procter&Gamble czy IBM, otwierają się na sieć jako źródło świeżych idei. Platforma

InnoCentive stała się miejscem spotkań, gdzie firmy ogłaszają problemy, z którymi nie radzą sobie ich działy badawczo-rozwojowe – z nadzieją, że rozwiązanie kryje się gdzieś w głowie internauty, być może emerytowanego chemika znającego od dawna poszukiwaną metodę. W ten sposób Procter&Gamble tworzy już ponad połowę komercjalizowanych produktów. Przykład ten to jednak więcej niż tylko ilustracja ewolucji modeli biznesowych. W istocie wychodząc z cyfrowej gnozy, świat wkracza z pełnym impetem w rewolucję neoindustrialną. Podobnie jak poprzednie fazy industrializacji, i ta zmieni radykalnie rzeczywistość we wszystkich jej wymiarach.

Rewolucja neoindustrialna

Zaczęło się od maszyny parowej, potem elektryczność i umasowienie produkcji opartej na systemie taśmowym Forda, po II wojnie światowej – informatyka zmieniająca sposób zarządzania produkcją i zasobami. Wydawało się jednak, że na tym już koniec, epoka przemysłowa ustąpi pod naporem informacji. Stało się inaczej, informacja i sieć stały się podstawą kolejnej fali rewolucji przemysłowej.

Jednym z jej piewców jest Neil Gershenfeld, profesor prestiżowej Massachussets Institute of Technology. Upowszechnienie informatyki i komputerów umożliwiło każdemu manipulowanie bitami. Kto tylko potrafi utrzymać w ręku myszkę, może na swoim pececie retuszować fotografie i tworzyć montaże, o jakich kiedyś marzyć mogli jedynie prowokatorzy ze służb specjalnych. Amatorzy filmu mogą realizować produkcje z efektami specjalnymi dostępnymi jeszcze dwie dekady temu najbogatszym studiom Hollywood. Twórcą elektronicznej muzyki jest dziś praktycznie każdy nastolatek, bo nawet jeśli nie komponuje oryginalnych utworów, remiksuje utwory innych artystów. Efekt? Wystarczy spojrzeć na serwis YouTube, w którym

internauci w ciągu minuty wgrywają 40 godz. materiałów filmowych. W rezultacie w ciągu miesiąca serwis ten gromadzi tyle treści wideo, ile zgromadziły trzy największe amerykańskie stacje telewizyjne w ciągu całej swej historii. A przecież dopiero 2 mld ludzi korzysta z Internetu.

Już jednak szykujmy się na nadejście osobistych fabrykatorów, które staną na biurkach obok zadomowionych już pecetów. Ludzie, którzy zdobyli władzę nad bitami, już niebawem zaczną rządzić atomami. To po prostu naturalny ciąg przemian zapoczątkowanych najpierw przez upowszechnienie komputerów osobistych, a następnie eksplozję Internetu. Rewolucja w istocie już trwa, opisał ją w błyskotliwy sposób amerykański publicysta Thomas L. Friedman w książce „Płaski świat”. Przekonuje w niej, że rozwój technologii informatycznych zburzył wiele murów tworzących naturalne bariery między różnymi zakątkami świata. Pod koniec XX wieku, kto chciał zrobić karierę jako innowator, a mieszkał w biednych Indiach, musiał pakować walizki i szukać szczęścia w kalifornijskiej Krzemowej Dolinie – światowym centrum rozwoju zaawansowanych technologii.

Logikę płaskiego świata opisuje także Chris Anderson, redaktor naczelny magazynu cyberkulturalnego „Wired”. Amerykańskie pismo liczy już blisko 20 lat i stało się tym dla rewolucji informacyjnej, czym „Iskra” dla rewolucji bolszewickiej.

To na łamach tego magazynu ogłaszane są (czasami w sposób chybiony i przedwczesny) kolejne przełomy i trendy. I to właśnie w „Wired” jego naczelny ogłosił w lutym 2010 r. nadejście kolejnej rewolucji przemysłowej. Inaczej jednak niż Lenin, Anderson swą proklamację oparł jednak na osobistym doświadczeniu, a nie na zgłębianiu teorii.

Publicysta obok redagowania kultowego pisma, pisania książek bestsellerów i wychowywania piątki dzieci jest

także przedsiębiorcą innowatorem. Poza tym interesuje się dronami, czyli bezzałogowymi obiektami latającymi. Wykorzystują je siły zbrojne do misji zwiadowczych i bojowych, zyskują one jednak coraz większe zainteresowanie wśród amatorów awiacji. Problem w tym, że amatorów tych jest stosunkowo niewielu, więc dostępne na rynku cywilne drony dużo kosztują, nawet kilka tysięcy dolarów. Tymczasem części potrzebne do zbudowania takiej maszyny cały czas tanieją, zwłaszcza podzespoły elektroniczne. Wszystkie potrzebne elementy nie powinny kosztować więcej niż 300 dol., reszta to marża monopolisty lub zbyt wysokie koszty wynikające z nieefektywnej produkcji.

Anderson postanowił złamać ten monopol i zaczął od uruchomienia witryny internetowej DIY Drones (Drony Zrób to Sam), która skupiła podobnie myślących amatorów bezzałogowych samolocików. Tak zebrana ekipa zaczęła tworzyć kluczowe podzespoły składając całą elektronikę z części dostępnych w internetowych sklepach wysyłkowych. Zbudowany w ten sposób prototyp umożliwił wykonanie rysunku projektowego (można do tego wykorzystać dostępne w sieci oprogramowanie), który z kolei został wysłany Internetem do firmy zajmującej się profesjonalnie produkcją elektronicznych płytek drukowanych. Płytki przyjechały po kilku tygodniach, montowanie finalnych podzespołów odbywa się w wynajętym garażu za pomocą robotów (ich koszt gwałtownie maleje – maszyna potrzebna do składania podzespołów dronów kosztowała ok. 5 tys. dol.).

Czym różni się fabryczka dronów Andersona i spółki od tradycyjnych zakładów rzemieślniczych, które w PRL ratowały przed niedoborem towarów, produkując za pomocą wtryskarek grzebienie, guziki i podobne akcesoria? Po pierwsze, zaawansowaniem technicznym produkcji. Po drugie, globalnym zasięgiem – dwie trzecie dronów idzie na

eksport. Po trzecie, globalną konkurencją – DIY Drones muszą walczyć zarówno z podobnymi entuzjastami rozsianymi na całym świecie, jak i z wielkim biznesem typu Lockheed Martin produkującym bezzałogowce dla amerykańskiej armii. Konkurencja ta jednak jest możliwa, bo świat jest płaski i niemal nie istnieją ograniczenia dla globalnej współpracy potrzebnej do opracowania produktu, coraz mniej jest barier w dostępie do technologii i podzespołów, a światowe rynki stoją otworem dzięki globalnym sieciom logistycznym i platformom handlowym, jak eBay.

Szansa na sukces takich inicjatyw jak DIY Drones wynika z działania efektu tzw. długiego ogona. Pojęcie to upowszechnił Anderson w „Wired”, a potem w kultowej już książce „Long tail”, zanim jeszcze zaczął produkować drony. Otóż problem świata tradycyjnej produkcji, czy to będą dobra kultury, czy też dobra materialne, polega na ekonomii skali. Opracowanie utworu muzycznego, oprogramowania komputerowego lub właśnie bezzałogowego samolotu wymaga sporych nakładów. Żeby inwestycja się opłaciła, musi istnieć odpowiednio duża liczba odbiorców, których łączne pieniądze zwrócą nakłady potrzebne na projekt, koszty produkcji, dystrybucję, marketing i minimalny choćby zysk. Taka kalkulacja powodowała, że w tradycyjnym świecie sklepów, fabryk i wytwórni wielu rzeczy o charakterze niszowym nie opłacało się produkować, bo koszty przekraczały potencjalne wpływy.

Internet zmienił wszystko, obniżając koszty w każdym niemal aspekcie biznesowej działalności (czyli znowu efekt spłaszczenia świata). Internetowe platformy handlowe, jak eBay czy królujące w Polsce Allegro, pozwalają dotrzeć do dowolnego klienta bez konieczności utrzymywania drogiej powierzchni sklepowej. A skoro tak, to nawet najbardziej niszowy towar ma szansę zdobyć zainteresowanie

amatorów rozproszonych po świecie, którzy nigdy do zwykłego sklepu by nie dotarli. W przypadku produktów niematerialnych, które istnieją tylko w formie bitów, jak muzyka, filmy czy treść książek, sprawa staje się jeszcze prostsza – koszty wyprodukowania każdego kolejnego egzemplarza i przesłania go do odbiorcy wynoszą praktycznie zero. W takim świecie do głosu dochodzą ci, którzy dotychczas majsterkowali coś w swych garażach lub próbowali handlować na lokalnych bazarkach – tzw. długi ogon osób, firm, instytucji dysponujących niszową ofertą, które dzięki globalnej sile rażenia Internetu i niskim kosztom wejścia mogą walczyć o uwagę odbiorcy, konkurując z dotychczasowymi monopolistami.

Co ważniejsze, jak pokazuje przykład DIY Drones, nie chodzi tu tylko o konkurencję w obszarze towarów i usług prostych, opartych na niskich technologiach. Technologie produkcji umożliwiające wytwarzanie podzespołów najwyższej jakości cały czas tanieją, zgodnie z prawem, jakie zaobserwowano najpierw w świecie komputerów, które stają się coraz tańsze i jednocześnie potężniejsze. I podobnie jak w przypadku komputerów, które jeszcze w latach 60. i 70. XX wieku dostępne były jedynie dla najzamożniejszych instytucji: armii, banków, linii lotniczych, a po rewolucji pecetów stanęły w domach obok telewizorów, dziś dzieje się to z technologiami produkcji.

Drukarkę trójwymiarową, umożliwiającą wytarzanie obiektów o dowolnych kształtach, można dziś kupić za kilkaset dolarów, choć jeszcze niedawno na urządzenia tego typu pozwolić sobie mogły jedynie duże korporacje. Tanieją precyzyjne, sterowane cyfrowo frezarki i wycinarki laserowe umożliwiające przygotowywanie części z fabryczną dokładnością. Robota montażowego można kupić, jak już czytaliśmy, za kilka tysięcy dolarów.

Neil Gershenfeld nie ma wątpliwości, że zwieńczeniem tego procesu będą tanie osobiste fabrykatory, czyli

urządzenia umożliwiające wytwarzanie dowolnych podzespołów na podstawie wzorów opracowanych na komputerze osobistym za pomocą powszechnie dostępnego, łatwego w użyciu oprogramowania. Amerykański profesor nie ma wątpliwości, bo sam tę rewolucję napędza w swym Centrum Bitów i Atomów, gdzie prowadzi seminarium „Jak zrobić (niemal) wszystko”, cieszące się niezwykłym zainteresowaniem wśród studentów wszystkich kierunków.

Podczas zajęć, na które zapisują się nie tylko przyszli inżynierowie, lecz również studenci kierunków artystycznych i humanistycznych, słuchacze dostają do dyspozycji laboratorium wyposażone w komputer oraz zestaw narzędzi: wycinarkę laserową, drukarkę trójwymiarową oraz zestaw podzespołów elektronicznych, które za pomocą komputera można zaprogramować. Komputer zaopatrzony jest w oprogramowanie umożliwiające łatwe projektowanie kształtów czy też programowanie elektronicznych kontrolerów.

Doświadczenia zebrane w swym laboratorium Gershenfeld opisuje w książce „Fab. The Coming Revolution On Your Desktop

– From Personal Computers To Personal Fabrication” (Fab. Nadchodząca rewolucja na twoim biurku – od osobistych komputerów do osobistej produkcji). Dowodzi w niej, że technika nie jest ważna, liczy się pomysł – każdy może stać się dosłownie kowalem swoich marzeń, wytwarzając potrzebne urządzenia. Kelly Dobson, błyskotliwa studentka kierunków artystycznych, o nikłej jednak znajomości elektroniki, stwierdziła, że fajnie byłoby mieć zawsze przy sobie osobiste urządzenie do krzyczenia – zdumionych kolegów pytała: czy nigdy nie znaleźliście się w sytuacji, że chciałoby się głośno zawyć, lecz okoliczności na to nie pozwalają.

ScreamBody to torba, która umożliwia dyskretnie się wykrzyczeć nawet w towarzystwie, dźwięk jest rejestrowany i można go odsłuchać lub wypuścić w świat później, w lepszych warunkach. Szalone? Owszem, przyznaje Gershenfeld, ale o to właśnie chodzi – żeby każdy mógł zrobić to, czego potrzebuje bez patrzenia, czy spodoba się to jeszcze komuś innemu. Kelly dopięła swego, zbudowała swój wykrzykiwacz od początku do końca.

Shelly Levy-Tzedek, z wykształcenia biolożka, stwierdziła, że zbuduje naprawdę skuteczny budzik. W efekcie majstrowania w laboratorium Gershenfelda powstało elektroniczne urządzenie, które budzi tak długo, aż śpiąca osoba unieruchomi je. Wymaga to jednak wykonania dosyć złożonego manualnie ćwiczenia – chwytania święcących kolców w kolejności wskazywanej przez urządzenie. Kto wykona zadaną sekwencję, na pewno będzie rozbudzony.

Amerykański uczony nie poprzestał jednak na testowaniu swoich rewolucyjnych intuicji na bogatych studentach amerykańskiej uczelni. Stwierdził, że pomysł można umasowić i wymyślił Fab Lab, standardowe laboratorium, cyfrową fabrykę, które można zainstalować w dowolnych warunkach. Ruszyło kilkadziesiąt Fab Labów (koszt jednego to ok. 20 tys. dol.) rozsianych w różnych miejscach świata, od przedmieść Bostonu przez Laponię, Węgry po Afganistan, Indie i Ghanę. Wszędzie pokazują to samo: ludzie w różnych miejscach świata mają różne potrzeby, którymi nie jest zainteresowany poważny biznes (ze względu na wspomniane wcześniej ograniczenia skali i nieopłacalność produkcji). Fab Laby pozwalają jednak zamienić potrzeby w pomysły, a te wcielić w materialne rozwiązania. I tak indyjscy chłopi stwierdzili, że mogą w labie sami zrobić urządzenie do kontroli jakości mleka, co pozwoli im chronić się przed oszustwami ze strony pośrednika. Pasterze z północnej Norwegii zbudowali sieci

bezprzewodowe i znaczniki dla zwierząt umożliwiające stały monitoring stada.

Gershenfeld i Anderson nie są wyjątkami, idea osobistej produkcji (personal manufacturing) rozwija się dynamicznie – wynika z raportu „Factory@Home. The Emerging Economy of Personal Manufacturing" opublikowanego w grudniu 2010 r. przez Hoda Lipsona z Cornell University i Melbę Kurman z Triple Helix Foundation. Autorzy twierdzą, że ekosystem sprzyjający personalizacji produkcji gęstnieje. Na uczelniach powstają laboratoria zajmujące się projektowaniem coraz lepszych i tańszych urządzeń, takich jak drukarki 3D czy domowe cyfrowe frezarki. Koncepcje opracowane w amerykańskim Cornell University czy na brytyjskim University of Bath inspirują z kolei przedsiębiorców, którzy uruchamiają produkcję seryjną (dla uczonych celem pracy jest zbudowanie maszyn zdolnych do autoreprodukcji, rewolucja spełni się, gdy osobiste fabrykatory będą zdolne do wytwarzania kopii samych siebie).

Rozwija się infrastruktura, w sieci krąży coraz więcej gotowych projektów technicznych, które można brać i modyfikować do własnych potrzeb bez konieczności wymyślania od początku koła. Powstają kolejne firmy oferujące usługi koordynacji produkcji i dystrybucji. Lipson i Kurman konkludują: „Coraz więcej łączących się czynników powoduje, że osobista produkcja przekształci się z zajęcia pionierów i hobbistów w codzienne narzędzie dla konsumentów i przedsiębiorców.

W ciągu kilku lat technologie osobistej produkcji będą powszechnie dostępne w firmach i szkołach. W ciągu dekady lub dwóch własny fabrykator będzie miało każde gospodarstwo domowe i biuro. Nie minie pokolenie, a trudno będzie wytłumaczyć wnukom, jak możliwe było życie bez fabrykatora, kiedy trzeba było kupować rzeczy

w Internecie i czekać długie godziny, zanim dostarczyła je poczta”.

Autorzy raportu „Factory@Home”, choć przyglądają się trwającym zmianom z entuzjazmem, to jednak nie tracą krytycznego zmysłu. Jak każda rewolucja, również przemiany w świecie produkcji niosą z sobą wiele niewiadomych. Skoro każdy będzie mógł wyprodukować wszystko, to podobnie jak dziś w Internecie powstawać będą nie tylko arcydzieła, lecz również spodziewać się można wytworów wątpliwej jakości lub wręcz niebezpiecznych. Produkcja broni, bezpieczeństwo urządzeń mechanicznych wprowadzanych do publicznego obiegu, ochrona własności intelektualnej, kwestia odpadów produkcyjnych – to tylko kilka pytań do polityków i instytucji państwa, które dziś głowią się, jak poddać kontroli Internet, nie dostrzegając, że to dopiero początek zabawy. Zabawa zacznie się na dobre wówczas, gdy w Internecie będzie można znaleźć nie tylko instrukcję produkcji bomby i zapalnika do niej, lecz również będzie można tę bombę bez problemu wykonać w domu.

Lipson i Kurman radzą, że po prostu już dziś trzeba zacząć przygotowywać nowe pokolenie do nadchodzącego nieuchronnie świata, wprowadzając Fab Laby do szkół. Tak jak w epoce komputerów wszystkie szkoły zostały zaopatrzone w pracownie informatyczne, tak dziś nadszedł czas na szkolne cyfrowe fabryki. Rzecz nie tylko w uczeniu kompetencji praktycznych. Chodzi o coś więcej – Fab Laby uczą, że między bitami a atomami istnieje głęboki związek. Niematerialne znaki, myśli zakodowane w formie zrozumiałych dla komputera znaków wywierają fizyczny skutek. Trudno o lepszą ilustrację związku między myślą i materią, niż doświadczenie nabyte w Fab Labie. I trudno o lepszą naukę odpowiedzialności, gdy widać materialne skutki podjętych działań.

Najlepsze nawet programy modernizacji edukacji oparte na cyfrowych pracowniach produkcyjnych nie spowodują, że dobrze przygotujemy się do prawdziwych wyzwań związanych z rozpoczynającą się, a w zasadzie już trwającą rewolucją neoindustrialną. Skalę problemów dobrze ilustrują dotychczasowe przemiany spowodowane rewolucją informacyjną i rozwojem Internetu. Wikipedia – encyklopedia tworzona przez internautów hobbystów – doprowadziła do ruiny tradycyjnych wydawców i stała się w ciągu dekady największym zasobem edukacyjnym na świecie, niezależnie od opinii na temat jej jakości. Twórcy wolnego oprogramowania pokazali, że są w stanie działając w sieci wytworzyć produkty tak złożone jak system operacyjny GNU/ Linux i konkurować z największymi korporacjami informatycznymi. O atrakcyjności i jakości tej produkcji świadczy fakt, że nawet amerykańska armia zdecydowała się oprzeć na Linuksie swój Future Combat System, czyli informatyczny system zarządzania polem walki.

Co się stanie, gdy upowszechnią się osobiste fabrykatory? Sytuację tę próbuje sobie wyobrazić kanadyjski pisarz science-fiction Corry Doctorow w książce „Makers” („Wytwarzacze”). W nadchodzącym świecie tracą rację bytu wielkie korporacje opierające się na scentralizowanych modelach produkcji, bo nie będą w stanie nadążać za rzeszą małych producentów i samozaopatrujących się konsumentów. Nie znaczy to jednak, że korporacje muszą zniknąć. Najsprytniejsze zrobią to, co zrobiło wielu gigantów biznesu informatycznego: dostosują się. W świecie informatyki największymi rzecznikami wolnego oprogramowania są takie firmy, jak IBM czy Novell. Czy w przyszłości konglomeraty przemysłowe przekształcą się w sieci zrzeszające pod wspólnym logo małych, domowych producentów, jak już się stało w przemyśle odzieżowym?

Doctorow, podobnie jednak jak Karol Marks, nie ma wątpliwości, że zmiana stosunków produkcji wpłynie na zmianę stosunków społecznych. Nastąpią przemiany więzi społecznych i relacji władzy. W powieści „Makers" nowy sposób wytwarzania staje się podstawą reorganizacji wielkiego kapitału (zarząd koncernu powstałego w wyniku fuzji Duracell i Kodaka przeprowadza restrukturyzację i opiera produkcję na „cyfrowych chałupnikach"). Jak to jednak w czasach radykalnych przemian, powstają ogniska oporu i rozwija się też gangsterstwo.

Gershenfeld nie wnika jednak w takie dywagacje, bardziej fascynuje go zbliżająca się perspektywa opracowania „ogólnej teorii produkcji", dzięki której każdą niemal ideę da się przekształcić w materialny rezultat, a możliwość ta będzie dostępna dla wszystkich na całym świecie. Amerykański uczony zastrzega, że jego wizje tylko pozornie są rewolucyjne. W rzeczywistości zaś człowiek za sprawą rozwoju techniki zbliża się ze swoimi możliwościami do tych, jakimi obdarzone są przez naturę żywe organizmy. To przecież one są takimi fabrykami, w których informacja zapisana w DNA tłumaczona jest na produkcyjne operacje, w wyniku których z pojedynczych cząsteczek powstają niezwykle skomplikowane struktury.

Biologiczne analogie pobudzają wyobraźnię innych wizjonerów. Freeman Dyson, mieszkający w Stanach Zjednoczonych fizyk i matematyk, stwierdził w eseju „Our Biotech Future" opublikowanym w „The New York Review of Books", że nadchodzi czas już nie tylko spersonalizowanej produkcji, ale także spersonalizowanej biologii zrób to sam (DIY Biology). Biotechnologia, dziś domena wielkich koncernów farmaceutycznych i uniwersytetów, zostanie „udomowiona" (w wyniku tych samych procesów rozwoju wiedzy i technologii, które demokratyzują produkcję rzeczy). W rezultacie ta

„udomowiona biotechnologia, gdy już trafi w ręce gospodyń domowych i dzieci, doprowadzi do eksplozji różnorodności nowych żywych stworzeń w miejsce monokultury preferowanej przez wielkie korporacje. Pojawią się nowe linie gatunkowe w miejsce zniszczonych na skutek przemysłowego rolnictwa i deforestacji. Projektowanie genomów stanie się rzeczą osobistą, nową formą sztuki równie twórczą, jak malowanie lub rzeźbienie”.

Dyson przewiduje dalej, że ulubioną rozrywką dzieci w przyszłości będą gry biotechnologiczne, które zastąpią współczesne gry komputerowe. „Zwycięzcą będzie to dziecko, które wyhoduje najbardziej kolczastego kaktusa lub najfajniejszego dinozaura”. Prawdziwą stawką świata Biologii 2.0 nie ma być jednak zabawa, lecz rozwiązanie kluczowych problemów cywilizacji. Wystarczyłoby wyhodować rośliny o liściach z krzemu, by zwiększyć wielokrotnie wydajność fotosyntezy, to zaś uratowałoby ludzkość przed katastrofą energetyczną.

Realizowane już projekty mieszają się z szalonymi wizjami, którym tak naprawdę daleko jeszcze do radykalizmu prognoz formułowanych przez proroków transhumanizmu. Wierzą oni, że zwieńczeniem opanowania kontroli nad bitami będzie kolejny etap ewolucji, moment wielkiej osobliwości, kiedy technologia zleje się z biologią, a człowiek zyska możliwość faktycznej nieśmiertelności. Nie trzeba jednak szukać aż tak dalekosiężnych wizji, by uznać, że rewolucja neoindustrialna rodzi zupełnie nowe, niezwykłe wyzwania dla świata polityki.

5.3 Polityka epoki neoindustrialnej

Wszystkie wielkie przełomy technologiczno-cywilizacyjne odbywały się z czujną asystą państwa. Gwałtowne zmiany wywołują napięcia, rodzi się potrzeba nowych regulacji, moderowania konfliktów między przedstawicielami starego

a nowego świata. Na nowo trzeba definiować pojęcia wolności, własności, prywatności, dobra publicznego. Pilnie potrzebne są decyzje dotyczące modelu rozwoju infrastruktury cywilizacyjnej.

Wybory nie są proste, muszą z jednej strony uwzględniać nieokiełznaną siłę procesów innowacyjnych, którymi nie da się sterować. Z drugiej jednak strony rozwój musi podlegać minimalnej politycznej kontroli. Potrzebna jest choćby do zarządzania rozwojem infrastruktury i dostępu do niej. Cały czas wielkimi nakładami korporacji prywatnych powstaje gigantyczna, hiperprzemysłowa infrastruktura informacyjna. Rosną nowe neoindustrialne fortuny. Apple na początku 2012 r. wart był na nowojorskiej giełdzie pół biliona dolarów (więcej niż największa firma naftowa Exxon Mobil), a w gotówce trzymał w swej kasie 100 mld dol.

Google, Apple, Amazon, IBM, Microsoft, HP, Facebook budują olbrzymie fabryki – centra przetwarzania danych warte setki milionów dolarów. To dzięki nim możliwa jest rewolucja neoindustrialna, bo od niezawodności sieci i jakości dostępnych w niej usług zależy możliwość kooperacji miliardów ludzi żyjących dzięki swym smartfonom, laptopom i tabletom w trybie online. Opisywane wcześniej modele Open Innovation możliwe są tylko dzięki tej infrastrukturze. Ba, nawet stare przemysły funkcjonują dzięki nim.

W Łodzi, dawnym zagłębiu przemysłu tekstylnego i odzieżowego, trudno dziś znaleźć pracujące fabryki. Upadłe w wyniku transformacji zakłady przekształcają się w lofty i centra handlowe, produkcja odzieży jednak nie gaśnie, a Łódź odbudowuje swoją pozycję jako stolica mody. Dziś do produkcji ubrań nie potrzeba już bowiem fabryk, szwacze i szwaczki mogą pracować w domach lub warsztatach rzemieślniczych, a ich pracę koordynują zaopatrzeni w telefony komórkowe i Internet menedżerowie. Podobnie działają wiodące światowe marki

odzieżowe, jak Zara. Fabryczne mury ustąpiły przed sieciami kooperacji, które są w stanie szybciej dostosowywać się do zmieniających gustów i mód.

Bez tej infrastruktury niemożliwy byłby rozkwit globalnej gospodarki nieformalnej. A to dopiero początek. Kolejny etap to konwergencja sieci teleinformatycznych z systemem energetycznym oraz systemem samochodowym. Samochody już coraz bardziej stają się ruchomymi węzłami w sieci. Są jednocześnie także generatorami energii. Gdy stoją bezczynnie na parkingu, ich akumulatory mogą zasilać sieć energetyczną lub odbierać od niej nadmiar mocy (zwłaszcza gdy upowszechnią się samochody elektryczne, duże akumulatory na kółkach).

Osobisty komputer, osobisty fabrykator i domowy generator energii, a wszystko działające w sieci. Tak może wyglądać świat w ciągu dekady–dwóch. A raczej tak będzie wyglądał. To tylko kwestia czasu i decyzji politycznych, które rewolucji nie powstrzymają, mogą ją jednak hamować pod wpływem nacisku grup interesu starych przemysłów przerażonych, że nie zamortyzują się im poczynione inwestycje. Czy wielkie elektrownie systemowe odejdą tak samo w przeszłość jak komputery typu mainframe? Czy też może będą potrzebne jak nigdy dotąd, by stanowić zaplecze dla wielkich Data Center?

Odpowiedzi jeszcze nie znamy, wiadomo jednak, że infrastrukturą epoki neoindustrialnej będzie sieć teleinformatyczno-energetyczna, wielka platforma świadczenia różnorodnych usług. I jednocześnie wielka fabryka produkująca nieskończone ilości danych, nowego surowca dla firm sektora Big Data. Danych będzie przybywać coraz szybciej. Jedni martwią się i straszą informacyjnym nadmiarem. Inni – jak szefostwo Google, Facebooka, Apple czy Amazona

– widzą w tym nadmiarze podstawę rozwoju gospodarki przyszłości.

Nie ma zbędnych danych, brakuje tylko jeszcze innowacyjnych pomysłów do ich wykorzystania. Już się jednak pojawiają – testowanie przez Google autonomicznego samochodu bez kierowcy jest możliwe właśnie dzięki temu, że serwery tej firmy gromadzą olbrzymie ilości danych o miastach i ulicach, pozwalających komputerom analizować położenie pojazdu. Na podstawie pytań, jakie internauci zadają wyszukiwarce, Google jest w stanie prognozować rozwój epidemii grypy do dwóch tygodni szybciej niż tradycyjne ośrodki epidemiologiczne. Podobnie z analizą dynamiki rynku pracy.

Co jednak ważniejsze, Big Data to nie tylko źródło nowych dochodów dla gigantów Internetu. Usługi wykorzystujące zasoby danych i powszechnie dostępną infrastrukturę telekomunikacyjną tworzą coraz szybciej rozwijające się zaplecze współczesnej gospodarki. Firmy nie muszą już inwestować olbrzymich pieniędzy w informatykę, bo większość potrzeb mogą zaspokoić, korzystając z mocy często dostępnych za darmo w sieci. Podobnie wiele potrzeb marketingowych zaspokajają współczesne wyszukiwarki internetowe. Umożliwiają one nie tylko wynajdywanie haseł, lecz także zaawansowane porównanie, badanie trendów, tłumaczenie na różne języki. Znowu w większości przypadków za darmo (tzn. bez pieniędzy, lecz w zamian za zgodę na eksploatację zasobu cenniejszego niż złoto – danych pozostawianych podczas korzystania z „darmowych” usług).

W końcu dostępne w sieci zasoby wiedzy, od Wikipedii po udostępniane przez renomowane amerykańskie uniwersytety kursy akademickie, pozwalają zaoszczędzić na podstawowych szkoleniach. No i możliwość bezpłatnej komunikacji z całym światem za pomocą takich rozwiązań jak telefonia internetowa Skype. W rezultacie współczesny,

nowoczesny przedsiębiorca może skupić się na tym co najważniejsze – wymyślaniu nowych usług i produktów, czyli właśnie innowacjach.

Otwiera się świat wielkich możliwości i zasadniczych pytań: kto będzie sprawował kontrolę nad tą infrastrukturą, co z prywatnością w świecie Big Data, a dalej stare pytania kapitalizmu o relacje między kapitałem i pracą. Czy potencjał innowacyjny sieci oraz fala neoindustrializmu wystarczy, by tworzyć wystarczającą ilość miejsc pracy w zamian za stanowiska, które zginą na skutek automatyzacji. Pamiętamy, już niebawem 500 tys. robotników z fabryki elektronicznej Foxconn w Chinach zwolni warsztaty robotom. Podobnie dzieje się w usługach, co zrobią kierowcy, gdy upowszechni się system pojazdów bezzałogowych?

Ekonomiści już zwracają uwagę, że pokryzysowy wzrost napędzany będzie, przynajmniej w krajach rozwiniętych, głównie inwestycjami kapitałowymi, w mniejszym stopniu pracą. Robert Solow, laureat ekonomicznej Nagrody Nobla, mówi głośno o świecie, w którym trzeba będzie wymyślić sposoby podziału redystrybucji zysków z kapitału, bo praca będzie dobrem rzadkim.

A ekonomiści z Massachusetts Institute of Technology Erik Brynjolffson i Andrew McAfee ostrzegają, że zmiana następuję z dynamiką wykładniczą, coś co jeszcze kilka lat temu wydawało się nieosiągalne dla maszyn, dziś znajduje się w zasięgu ręki. Doskonałym przykładem omawiany samochód bezzałogowy. Jeszcze w 2004 r. uważano, że zawód kierowcy zawsze będzie niezagrożony. Wystarczyło 8 lat, a władze stanu Nevada wprowadziły prawo dopuszczające do ruchu samochody bezzałogowe, muszą się tylko legitymować prawem jazdy. Kiedy pierwsze egzaminy? Nie wiadomo, pilnie przygotowuje się do nich nie tylko Google, lecz także Volkswagen i Mercedes.

Na regeneracyjny i innowacyjny potencjał kapitalizmu można więc liczyć, ciągle jednak, nawet w nowej lepszej wersji, będzie on tylko kapitalizmem, czyli systemem, w którym ostatecznym arbitrem decydującym o rozwojowej dynamice jest kapitał i efektywność jego akumulacji. Na tę właściwość zwraca uwagę Francis Fukuyama w magazynie „Foreign Affairs" ze stycznia 2012 r. Amerykański politolog zasłynął w 1989 r. artykułem opublikowanym w tym samym piśmie pod tytułem „Koniec historii". Nowy tekst nosi znamienny tytuł „Przyszłość historii". Uczony przekonuje, że sam kapitalizm i wolny rynek nie zbawią świata. Przeciwnie, ostatnie 30 lat dowodzą, że fala innowacji technologicznych związana z rozwojem informatyki doprowadziła do głębokiej zmiany struktury gospodarki. Jej efektem jest bezprecedensowe, ciągle powiększające się rozwarstwienie ekonomiczne na całym świecie i degradacja klasy średniej w krajach rozwiniętych. W rezultacie zagrożone są podstawy demokracji, a w dalszej konsekwencji samego kapitalizmu. Dlatego Fukuyama, konserwatywny liberał, apeluje o nowy, dobry lewicowy projekt polityczny, który w konfrontacji z rzeczywistością doprowadziłby do wypracowania ideologii, czyli systemu wartości dla rodzącego się kapitalizmu przyszłości, tak by owoce rozwoju służyły jak największej liczbie ludzi.

Społeczny gniew nie wybucha wtedy, gdy wszyscy równo klepią biedę. Gniew pojawia się wraz z poczuciem niesprawiedliwości, gdy pryska wiara, że wszyscy proporcjonalnie ponoszą ciężary kryzysu, a jak jest dobrze, to uczciwie dzielą owoce rozwoju. W połowie września w Stanach Zjednoczonych opublikowano wyniki dotyczące zamożności i ubóstwa Amerykanów. Liczba osób żyjących w biedzie połączonej z brakiem ubezpieczenia zdrowotnego osiągnęła historyczny rekord. To fakt smutny, lecz z politycznego punktu widzenia nie najgorszy. Większym problemem jest odkrycie, że pensja przeciętnego

Amerykanina zatrudnionego w pełnym wymiarze czasu, przez cały rok, jest dziś taka jak w 1973 r.

W tym samym jednak czasie amerykańska gospodarka, co prawda z kilkoma recesjami po drodze, stale się rozwijała. Najwyraźniej ktoś zebrał śmietankę. Gromadzący się na Wall Street i na ulicach innych miast Oburzeni znają odpowiedź: na rozwoju zyskał 1 proc. najlepiej usytuowanych Amerykanów, którzy na dodatek najwięcej także zyskali na kryzysie. Dysponując olbrzymimi zasobami korzystają z giełdowych przecen i za półdarmo skupują aktywa, które, gdy gospodarka ruszy, jeszcze bardziej oderwą ich od pozostałych 99 proc. społeczeństwa.

Wzrost rozwarstwienia ekonomicznego jest faktem obserwowanym w większości krajów świata. W egalitarnej rzekomo Francji jeszcze przed wybuchem kryzysu 1 proc. najbogatszych rozporządzał 24 proc. bogactwa, a górne 10 proc. kontrolowało 62 proc. narodowego majątku. Z drugiej strony biedniejsza połowa miała do dyspozycji zaledwie 6 proc.

Amerykański miesięcznik „The Atlantic” we wrześniowym numerze z 2011 r., analizując sytuację, dochodzi do wniosku, że największą ofiarą modelu rozwoju gospodarczego ostatnich lat została klasa średnia. Zwłaszcza ta jej część, która uwierzyła w obietnicę proroków nowego kapitalizmu, Margaret Thatcher i Ronalda Reagana, i porzuciła szeregi klasy robotniczej, by kupując domki na kredyt awansować w społecznej strukturze. Dziś to właśnie wykwalifikowani pracownicy bez dyplomów studiów wyższych mają największe trudności ze znalezieniem pracy i utrzymaniem standardu życia.

Próba zaradzenia przez przekwalifikowanie się niewiele zmienia – wartość pożyczek zaciągniętych w USA na studia i szkolenia osiągnęła w 2011 r. bilion dolarów! To więcej niż dług, jaki Amerykanie mają na kartach kredytowych. Konserwatywna prasa uspokaja jednak podatników: nie

grozi podobna sytuacja jak w przypadku kredytów hipotecznych, kiedy trzeba było za publiczne pieniądze ratować bankrutów (to znaczy banki, które udzielały złych kredytów). Pożyczki edukacyjne są tak zabezpieczone, że dłużnik wyjdzie bez skarpetek, ale odda ostatniego centa.

Skoro tak, to czy rosnące nierówności są w ogóle problemem? Tak, i to z wielu względów, argumentują liczni badacze. Robert Reich, amerykański ekonomista, który za rządów Billa Clintona był ministrem pracy, przekonuje na łamach „New York Timesa”, że rozwarstwienie dochodów przekłada się na patologiczne wzory konsumpcji. Otóż 5 proc. najbogatszych Amerykanów odpowiedzialnych jest za 37 proc. amerykańskich wydatków konsumpcyjnych. Wydają głównie na luksus – marki zajmujące się produkcją ekskluzywnych dóbr, przykładowo francuski Hermes i szwajcarscy producenci zegarków nie nadążają za popytem.

Niestety, najbogatsi nie wydają na rzeczy, które mogłyby ożywić gospodarkę: lodówki, pralki, usługi. Coraz mniej wydaje na nie ubożejąca klasa średnia. Błędne koło się zamyka – ponieważ nie ma zrównoważonego popytu na produkty i usługi, gospodarka nie może ruszyć z miejsca. I nie ruszy, jeśli nie wzrośnie siła nabywcza, czyli zamożność gorzej uposażonych. A jeśli nie ruszy, to nie będą powstawać nowe miejsca pracy.

Najprostszy już więc rachunek ekonomiczny pokazuje, że nadmierne rozpiętości dochodowe mogą być zabójcze dla samej gospodarki. Brytyjscy badacze Kate Pickett i Richard Wilkinson pokazują, że nierówność jest po prostu groźna dla wszystkich wymiarów życia społecznego. W książce „Duch równości” (Wydawnictwo Czarna Owca) na podstawie danych statystycznych pochodzących z całego świata i zbieranych dziesiątki lat uczeni pokazują, że w społeczeństwach charakteryzujących się większą równością ludzie żyją dłużej i są zdrowsi, dzieci uczą

się lepiej, obywatele darzą się większym zaufaniem i są bardziej zaangażowani w sprawy społeczne. W konsekwencji obserwuje się w takich społeczeństwach mniejsze natężenie przemocy i przestępczości, mniej ludzi cierpi na otyłość, a więcej jest szczęśliwych i zadowolonych z życia.

Wnioski zarówno z analiz Reicha, jak i badań Pickett i Wilkinsona prowadzą do jasnej konkluzji: równość się opłaca, pod warunkiem jednak, że nie krępuje wolności. Kuba jest krajem dużej równości, co rzeczywiście dobrze koreluje z takimi wskaźnikami, jak długość życia, zdrowie społeczeństwa i dostęp do powszechnych usług publicznych całkiem wysokiej jakości, jak opieka medyczna i edukacja. Mimo to Kuba nie jest miejscem masowych migracji, lecz sąsiadujące z nią, rażące nierównością Stany Zjednoczone.

Amartya Sen, pochodzący z Indii ekonomista, laureat Nagrody Nobla, przekonuje, że to właśnie wolność jest warunkiem rozwoju i jako przykład podaje swój kraj. Ostatnie klęski głodu miały w nim miejsce w okresie kolonialnym, w 1943 r. w rządzonym przez Anglików Bengalu miliony osób (historycy podają od 1,5 do 4 mln ofiar) zmarły z braku żywności. Po odzyskaniu niepodległości Indie stały się największą demokracją na świecie, niedoskonałą, lecz wystarczającą, by takie jej instytucje jak wolna prasa chroniły ją przed katastrofami, do jakich dopuścili perfekcyjni Brytyjczycy.

Czy obie wartości, wolność i równość, można pogodzić? Pierre Rosanvallon, francuski historyk idei, przekonuje w traktacie „La société des égaux” (Społeczeństwo równych), że obie wartości mają kluczowe znaczenie dla działania demokracji i jej jakości. Rewolucja amerykańska i rewolucja francuska, które wybuchły pod koniec XVIII w., napędzały to samo pragnienie wolności, które z kolei wynikało z głębokiego przekonania, że wszyscy ludzie są równi i w takim samym stopniu mają do niej prawo.

Rosanvallon przypomina jednak, że owe dwie rewolucje kładące podwaliny pod nowoczesne systemy demokratyczne rozegrały się jeszcze w okresie przedprzemysłowym. Problemem równości nie był jeszcze podział dóbr, równość rozumiano jako sposób na tworzenie społeczeństwa i definiowano ją przez trzy kategorie. Pierwsza, że wszyscy ludzie są do siebie podobni, czyli że nie występują między nimi różnice z natury dające podstawę do tworzenia hierarchii. Druga, że ludzie są autonomiczni, co najlepiej wyraża się w wolności wchodzenia w relacje wymiany, jak choćby handel na wolnym rynku. W końcu ludzie są obywatelami, czyli mają równe prawo partycypacji w sprawach wspólnoty. Tak zorganizowaną społeczność równych organizują instytucje praw człowieka, rynku i wyborów powszechnych.

Te oczywiste z punktu widzenia współczesnej demokracji kategorie od samego początku sprawiały kłopoty interpretacyjne. Wszyscy ludzie są podobni, czy jednak kobiety należy zaliczyć do kategorii „pełnych” ludzi? Jak wiadomo, pozytywna odpowiedź nadeszła dopiero ponad sto lat po obu rewolucjach, otwierając kobietom drogę do kategorii obywatelskości, czyli do możliwości uczestnictwa w życiu politycznym. Czy godny miana obywatela i obywatelskiej równości jest człowiek nieposiadający majątku? Lub niepiśmienny? Odpowiedzi na te pytania regulowały i regulują praktykę działania realnych demokracji.

W drugiej połowie XIX w. nowoczesne demokracje pogrążyły się w głębokim kryzysie. Sytuacja do złudzenia przypominała obecną

– przemysłowy kapitalizm rozwijał się w zawrotnym tempie, błyskawicznie rosły fortuny nowej klasy, właścicieli kapitału. Karol Marks przewidywał, że logika akumulacji doprowadzi do systematycznego wyzysku pracowników

najemnych i proletaryzacji klasy robotniczej. Przeciwnicy Marksa przekonują, że industrializacja przyniosła wzrost poziomu życia wszystkim, również robotnikom. Ba, tylko że współautor „Manifestu komunistycznego” tego nie kwestionował, zwracając uwagę, że od samej biedy bardziej dotkliwa jest sytuacja rosnących nierówności.

Pierre Rosanvallon pisze, że właśnie wówczas, w drugiej połowie XIX wieku, doszło po raz pierwszy do rozziewu między demokracją, jako sposobem ustalania władzy, a demokracją, jako sposobem życia społeczeństwa. Rosnące napięcia próbowano rozładowywać na wiele sposobów. Jednym z najważniejszych była moralizacja sytuacji nierówności, w czym specjalizowała się zwłaszcza wiktoriańska Wielka Brytania – w dominującej kulturze obowiązywało przekonanie, że biedni sami są winni swojej biedy ze względu na swą podrzędną kondycję moralną i „naturalną” skłonność do grzechu: pijaństwa, rozwiązłości, kradzieży.

Kulturze szła w sukurs nauka – triumfy święciła frenologia, która na podstawie pomiarów czaszki dowodziła, że proletariacka biedota to w istocie inny, podrzędny gatunek antropologiczny. Jednym ze skutków takiego „naukowego” poglądu na świat był wynalazek eugeniki, mającej ochronić zdrowe społeczeństwo przed upowszechnianiem podrzędnych cech genetycznych, których nosicieli identyfikowano ze zdegenerowanymi przedstawicielami biedoty.

W Stanach Zjednoczonych jednym ze sposobów na rozwiązywanie napięć wynikających z rosnących nierówności obok dyskursu moralizatorskiego stał się wynalazek segregacji rasowej. Czarni są biedni, bo to wynika z ich natury, musimy się od nich odgrodzić, by chronić dorobek pracowitej, zdrowej białej rasy.

Oczywiście, same zabiegi symboliczne polegające na wypychaniu z przestrzeni demokratycznej równości

„innych”, niegodnych pełnego uczestnictwa we wspólnocie, nie wystarczał. Wzbierająca energia nowych sił politycznych – rosnąca liczebnie klasa robotnicza stała się zapleczem dla nowych aktorów na politycznej i społecznej scenie: związków zawodowych i lewicowych partii politycznych, które w końcu wymusiły korekty rozkładu zamożności.

Rewolucję przyniosły trzy radykalne zmiany: wprowadzenie systemów zabezpieczeń społecznych i emerytalnych, zainicjowane przez kanclerza Bismarcka w Niemczech, zalegalizowanie związków zawodowych i prawa do strajku, w końcu wprowadzenie podatku od dochodów osobistych. Znowu pionierem były Niemcy, które w 1891 r. wprowadziły Einkommensteuer, za nimi poszły Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja. Początkowe stawki były znikome, oscylowały od 0,5 proc. do 6 proc. System błyskawicznie jednak ewoluował w kierunku instytucji podatku progresywnego. W Stanach Zjednoczonych jego najwyższa stawka osiągnęła w 1918 r. (a więc zaledwie pięć lat po pełnym wprowadzeniu podatku w życie) poziom 77 proc., a w 1942 r. 94 proc.!, a sytuację tę za właściwą oceniało 90 proc. Amerykanów. We Francji w 1924 r. najwyższy próg to 60 proc.

Rezultaty? W 1913 r. do 1 proc. najbogatszych Francuzów należało 53 proc. majątku narodowego, w 1984 r. udział ten zmniejszył się do 20 proc. W USA w 1929 r. 10 proc. najbogatszych kontrolowało 50 proc. majątku, w latach 50. już poniżej 35 proc. W Szwecji najbogatszy procent zmniejszył udział w posiadaniu majątku narodowego z 46 proc. na początku wieku do 23 proc. w 1980 r.

Dziś jednak wróciliśmy do sytuacji podobnej jak przed wiekiem. Rosanvallon identyfikuje trzy główne przyczyny tego powrotu do przeszłości. Instytucje solidarności społecznej przechodzą od trzydziestu lat okres kryzysu,

z jednej strony zmalała ich efektywność, z drugiej powrócił dyskurs moralizatorski stygmatyzujący odbiorców transferów społecznych. Dziś, podobnie jak w wiktoriańskiej Anglii, biedni sami są winni swojej biedy, a pomaganie im tylko rozleniwia. Proces ten sprzężony jest z rozwojem nowego, poprzemysłowego zglobalizowanego kapitalizmu i nowego, zindywidualizowanego społeczeństwa.

Wróciliśmy w sensie strukturalnym do przeszłości, co doskonale ilustrują nie tylko przytoczone na początku wskaźniki nierówności, lecz także ewolucja systemu podatkowego. Nawet w Szwecji najwyższa stopa zmalała z 87 proc. w 1979 r. do 51 proc. już w 1983 r. Jeszcze w 1944 r. zdecydowana większość Amerykanów uważała za sprawiedliwie zabieranie od najwyższych dochodów 94 proc. daniny, dziś oburzenie wśród wybieranych przez lud polityków zbudza pomysł, by choć trochę i na chwilę opodatkować najbogatszych.

Zdaniem Rosanvallona, demokracja po raz drugi przeżywa podobny kryzys, jak w drugiej połowie XIX wieku. Problem w tym, że z wielu względów nie sposób zastosować podobnych rozwiązań jak te, które doprowadziły do Nowego Ładu i państwa dobrobytu. Zmieniła się gospodarka, zmienił się świat, zmieniło się społeczeństwo. Demokracja jest w kryzysie. Demokracja jako sposób kształtowania władzy ma się świetnie, nawet Aleksander Łukaszenka odwołuje się do powszechnych wyborów, by uzyskać legitymację dla swych poczynań. Niestety, szwankuje demokracja jako sposób życia społecznego, w którym roszczenie równości jest imperatywem kształtującym relacje międzyludzkie.

5.5 Cyfryzacja w domu i zagrodzie

Czy więc Polska przetrwa do 2030 r.? Ba, nie wiadomo nawet, jaki świat wyłoni się z chaosu oddziałujących na siebie, przeciwstawnych często czynników. Wiemy z pewnością, że w 2030 r. będziemy najszybciej starzejącym się społeczeństwem w Europie, brakować już będzie milionów rąk do pracy. Siłą rzeczy spowoduje to pozytywny impuls płacowy, jednocześnie jednak głodujący emeryci domagać się będą wsparcia od państwa, czyli redystrybucji za pomocą podwyższonych podatków. Koszty pracy znacznie wzrosną, polska gospodarka straci więc atut, który wykorzystuje nieustannie od początku transformacji.

Nie pozostanie nic innego jak walka o konkurencyjność za pomocą innowacji. Zdają sobie z tego sprawę autorzy strategii „Polska 2030. Trzecia fala modernizacji". Czy jednak racje te okażą się silniejsze niż przywiązanie do ulubionej przez Polaków strategii imitacyjnej? Doskonale wyraża się ona w wypowiedziach dwóch intelektualistów. Ekonomista Leszek Balcerowicz przekonuje w tygodniku „Wprost" (nr 49/2004), że *kraje słabiej rozwinięte właśnie dlatego, że są zacofane, mogą korzystać na dużo szerszą skalę niż kraje zaawansowane z transferu zagranicznych technologii. To jest swoista renta zacofania.* Wtóruje mu historyk Jerzy Jedlicki w rozmowie z Adamem Leszczyńskim opublikowanej w „Gazecie Wyborczej" (z 22.02.2009 r.): *W tym, że jestem obywatelem kraju peryferyjnego, nie widzę nic strasznego! To nawet pod pewnymi względami dobrze, bo dostajemy za darmo wynalazki, na które jacyś Niemcy, Francuzi czy Amerykanie wydali wielkie pieniądze i ogromnie się przy tym napracowali! Możemy zapłacić za jakiś patent, za licencję, ale w zasadzie wzory i technologie – w szerokim sensie słowa – dostajemy za darmo*.

Hm, która więc recepta na przyszłość jest lepsza? Innowacji czy imitacji? Wiele wypowiedzi Donalda Tuska, zwłaszcza podczas pierwszej rządowej kadencji, potwierdzało przywiązanie do wizji obiecującej możliwość

jazdy na gapę. Po co się męczyć, skoro nie trzeba? Pytał retorycznie premier, chwaląc przewagę życia tu i teraz nad zbędnym trudem myślenia o odleglej przyszłości. Najciekawsze, że nie widział sprzeczności między swym stanowiskiem a wizją „Pol-ski 2030" swego najbliższego współpracownika.

W zasadzie należałoby jednak przyznać szefowi rządu rację, reform nie robi się dla reform, innowacje nie są celem samym w sobie. To środki do celu. A skoro polska gospodarka bez problemu poradziła sobie z globalnym kryzysem bez innowacji i dalej sobie radzi, mimo że w statystykach innowacyjności ciągle znajduje się na szarym końcu, to znaczy że wysilać się nie warto, lepiej cieszyć się owocami rozwoju i zaletami życia na peryferiach świata.

Zgoda, pod warunkiem, że taki model zapewni odpowiedni potencjał rozwoju za dekadę i dwie, kiedy Polska będzie potrzebowała znacznych wzrostów produktywności, żeby obsłużyć narastające potrzeby wynikające ze starzenia się społeczeństwa, błyskawicznie malejących zasobów pracy, rosnących kosztów obsługi nowej infrastruktury i aspiracji aktywnych zawodowo pokoleń.

Wiadomo już jednak, że jazda na gapę się nie uda. I z raportu „Polska 2030". I z innych dokumentów. W marcu 2012 r. ukazał się raport „Kurs na innowacje. Jak wyprowadzić Polskę z rozwojowego dryfu?" autorstwa zespołu uczonych z prof. Jerzym Hausnerem na czele. Nasza gospodarka już dryfuje, realizuje się więc negatywny scenariusz wskazywany w 2009 r. w raporcie „Polska 2030" Michała Boniego. Wyjście z tego dryfu wymaga nowego modelu rozwoju.

Sednem tego modelu musi być wykorzystanie nie tylko szeroko rozumianego potencjału innowacyjnego

znajdującego się w sferze prywatnej, ale także tego zakumulowanego, choć w znacznej mierze zamrożonego, w sferze publicznej oraz w sferze obywatelskiej. Tak, aby w rezultacie możliwe było uruchomienie w masowej skali krajowego potencjału kreatywności i innowacyjności. Jeśli to zadanie nie zostanie podjęte lub się nie powiedzie, to w konsekwencji polska gospodarka wejdzie w fazę stagnacji i zostanie na lata speryferyzowana w systemie nowej globalnej architektury gospodarczej, a w każdym razie znajdzie się z pewnością daleko od centrum. Czytamy w „Kursie na innowacje".

Wcześniej, w 2009 r., wyniki Narodowego Programu Foresight Polska 2020 ostrzegały, że Polsce grozi w połowie obecnej dekady pogłębienie się luki technologicznej. Jak to? Przecież wszystko możemy kupić. Już jednak nie wystarczy jedynie kopiować i kupować technologie, żeby modernizować kraj i gospodarkę. Owszem, tylko że współczesne technologie różnią się złożonością rozwiązań, jakie pozwoliły dokonać skoku industrialnego w PRL, a potem w miarę szybko wyjść z PRL.

Wymagają wiedzy polegającej nie tylko na zdolności wyboru właściwego rozwiązania, lecz również kompetencji umożliwiających pełne wykorzystanie potencjału. Doskonałym przykładem jest Internet, który z dostępnymi aplikacjami stał się wielką platformą innowacyjną. Można z Internetu korzystać w sposób najprostszy, ograniczając się do emaila, można też na jego fundamencie zbudować globalną mikrokorporację (omawiany wcześniej przykład firmy Local Motors). Oba typy działalności polegają na wykorzystaniu Internetu, różnią się jednak zasadniczo. Nie wystarczy więc jedynie „kupić" Internet, by stać się nowoczesnym. Jeśli wczytać się w omawiany przy okazji rewolucji neoindustrialnej tekst Jeffa Immelta o powrocie produkcji do Stanów Zjednoczonych, to widać wyraźnie, że

podstawą sukcesu były dwa rodzaje innowacji: technologiczne i ludzkie.

Te pierwsze są warunkiem koniecznym, lecz niewystarczającym modernizacji. Nie przyniosą efektu bez zmiany społecznej, bez uruchomienia potencjału ludzkiej kreatywności po to, by w pełni wykorzystać ukryty w technologii potencjał. Rozwiązania techniczne nie są czarnymi skrzynkami do wykonywania zleconych im zadań. Obecna, neoindustrialna faza rewolucji przemysłowej polega na budowie komunikacyjnej sieci łączącej maszyny i ludzi po to, żeby wzmacniać ich łączny potencjał wytwórczy. Maszyny wzmacniają jednocześnie siłę mięśni i potęgę intelektu, dopiero łączne oddziaływanie tych czynników decyduje o pozytywnej zmianie.

Gorzej nawet, próba technologicznej modernizacji bez istotnej zmiany społecznej i kulturowej w reformowanych instytucjach nie może doprowadzić do poprawy, lecz wiedzie do katastrofy. Technologie epoki sieciowej nakładane na struktury hierarchiczne tylko wzmacniają ich sztywność i zmniejszają efektywność, trudno o lepszy przykład niż działanie administracji publicznej w Polsce. O tym napisano już wiele, nic prawie się nie zmieniło w stosunku do diagnozy sprzed dekady przedstawionej w rozdziale „Koniec utopii” z drugiej części książki. Problem w tym, że również polski biznes w swej masie tkwi w analogowej epoce hierarchii i ma kłopoty z siecią. Raport o polskiej gospodarce internetowej opracowany w 2011 r. na zlecenie Google przez Boston Consulting Group nie pozostawia wątpliwości. Z analizy wynika, że owszem, blisko 100 proc. polskich firm korzysta z Internetu: podaje adres poczty elektronicznej, prezentuje swoją ofertę za pomocą własnej lub zbiorczej witryny WWW. Tylko jednak niespełna 15 proc. przedsiębiorstw wie, że dziś Internet umożliwia bardziej zaawansowane formy aktywności biznesowej, jak choćby płatności w sieci, nowe

formy reklamy i kontaktu z klientem. Pod tym względem polski biznes należy do najbardziej zacofanych w Europie.

Inaczej jest jednak z internautami w roli cyfrowych konsumentów, którzy należą do najaktywniejszych użytkowników sieci, jeśli chodzi o intensywność wyszukiwania informacji w Internecie. Ten entuzjazm internautów przekłada się na konkretne liczby – lokomotywą napędzającą polską gospodarkę internetową są właśnie konsumenci. W sumie wartość zakupów zrobionych całkowicie w sieci lub zainicjowanych w Internecie przez sprawdzenie informacji osiągnęła w 2009 r. 42 mld zł, a więc blisko 10 proc. obrotów w polskim handlu detalicznym. Najchętniej kupujemy w ten sposób sprzęt elektroniczny i gospodarstwa domowego, kosmetyki, książki i multimedia, usługi turystyczne, sprzęt ogrodowy czy też samochody. Wiadomo też, że zapał polskich internautów szybko nie zgaśnie – ciągle będzie ich przybywać, póki co z Internetu korzysta niewiele ponad połowa mieszkańców Polski i będą rosnąć ich konsumenckie kompetencje.

Najlepszym dowodem dojrzewania rynku jest odkrywanie przez użytkowników sieci, że może ona służyć nie tylko do robienia zakupów i poszukiwania informacji, lecz również do samoorganizacji w obronie konsumenckich interesów. Spektakularnym przykładem nowej siły była akcja „nabici w mBank”, organizująca gniew klientów mBanku, internetowego ramienia BRE, niezadowolonych z warunków, na jakich zaciągnęli kredyty hipoteczne. Akcja o tyle szczególna, że BRE należy do pionierów bankowości internetowej, która akurat jest wizytówką polskiej Nowej Cyfrowej Gospodarki.

Polskie banki zaczęły świadczyć swoje usługi w Internecie już w 2000 r., kiedy z tego medium korzystało w Polsce zaledwie 7 proc. osób. Innowacyjny zapał jednak opłacił się, nasz kraj jest dziś liderem w Europie Środkowej,

wyprzedzając bardziej zaawansowane pod innymi względami Czechy i Węgry. Z usług bankowości internetowej korzysta już 20 proc. Polaków i 1,6 mln przedsiębiorstw.

Banki rozwijając usługi w Internecie nie tylko dobrze rozpoznały potencjał nowego rynku, lecz także przy okazji bardzo pomogły w cywilizowaniu i oswajaniu nowej przestrzeni aktywności gospodarczej. Największą barierą dla rozwoju elektronicznej gospodarki jest obawa przed nadużyciami i brak zaufania do bezpieczeństwa transakcji realizowanych w sieci. Internetowe banki pokazały jednak, że można zapewnić najwyższy poziom bezpieczeństwa i to z niewielkim udziałem państwa, które od dekady nie potrafi sobie poradzić z takimi problemami, jak elektroniczny podpis czy elektroniczna faktura.

Raport BCG ujawnia, że w Polsce obok banków najlepiej z potencjału Internetu korzystają firmy turystyczne oraz handel detaliczny. Cechą wyróżniającą nasz rynek jest niezwykle silna pozycja serwisu Allegro. Powstał jako serwis aukcyjny, dziś jednak jest on w większym stopniu wielkim internetowym mallem, w którym fir-my z całego kraju wystawiają swoją ofertę. Popularność i znaczenie Allegro, podobnie jak w przypadku bankowości internetowej, polega nie tylko na stworzeniu nowej przestrzeni biznesu. Dziś jest to także jedna z najbardziej uporządkowanych i bezpiecznych przestrzeni handlu w Polsce. Kontrahenci najczęściej nigdy się nie widzieli i nigdy się nie zobaczą, jednak ryzyko oszustwa minimalizuje system rekomendacji: każda transakcja kończy się wystawieniem oceny zarówno sprzedającemu, jak i kupującemu. Tzw. negatywy są gorsze od wezwania do prokuratora, bo skazują na faktyczną banicję.

Dlaczego jednak, skoro może być tak dobrze, jest tak beznadziejnie? Bo raport BCG nie pozostawia złudzeń. Polski biznes w swej masie, mimo pozytywnych

i zachęcających przykładów korzyści z inwestycji w nowe technologie i obecności w Internecie, ani myśli się modernizować. Owszem, 70 proc. firm deklaruje, że posiada własną stronę internetową, lecz w rzeczywistości ma je zaledwie połowa. Tylko 32 proc. z nich umożliwia przeczytanie cenników i aktualnej oferty, jedynie co piąta umożliwia aktywną komunikację internetowych klientów z firmą, np. przez publikowanie komentarzy i uwag. W końcu zaledwie 10 proc. jest obecnych w niezwykle przecież popularnych serwisach społecznościowych.

Wyjaśnienie już padło: innowacje technologiczne bez innowacji ludzkich nie ujawnią pełnego potencjału. Czy jednak możliwa jest prawdziwa modernizacja w społeczeństwie z uporem odtwarzającym kulturę organizacyjną folwarku? Nie da się jej w żaden sposób pogodzić z kulturą sieci, tymczasem począwszy od szkoły – przez uczelnie wyższe – po urzędy i przedsiębiorstwa ćwiczymy wypróbowany sposób budowy więzi społecznych oparty na relacji dziedzic–ekonom–fornal. W polityce polski folwark przejawia się w powszechnym klientyzmie.

Unowocześnianie takiej struktury niczego nie zmienia, przeciwnie – folwark zinformatyzowany staje się jeszcze gorszym folwarkiem, bo zwiększają się możliwości kontroli i maleje motywacja do budowy relacji opartych na zaufaniu. Wystarczy wsłuchać się w argumenty za budową systemu informacji oświatowej lub dyskusję, jaka pojawiła się wokół nowego systemu refundacji leków: oto istnieją szkoły, w których dyrekcja fałszuje liczbę uczniów o specjalnym statusie, zapewniającym większą dotację; oto lekarze tworzą z aptekarzami „spółdzielnie”, by wciskać jak najdroższe leki. Jakie jest rozwiązanie tego problemu? Ekonom w każdej szkole i aptece, tyle tylko, że nowoczesny, z batem informatycznego systemu kontrolno-sprawozdawczego.

Sposobu tego nie da się pogodzić z kulturą sieci. A jeśli pogodzić się nie da, to dla kompetentnych użytkowników, Dzieci Sieci, sieć staje się platformą umożliwiającą organizację życia równolegle do wszechogarniającego folwarku i radzenia sobie z przeszkodami, jakie tworzy on w swych realnych wcieleniach szkoły, urzędu, instytucji kultury. Nic też dziwnego, że gdy folwark dał sygnał, że zamierza zaatakować sieć, nastąpił bunt. Wiemy z historii, że nawet najbardziej pokorni chłopi potrafią się zbuntować. Czy polski Bunt Sieci też okaże się jednym z wielu takich chłopskich buntów przeciwko feudalnej strukturze, bez wpływu wszakże na tę strukturę?

Stawka jest wysoka, bo jak przekonują autorzy przytaczanego raportu „Kurs na innowacje", Polsce grozi trwała peryferyzacja. Warto przypomnieć, że kultura folwarku i wcześniejsze zepchnięcie na peryferie były skutkiem pierwszej globalizacji i nowożytnego podziału pracy, w ramach którego Rzeczpospolitej przypadła rola spichlerza Europy, a 90 proc. społeczeństwa statusu niewolników obsługujących ten spichlerz.

Obecny kryzys jest zapowiedzią wielkiej przebudowy globalnej sceny gospodarczo-politycznej o podobnie przełomowym znaczeniu, jak to, co się działo na przełomie XVI i XVII wieku na skutek ówczesnych zmian technologicznych (Gutenberg!), politycznych, kulturowych. Taka przebudowa to okres ogromnych zagrożeń, nie można nawet wykluczyć, jak ostrzega Zbigniew Brzeziński, wojen.

Jednocześnie jednak to czas olbrzymiej szansy – nikt nie wie, jaka będzie przyszłość, w efekcie obniża się bariera wejścia dla graczy dotychczas peryferyjnych. Jeśli dobrze obstawić, można przesunąć się bliżej centrum. Tak właśnie udało się w drugiej połowie XX wieku Finlandii i Korei Południowej. Kraje te wykorzystały „okienka możliwości", jakie otwierały się w okresie kolejnych restrukturyzacji systemu gospodarczego.

Dziś nie mamy wyjścia, musimy podjąć te samą grę. Czy jednak jesteśmy w stanie?

Ostrożnie optymistycznej odpowiedzi udzielił wspomniany Narodowy Program Foresight Polska 2020. Wynika zeń, że istnieje szansa na modernizację polskiej gospodarki, zarówno sfery materialnej, jak i niematerialnej. W tej chwili potencjał ten jest bardzo rozproszony, w wielu dziedzinach ulega on szybkiej degradacji (m.in. na skutek starzenia się wykwalifikowanych kadr i powstawania pokoleniowych luk kompetencyjnych).

By w oparciu o ten potencjał dokonać modernizacyjnego skoku, potrzeba synergii kilku czynników: kapitału intelektualnego, czyli potencjału badawczo-rozwojowego umożliwiającego rozwój konkretnej dziedziny; kapitału finansowego; infrastruktury gospodarczej, czyli istnienia przedsiębiorstw gotowych do komercjalizacji nowych produktów i usług; kapitału kulturowego, czyli istnienia pozytywnych norm kulturowych sprzyjających rozwojowi konkretnych dziedzin; w końcu kapitału społecznego, czyli społecznej gotowości do angażowania się w działalność innowacyjną.

Synergia wszystkich tych czynników jest kluczem do sukcesu. Widać wyraźnie, że np. biotechnologia, gdzie Polska dysponuje wysokiej jakości kapitałem intelektualnym, nie rozwija się w sposób adekwatny do tego potencjału ze względu na ewidentne niedostatki innych czynników, w szczególności brak przedsiębiorstw gotowych komercjalizować wyniki badań oraz dominujące w społeczeństwie konserwatywne normy kulturowe, uniemożliwiające rozwój wielu kierunków zastosowań biotechnologii w rolnictwie i medycynie (opór wobec żywności modyfikowanej genetycznie, opór wobec technik medycznych opartych na manipulacjach genetycznych). Odmienna sytuacja panuje w sektorze lotniczym, którego sukces jest właśnie wynikiem wspomnianej synergii.

Przyjmując powyższą linię analizy można przyjąć, że największe szanse rozwoju w perspektywie najbliższych dwóch dekad mają sektory o najlepszej infrastrukturze przemysłowej i kapitałowej, czyli szeroko rozumiana branża energetyczno-surowcowa. Koncerny takie, jak PKN Orlen, Polska Grupa Energetyczna, miedziowy potentat KGHM, mogłyby być lokomotywami rozwoju nowoczesnych sektorów gospodarki, biorąc pod uwagę, że i tak muszą w najbliższych dekadach zainwestować olbrzymie środki w modernizację. Czy będzie to jednak modernizacja skoncentrowana jedynie na odtworzenie zdekapitalizowanych, tradycyjnych mocy wytwórczych zgodnie z logiką kapitalizmu przemysłowego, czy też polegać ona będzie na „ucieczce do przodu", zgodnej z duchem zielonego kapitalizmu?

Sukces tej transformacji zależy z jednej strony od sukcesu w rozwoju nowych technologii, co wymaga nie tylko nakładów na badania w znane już kierunki rozwoju, jak alternatywne źródła energii lub technologie chemicznego przetwórstwa węgla, lecz również poszukiwania nowych rozwiązań przez łączenie wyników badań z odległych od siebie do niedawna dziedzin, jak np. wykorzystanie organizmów biologicznych do ekstrakcji surowców i utylizacji zanieczyszczeń lub konwergencja sieci energetycznej z siecią teleinformatyczną.

Warunkiem koniecznym, lecz niewystarczającym przekraczania dyscyplinarnych granic są inwestycje w badania i rozwój. By jednak przyniosły one właściwy efekt, potrzebna jest transformacja kulturowa, akceptacja wartości „zielonego kapitalizmu". Tylko wówczas zmieni się nastawienie kognitywne, dzięki czemu dzisiejsze zagrożenia będą traktowane jako rozwojowa szansa. Klasycznym przykładem takiej transformacji jest zapoczątkowana kilka lat temu zmiana strategii koncernu General Electric. Po redefinicji strategii lokomotywą rozwoju tego koncernu jest

kierunek określany jako ecoinnovation. Koncern upatrując swoją wielką szansę w „zielonym kapitalizmie” – zamiast walczyć z ograniczeniami dla działalności gospodarczej, wynikającymi z wdrażania proekologicznych regulacji, stał się głównym w USA orędownikiem opodatkowania emisji dwutlenku węgla.

Jeśli nasze potencjalne lokomotywy rozwoju będą zdolne do podobnej transformacji technologicznej i kulturowej, to w perspektywie dwóch dekad związane z nimi sektory gospodarki mogą stać się polską specjalnością, w oparciu o takie m.in. kluczowe technologie (odwołuję się do wyników NPF Polska 2020), jak nowoczesna karbochemia, synergia jądrowo-węglowa, poligeneracja, biotechnologiczne przetwórstwo surowców i utylizacji zanieczyszczeń, inteligentne sieci energetyczne, rozproszone systemy energetyczne.

By tak się stało, potrzebne są śmiałe przekrojowe, interdyscyplinarne strategie łamiące zastane schematy myślowe. Wyobrażam sobie, że kapitał intelektualny związany z badaniami biologicznymi można by lepiej wykorzystać, angażując go w sektorze energetycznym, a nie żywnościowym. Wyobrażam sobie, że integracja teleinformatyki z energetyką może zrewolucjonizować nie tylko samą energetykę, lecz również walnie przyczynić się do rozwiązania problemów cyfrowego wykluczenie etc.

Wyobrażam sobie, że szansą rozwojową polskiego rolnictwa może być jego względne technologiczne zacofanie. Czy musimy je modernizować zgodnie ze schematami intensywnej technologicznie wielkotowarowej transformacji? Co nam ona da? Czy w tej konkurencji będziemy mieli szansę w wyścigu z przemysłem rolniczym Brazylii, Kanady, USA? Czy może lepiej zakwestionować ten schemat i wykorzystać najnowsze zdobycze nauk biologicznych, jak choćby wspomagane przez genetykę metody selekcji do tego, by „unowocześnić

tradycję” nie rezygnując jednak z niej, lecz traktując ją jako czynnik różnicujący na globalnym rynku?

Jak widać, odwołując się tylko do rodzimych, zidentyfikowanych zasobów kapitałowych (rozumiejąc te zasoby w szerokim znaczeniu, nie tylko finansowym, lecz także intelektualnym, kulturowym, infrastrukturalnym i społecznym), jesteśmy w stanie sformułować politykę rozwojową stwarzającą szansę na wykreowanie ośrodków rozwoju opierających się nie tylko na imitacjach i naśladowaniu, lecz także, w perspektywie dekady–dwóch, na oryginalnych technologiach i innowacjach.

Pozostaje jeszcze sfera gospodarki niematerialnej, jej rozwój obciążony jest największą niepewnością, może być jednak także źródłem największych niespodzianek i ciekawych rozwiązań. Nie widać zasadniczych powodów, by w Polsce nie mogły rozwinąć się przemysły kultury zdolne do konkurencji na globalnym rynku. Rozumiem przemysły kultury w bardzo szerokim znaczeniu tego słowa: od tradycyjnych sektorów, jak produkcja filmowa i telewizyjna – przez nowe branże, jak produkcja gier komputerowych i serwisów internetowych – po mające olbrzymi potencjał rozwojowy sektory czasu wolnego i stylów życia.

6.0 sympatyczny Lewiatan, czyli problem podwójnej delegitymizacji

Ronald Reagan miał mawiać, że najstraszniejsze słowa, jakie zna w języku angielskim, to „I am from the government and I am here to help you” (Jestem z rządu i jestem tu, żeby ci pomóc). Ronald Reagan, podobnie jak Margaret Thatcher i inni prorocy neoliberalizmu przypuścili udany szturm na instytucje znienawidzonego przez nich państwa dobrobytu, skutecznie je delegitymizując. W istocie jednak zbytniej wierności głoszonym ideom nie dochowali, realizując raczej politykę „kapitalizmu wojennego”.

Udział wydatków publicznych w dochodzie narodowym nie zmienił się ani w USA, ani w Wielkiej Brytanii, zmieniła się natomiast struktura gospodarki oraz model redystrybucji. Pieniądze zamiast płynąć od bogatszych do biednych, zmieniły kierunek, przy pełnym politycznym przyzwoleniu – wszak politycy ci wybierani byli w uczciwych, demokratycznych wyborach.

Katastrofa finansowa 2008 r., poprzedzona rok wcześniej kryzysem na rynku kredytów hipotecznych w Stanach Zjednoczonych, pozbawiła sterników kapitalizmu sentymentów. Słowa swego guru Ronalda Reagana wyrzucili do kosza i ustawili się w kolejce do państwa, by ratowało banki, a jak się da i inne korporacje. Tłumaczono, że AIG jest zbyt duże, by upaść. Podobnie General Motors.

Nastąpił bezprecedensowy proces nacjonalizacji strat prywatnych korporacji, któremu jednocześnie towarzyszyły próby działań antyrecesyjnych w ramach pakietów stymulacyjnych przyjętych przez wiele rządów. Pakiet

amerykański przez dwa lata wpompował blisko 800 mld dol. w rozwój infrastruktury, nowych technologii energetycznych, badania i rozwój.

Nie miejsce tu na analizę efektywności tych działań. O wiele ciekawsza jest rozwijająca się równolegle próba modernizacja aparatu państwowego. Barack Obama, choć nie miał zbyt wiele wspólnego z kryzysem, wszak w 2008 r. dopiero wygrał wybory, a władzę w Białym Domu objął w styczniu 2009 r., mógł spodziewać się, że republikanie nie darują sobie, żeby mu dopiec. I rzeczywiście, szybko okazało się, że – ich zdaniem – nowy prezydent to socjalista próbujący zdławić amerykańską wolność zwiększając prerogatywy rządu federalnego.

Jak odeprzeć atak? Szukając nowych źródeł legitymizacji dla aktywności państwa czy też raczej, odświeżając tradycyjne źródła. Pierwsze, to sprawność wykonawcza, czyli zdolność do efektywnego dostarczania usług publicznych. Drugie, to proces demokratyczny. O pierwszych próbach modernizacji państwa w epoce sieci i informacji piszę w rozdziale „Koniec utopii”, który z kolei pochodzi z książki „Zatruta studnia”, a więc sprzed dekady. Obama postanowił popchnąć sprawy do przodu i skorzystać z narzędzi, jakie posłużyły do przekształceń w gospodarce.

Dlaczego współczesne państwo jest nieefektywne? Można przyczyn szukać w biurokracji, korupcji, procedurach. W istocie jednak problem sprowadza się do efektywności pozyskiwania i przetwarzania informacji, by w oparciu o nie tworzyć wiedzę potrzebną do zaspokajania potrzeb i dostarczania usług publicznych. W epoce przedinformacyjnej to właśnie struktury biurokratyczne były wielkimi komputerami – rozlokowani w precyzyjnie rozpisanej hierarchii urzędnicy analizowali przypisane sobie fragmenty rzeczywistości, a racjonalnie wymyślona struktura organizacyjna sprzyjała przepływowi informacji. Na podobnej zasadzie tworzyły się biurokratyczne

korporacje przemysłowe. Niezbędną wiedzę dostarczali eksperci legitymujący się odpowiednimi tytułami naukowymi lub profesjonalnymi.

Społeczeństwo jednak się zmieniło w wielu wymiarach. Po pierwsze, proces indywidualizacji spowodował, że coraz trudniej zidentyfikować potrzeby ludzi i zaprojektować usługi publiczne. Rozwiązaniem miało być urynkowienie i komercjalizacja sektora publicznego, w wielu przypadkach doprowadziło to jednak do załamania jakości i dostępności wielu usług. Innym pomysłem, już rodem z XXI wieku, okazało się wykorzystanie innowacji internetowych.

To prawda, że administracja nie ma już możliwości pełnej identyfikacji obywatelskiego popytu na usługi publiczne. Można jednak zaprosić obywateli do współtworzenia tych usług, oferując odpowiednie platformy z dostępem do danych, jakimi dysponuje administracja. W modelu Open Data dane te są udostępniane w taki sposób, że można na ich podstawie przygotować różne usługi. Na przykład dane zbierane przez wydziały ochrony środowiska mogą posłużyć do przygotowania serwisów informujących o poziomie zagrożeń ekologicznych.

Jednocześnie też podobne platformy mogą posłużyć do zbierania informacji od obywateli o tym, gdzie coś nie działa i co ludzi denerwuje. Od najprostszej, lecz irytującej dziury w ulicy – po konsultacje decyzji inwestycyjnych. Podobnie jak platforma InnoCentive stała się źródłem inspiracji innowacji produktowych dla Procter&Gamble, tak różnorodne serwisy Open Government służą zwiększeniu efektywności komunikowania się władzy ze społeczeństwem.

Amerykański filozof David Weinberger dowodzi w książce „Too Big to Know: Rethinking Knowledge Now That the Facts Are-n’s the Facts, Experst Are Everywhere, and the Smartest Person in the Room is the Room” (Zbyt duży, by wiedzieć. Przemyśleć wiedzę, gdy fakty nie są już

faktami, eksperci są wszędzie, a najmądrzejszą osobą w pokoju jest sam pokój), że świat wiedzy jest dziś „too big to know”, zbyt wielki, by wiedzieć. Już nie wystarczy wiedza pojedynczych ekspertów, potrzebne jest współdziałanie rozumu zbiorowego, rozproszonego w sieci. W efekcie nie dość, że tworzy się lepsza wiedza umożliwiająca przygotowanie lepszych usług publicznych i zaspokajanie obywatelskich potrzeb. Jednocześnie obywatele zyskują możliwość współuczestniczenia w podejmowaniu decyzji i wglądu w decyzje, które władza podejmuje samodzielnie.

Tak kontrolowana władza nie ma wyjścia, musi zachowywać się przyzwoicie i racjonalnie, zbliżając się do doskonałości. Dlaczego w takim razie w 2011 r., mimo trwających już jakiś czas prób modernizacji państwa, wybuchły w Stanach Zjednoczonych protesty pod hasłem Occupy Wall Street? Co wywołało gniew gromadzących się na ulicach miast Stanów Zjednoczonych? Podobnie zresztą w Wielkiej Brytanii, gdzie protestujący przez wiele miesięcy okupowali plac przed katedrą św. Pawła w sercu City. Przecież rząd brytyjski włożył tyle serca w modernizację w oparciu o filozofię Open Government.

Cóż, władza być może zwiększyła techniczną sprawność, technika nie rozwiązała jednak kwestii legitymizacji politycznej. Co z tego, że obywatele zyskali wgląd w dane gromadzone przez administrację, zaproponowane zostały nowe narzędzia partycypacji i tworzenia usług publicznych, skoro decyzje strategiczne podejmowane są w starym stylu, czyli wyłaniają się w wyniku gry interesów aktywnych aktorów. Gospodarcze lobbies dysponują znacznie większą siłą politycznego oddziaływania niż niezorganizowane grupy obywatelskie. Dlatego tak łatwo podejmować decyzje o nacjonalizacji bankowych długów i nie sposób zaproponować nowych mechanizmów redystrybucji.

Niestety, Internet nie okazał się wystarczająco dobrym instrumentem do organizowania woli politycznej. Owszem,

jest doskonałym narzędziem mobilizacji protestu, czego doskonale dowiodły rewolucje w świecie arabskim. Zmiotły one dyktatorów w Tunezji i Egipcie, lecz po internetowej rewolucji zwolnione miejsce zajęły tradycyjne siły: w Egipcie armia, w Tunezji partia islamistyczna.

Eksperyment polegający na mariażu sieci z demokracją dał mieszane rezultaty, nie spełniając chyba jednak najważniejszej nadziei: demokratyzacji demokracji. Owszem, nowe technologie wyposażają inteligentną władzę w instrumenty wzmacniające jej zdolność do technokratycznego zarządzania. Jak jednak przekonuje amerykański politolog Bruce Bueno de Mesquita, współautor książki „The Dictator's Handbook" (Podręcznik dyktatora), istota władzy się nie zmienia. Jest nią po prostu sama władza i zdolność do jej utrzymania, która polega na kupowaniu aktorów decydujących o trwaniu u steru.

W takiej sytuacji najbardziej racjonalne nawet argumenty za tym, że zmniejszenie nierówności jest koniecznością, nie mogą odnieść skutku, bo nie znajdują ucieleśnienia w strukturach mogących przetłumaczyć te argumenty na język politycznej mocy. Sama wiedza, że równość się opłaca, nie wystarczy, by zmienić sytuację. Potrzebne są nie tylko racjonalne projekty, których przecież nie brakuje: od podatku Tobina (polega on na opodatkowaniu transakcji finansowych – zaproponował go w 1972 r. James Tobin, amerykański ekonomista – noblista) po dochód obywatelski półki pełne są poważnych analiz i propozycji.

Brakuje natomiast aktorów politycznych i społecznych zdolnych zmusić instytucje demokracji formalnej do realizacji równościowego planu. Związki zawodowe niemal wszędzie, z wyjątkiem krajów nordyckich, rozpadają się i tracą siłę. Partie polityczne straciły klasowy charakter, wszystkie reprezentują interes klasy średniej, różnice mają charakter kulturowy. Trudno, żeby było inaczej, skoro

pojęcie klasy społecznej straciło swe mocne, mobilizujące znaczenie.

Zygmunt Bauman patrzy pesymistycznie na te przemiany, twierdząc, że obywatela zastąpił konsument, a polityka zamieniła się w sztukę uwodzenia biernych jednostek. Trudno, żeby konsument podskakiwał, skoro jest zniewolony złotymi łańcuchami pożyczek, jakie wziął najpierw, żeby konsumować, a teraz, żeby jakoś wyjść z kryzysu. Pierre Rosanvallon ma więcej optymizmu, jego traktat o równości to de facto trzecia część epopei poświęconej ewolucji demokracji. Francuski uczony zwraca uwagę, że elementem demokracji jako sposobu kształtowania władzy była kontrdemokracja, czyli spontaniczna aktywność obywateli pragnących więcej kontroli nad sferą władzy.

Jego zdaniem to, że maleje udział obywateli w wyborach, nie oznacza odpolitycznienia społeczeństw. Przed laty udział w wyborach wyrażał przynależność do pewnej wspólnoty, której symbolem była preferowana partia. Dziś ze względu na wspomniane przemiany partie takiej integrującej funkcji nie pełnią. To jednak nie znaczy, że zmalała aktywność kontrdemokratyczna, będąca wyrazem żywotności demokracji jako sposobu życia społecznego. Wybitnym wyrazem kontrdemokracji są rozlewające się po świecie ruchy oburzenia. Zarzucanie im, że nie mają jasnego programu, jest nieporozumieniem. Początkiem końca pierwszego kryzysu demokracji w XIX wieku także były naiwne wydawałoby się postulaty: chleba i pracy! Jak mawiał twórca – ojciec niemieckiej socjaldemokracji – Eduard Bernstein, cel jest niczym, ruch jest wszystkim. To właśnie w tym ruchu kontrdemokracji tworzyć się będą nowe instytucje kształtowania polityki i realizacji równościowego roszczenia. Musi ono znaleźć nowy wyraz nie przeciwko demokracji i demokratycznemu kapitalizmowi, lecz by oba te projekty uratować. Batem

popędzającym do pracy powinna być obecność na barykadach Slavoja Žižka, słoweńskiego radykalnego filozofa, czy teksty takich radykalnych lewicowych myślicieli, jak Francuz Alain Badiou, przypominających, że wiecznie żywa jest „hipoteza komunistyczna” i czeka na kolejne historyczne wcielenie.

Nie tylko ożywienie ruchów kontrdemokratycznych niesie powiew optymizmu. Nowoczesny projekt demokratyczny od samego początku związany był, na dobre i złe, ze stanem wiedzy i sposobem, w jaki człowiek w sposób racjonalny opisywał sam siebie. Rosanvallon przekonuje, że koncepcja podobieństwa będąca jednym z filarów demokratycznej równości nie przebiłaby się do publicznej świadomości bez prac naukowych George’a Luisa Buffona, francuskiego biologa, który stosując argumenty biologiczne dowodził, że ludzie nie różnią się między sobą.

Niestety, później rasizm także odwoływał się do naukowej argumentacji. Dziś jednak w debacie naukowej pojawia się coraz więcej argumentów pokazujących, że trzeci człon rewolucyjnej triady – braterstwo, czyli zdolność jednostek do altruizmu i bezinteresownej współpracy, nie była tylko fantazją francuskich rewolucjonistów. Człowiek z natury jest bardziej empatycznym, gotowym do wzajemności *Homo reciprocans* niż egoistycznym *Homo economicus*. Być może więc odnowiona idea braterstwa stanie się podstawą dla tworzenia racjonalnych instytucji społecznych i politycznych, godzących demokratyczne pragnienie wolności i równości? Być może w ramach powrotu do rzeczywistości i neoindustrializacji wrócą na scenę siły niezbędne, by podnieść hasła wolności, równości i solidarności, dodając do argumentu rozumu niezbędny w polityce argument siły uosobionej w obywatelach gotowych poprzeć sprawę, zarówno podczas manifestacji na ulicy, jak i podczas żmudnej pracy programowej.

Stawka jest wysoka, wynik bardzo niepewny. Innowacyjna energia potrzebna do tego, żeby świat dalej podążał ścieżką rozwoju, aż kipi. Jak nigdy natomiast brakuje świeżych idei i innowacji politycznych oraz instytucjonalnych, które sprzyjając rozwojowi nadawałyby mu pożądany kierunek. Czy tak jak w przypadku wspomnianych elektrokardiografów po 500 dol., źródłem tak potrzebnych innowacji będą społeczeństwa rozwijające się? Jeśli zabraknie pozytywnych odpowiedzi, głównym kryterium legitymizacji władzy stanie się jej efektywność.

Co to oznacza? Wystarczyło spojrzeć na statystyki poparcia dla chińskiego „modelu zarządzania rozwojem", który sprawdził się spektakularnie w czasie kryzysu. Nawet amerykańscy biznesmeni zaczęli tęsknić do władzy zdolnej szybko podejmować dobre decyzje. Od razu znaleźli się też usłużni intelektualiści, którzy jak John Naisbitt, autor słynnych przed laty „Megatrendów", wymyślili właściwe nazwy dla tego, co w Chinach się dzieje. Skoro więc Chińczycy radzą sobie z kryzysem, to ich system sprawowania władzy jest dobry, nie może być więc złą dyktaturą. Jest demokracją, trochę inną niż liberalna demokracja zachodnia, jest po prostu demokracją wertykalną. Cokolwiek pojęcie to miałoby oznaczać, ilustruje doskonale, że demokracja jako sposób organizacji życia społeczno-politycznego jest zagrożona.

I nie należy pocieszać się wizją realnej, bezpośredniej demokracji internetowej, bo to nic innego, jak ukoronowanie procesu neoliberalnej prywatyzacji sfery publicznej. Demokracja nie polega jednak na arytmetycznym agregowaniu głosów pojedynczych osób, lecz na działaniu opinii. Powstawanie opinii to znacznie bardziej złożony proces niż tylko swobodna konwersacja w kawiarni i na Facebooku. Potrzebna jest jeszcze dzielona przez grupę gotową do politycznego działania wizja dobra wspólnego, wspólne wartości i emocje, w których człowiek

prywatny rozpuszcza się i przekształca w Człowieka Publicznego. Tylko czy powrót Człowieka Publicznego jest jeszcze możliwy?

By odpowiedzieć, trzeba zaryzykować i do rządzenia włączyć obywateli. Czyli kogo? I jak? Czy rozwiązaniem jest powrót do demokracji bezpośredniej? W dobie Internetu tak łatwo go zrealizować. Przecież teoretycznie każdy może wypowiedzieć się i zagłosować na każdy temat. Wiemy już jednak z licznych badań i doświadczeń, że nowe medium nie jest panaceum na uzdrowienie sfery publicznej. Ułatwia wspólne tworzenie wiedzy, sprzyja jednak także polaryzacji opinii i ekspresji ekstremizmów, doskonale też nadaje się do manipulacji.

Istotą nowoczesnej demokracji jest ucieranie się poglądów i ochrona mniejszości przed tyranią większości. Demokracja bezpośrednia nie musi sprzyjać tym wartościom. W Szwajcarii, kraju referendów, kobiety czekały na prawo uczestnictwa w życiu politycznym do lat 70. XX w., jeden z kantonów bronił się przed nimi „demokratycznie” do 1990 r.

Jak jednak ucierać poglądy, gdy obok zorganizowanych grup interesów – związków zawodowych, stowarzyszeń, izb gospodarczych pojawia się wielość, zbiór jednostek domagających się prawa do udziału w demokratycznym współdecydowaniu częściej niż tylko podczas wyborów? Jak w końcu ucierać poglądy, gdy uczestnicy demokratycznego sporu zupełnie inaczej rozumieją te same pojęcia. Konkretny przykład z polskiego konfliktu wokół ACTA – własność. Co znaczy „święte prawo własności” w epoce cyfrowej, zwłaszcza w odniesieniu do dóbr niematerialnych? Nawet twórcy są podzieleni. Nie ma prostych recept, nie wystarczy na siłę przysposobić wszystkich cyfrowo wykluczonych, skazani jesteśmy na poszukiwania.

Eksperymenty trwają na całym świecie, najczęściej w skali mikro – w pojedynczych miastach reformowane są małe fragmenty życia publicznego; jeśli eksperyment się powiedzie, upowszechnia się w innych miejscach. Brazylijskie Porto Allegre już dwie dekady temu zaczęło wdrażać ideę budżetu partycypacyjnego: obywatele zyskali możliwość decydowania, na jakie potrzeby wydać część miejskich pieniędzy. W ten sposób głos zyskali ci, którzy byli pomijani w tradycyjnym procesie demokratycznym, bo nikt ich nie reprezentował. W efekcie zaniedbywane dzielnice wykluczenia zostały włączone do miejskiego systemu kanalizacyjno-wodociągowego.

Brazylijskie doświadczenie jest dziś klonowane na całym świecie, ideę budżetu partycypacyjnego wdraża ponad setka miast brytyjskich. W Polsce sprawdza pomysł Sopot. W Bydgoszczy prezydent miasta rozwiązał wydział kultury i zaprosił do współdecydowania Obywatelską Radę ds. Kultury (więcej o tym procesie w Epilogu).

Coraz wyraźniej widać, że miejscem polityki rozumianej jako troska o dobro wspólne są tzw. mikropolityki, czyli działania podejmowane przez obywateli, często niezrzeszonych w żadnych strukturach i organizacjach, którzy mają poczucie, że działania władzy legalnej nie służą owemu dobru wspólnemu, choćby dlatego, że władza nie ma dostępu do pełnej informacji o potrzebach. Jak jednak odróżnić mikropolitykę od lobbingu grup interesów? Jaka gwarancja, że walczący o zwiększenie nakładów na kulturę lub edukację nie zabiegają po prostu o większą kasę dla konkretnych korporacji?

Nie ma gwarancji. Carne Ross, niegdyś brytyjski dyplomata, pisze jednak w książce „Leaderless Revolution” (Rewolucja bez przywództwa), że społeczeństwo sieciowe samo szybko uczy się, jak kontrolować jakość, budować struktury zaufania i wykrywać krętaczy. Programiści tworzący system operacyjny GNU/Linux potrafili, mimo

braku formalnej hierarchii, wypracować sposoby tworzenia bardzo złożonego produktu i wyłapywania błędów. Banki nauczyły się chronić bezpieczeństwo internetowych transakcji nie czekając na państwo, które do dziś nie potrafi poradzić sobie z elektronicznym podpisem. Platformy aukcyjne, takie jak Allegro w Polsce, niegdyś odpowiednik jaskini zbójców, dziś są najbezpieczniejszymi miejscami handlu w ogóle. Nadszedł czas, by skorzystać z tych doświadczeń również w relacjach władza–obywatel.

Nie ma co się jednak łudzić, że nawet najbardziej umiejętnie wdrażając innowacje społeczeństwa sieciowego do codziennej praktyki władzy, wkroczymy do utopijnego świata, w którym „rządzenie ludźmi zostanie zastąpione administrowaniem rzeczami”, o czym marzył Saint-Simon na początku XIX wieku. Nie uwolnimy się od polityki jako przestrzeni sporu, często namiętnego, o to, czym jest dobro publiczne oraz interes ogólny w złożonym świecie i zróżnicowanym społeczeństwie.

Stawką dziś jest taka modernizacja instytucji demokratycznego społeczeństwa, by efektywnie reprezentowały jak największy zakres opinii w sytuacji, gdy coraz trudniej jednoznacznie wskazać, kto ma prawo reprezentacji. Trwanie przy przekonaniu, że dotychczasowe instytucje spełniają tę rolę, bo dysponują legitymacją udzieloną podczas wyborów, jest najlepszą receptą na to, żeby wirtualna wojna domowa trwała przez wiele, wiele lat, przeradzając się w realny, gorący konflikt.

epilog

Poszukiwania. Gramatyka społecznej partycypacji

Innowacje i rewolucje łączy jedno: pojawiają się z zaskoczenia, nie sposób przewidzieć ich miejsca ani czasu. Kto przypuszczał, że nieudany start Bydgoszczy w staraniach o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury wyzwoli społeczną energię, która zaczęła zmieniać miasto? Bydgoszcz przepadła już w pierwszym etapie selekcji, porażka jednak nie wywołała zbyt wielkiej traumy (dobrym punktem odniesienia może być Szczecin, gdzie po przegranej przyszedł głęboki kryzys, zgromadzony podczas prac nad aplikacją kapitał społeczny w znacznej mierze się rozpadł, a władze dokończyły proces kadrowymi czystkami). Zdobyte doświadczenie stało się podstawą dalszej realizacji programu „Kultura w budowie". Punktem przełomowym dla konsolidacji ruchu i energii okazał się bydgoski Kongres Kultury zorganizowany we wrześniu 2011 r.

Kongres stał się wydarzeniem par excellence, momentem, kiedy działa się historia, a nic nie było zdeterminowane – rozwój sytuacji zależał, jak w dziele Karla von Clausewitza „O wojnie", od gry przypadków i podejmowanych, często pod wpływem chwili emocji, decyzji. Atmosfera towarzysząca inauguracji spotkania była dość napięta, nowy prezydent miasta wyraźnie pokazywał, wysyłając komunikaty do lokalnych mediów i kontrolerów do instytucji kultury, że to on sprawuje legalną władzę w mieście i nie do końca uznaje roszczenia strony społecznej. Bo jaką z kolei legitymację mieli organizatorzy

Kongresu? Kogo reprezentowali: korporacyjny interes ludzi kultury czy interes publiczny?

Wzajemna nieufność wyraźnie ciążyła na pierwszym dniu kongresowych wydarzeń. Jako obserwator z zewnątrz, nieznający wszystkich meandrów lokalnego życia publicznego, byłem dość przygnębiony. I nagle coś zaczęło iskrzyć. O ile formalny program referatowo-konferencyjny rozwijał się dość niemrawo, to znakomicie wystrzeliły stoliki społeczne. Drugi nurt debaty polegał bowiem na spotkaniach, które organizowali sami obywatele zainteresowani konkretnymi sprawami. Mieszkańcy Fordonu siedli, żeby porozmawiać o kondycji swojej zapomnianej przez władze i Boga dzielnicy. Przedstawiciele lokalnych mediów zajęli się miejscem kultury w ich gazetach i stacjach. Wystarczyło pięcioro chętnych, by ukonstytuować stolik.

Pomysł okazał się niezwykle skuteczny, udał się jednak tylko dlatego, że trafił w społeczną potrzebę. Mieszkańcy chcieli rozmawiać nie tyle o kulturze, co o swoim mieście. Zebrane postulaty złożyły się na bydgoskie *cahiers de doléances*, listę często wykluczających się, lecz na pewno autentycznych spraw i roszczeń. Emanująca z nich energia okazała się najlepszą legitymacją dla organizatorów Kongresu, którzy w ten sposób udowodnili, że nie występują jako uzurpatorzy planujący zamach na publiczną kasę i władzę.

Energia ta zwrotnie wzmocniła wymowę „akademickiej” części spotkania, której zadanie polegało z kolei na dostarczeniu zobiektywizowanej wiedzy o stanie bydgoskiej kultury i szerzej, społecznej kondycji miasta. Wyrażane przy stolikach emocje i roszczenia znajdywały w debacie naukowej potwierdzenie lub refutację, poddane konfrontacji z analizami statystycznymi i opisami procesów społeczno-kulturowych.

Przełomowość Kongresu polegała na tym, że stał się on szczególną platformą komunikacyjną. Za jego sprawą społeczeństwo bydgoskie pokazało się w swej dość żywiołowej różnorodności, żywioł ten jednak od razu został ogarnięty w struktury dyskursu umożliwiającego systematyczny dialog.

Przedstawiciele władz miejskich, zarówno Rady Miasta, jak i sam prezydent, szybko dostrzegli i zrozumieli ten komunikat. O ile początek wydarzenia raczej sugerował, że wszystko zmierza ku katastrofie, to każda godzina bliżej finału zapowiadała happy end. Rzeczywiście, po nocnych negocjacjach uzgodniono, że Kongres zakończy się przyjęciem deklaracji zobowiązującej do opracowania Bydgoskiego Paktu dla Kultury.

Kolejne wydarzenia to przyjęcie Paktu, powołanie Obywatelskiej Rady ds. Kultury, która w miejsce rozwiązanego wydziału kultury współzarządza bydgoską kulturą razem z Biurem Kultury Urzędu Miasta. W lutym br. ruszyło Miejskie Centrum Kultury, nowa instytucja nastawiona na innowacje w sferze animacji i aktywności kulturowej (w skład Emceku wchodzi Laboratorium Żywej Kultury).

Dotychczasowy opis pomija zapewne wiele istotnych szczegółów, nie chodzi wszakże o kronikę wydarzeń, lecz próbę zrozumienia procesu, który doprowadził do głębokich zmian w sposobie zarządzania miastem – na razie w jednym obszarze. Być może doświadczenia z tego obszaru można zuniwersalizować i w oparciu o nie zbudować „skrzynkę z narzędziami” do wykorzystania w innych miastach. Być może też wypracowane mechanizmy partycypacji można zastosować w innych dziedzinach zarządzania miastem.

Podczas licznych dyskusji o bydgoskim procesie pojawiają się za każdym razem dwa pytania. Pierwsze dotyczy reprezentatywności ciał społecznych, takich jak obecna Obywatelska Rada ds. Kultury. Wszak źródłem ich

legitymizacji nie jest formalna procedura demokratyczna. Co jest więc tym źródłem? Pytanie drugie dotyczy intencji władzy – czy partycypacja nie jest chytrym sposobem manipulacji?

Nie ma prostej odpowiedzi, bo odpowiedź kryje się w złożonym systemie, jaki udało się w praktyce zbudować podczas Kongresu, a jego rozwój nigdy się nie zakończy. Proces ten jednak opierać się musi na kilku filarach. Po pierwsze, wymaga odniesienia do kategorii interesu publicznego. Przedstawiciele strony społecznej legitymizują swoje roszczenia działaniem ponad interesem partykularnym. Czy jednak działanie w imię interesu publicznego nie jest obowiązkiem i prerogatywą legalnej władzy publicznej?

Owszem, tyle tylko że współczesne społeczeństwo jest coraz bardziej złożone i dynamiczne, co powoduje, że struktura potrzeb, jakie wymagają zaspokojenia przez system usług publicznych, nieustannie się zmienia. W takiej sytuacji żaden aktor życia społecznego nie dysponuje wystarczającą informacją i wiedzą do samodzielnej identyfikacji interesu publicznego.

Władza publiczna ma legitymację, nie ma jednak wystarczającej wiedzy. Kultura jest doskonałym przykładem coraz większego odklejania się realnych potrzeb i wynikających z nich praktyk uczestnictwa od istniejącego ładu instytucjonalnego. Każdy mieszkaniec przestrzeni miejskiej jako obywatel ma konstytucyjnie umocowaną legitymację do działania, jednak także nie dysponuje pełną wiedzą.

Rozwiązaniem problemu jest wytworzenie struktur tworzenia wiedzy społecznej poprzez identyfikację zmieniających się potrzeb oraz ich obiektywizację, by można tworzyć politykę zaspokajania tych potrzeb z uwzględnieniem równowagi między zasadnymi

roszczeniami partykularnymi a optimum społecznym i interesem publicznym.

W modelu nowoczesnym wydawało się, że wystarczającym źródłem wiedzy umożliwiającej sprawowanie władzy publicznej będzie nauka. Dziś wiemy doskonale, że zobiektywizowane badania rzeczywistości społecznej są elementem koniecznym, lecz niewystarczającym, by powstała w oparciu o nie wiedza była podstawą działania społecznego. Bydgoszcz pokazała, że dostęp do zobiektywizowanej wiedzy naukowej jest istotnym elementem budowania dialogu – nauka dostarcza „faktów", które umożliwiają racjonalizację debaty publicznej.

Debata taka z wiązki monologów, gdzie każdy artykułuje swoje emocje i poglądy, ma szansę stać habermasowskim działaniem komunikacyjnym, racjonalną dyskusją prowadzącą do porozumienia. Warunkiem racjonalności jest odniesienie do faktów. Fakty są więc niezbędne, lecz nie zdadzą się na nic, jeśli nie istnieje wola rozmowy. Stosunkowo łatwo jest ją wykrzesać w sytuacjach szczególnej mobilizacji, trudniej jednak utrzymywać energię społecznego zaangażowania w nieustannym pogotowiu.

Zmęczenie i rutyna są największym zagrożeniem dla procesu społecznej partycypacji i legitymizacji społecznych roszczeń. Niebezpieczeństwo największe polega na tym, że proces mogą przejąć najbardziej zmotywowani aktorzy, czyli przedstawiciele konkretnych grup interesu. W wariancie łagodniejszym ryzyko degeneracji procesu polega na tym, że jeśli zostanie on zdominowany przez najbardziej aktywnych aktorów, to nawet jeśli będą oni pełni dobrej woli, posługiwać się mogą własną, partykularną, a nie zobiektywizowaną wiedzą. W efekcie, nawet przy dobrych intencjach, mogą przestać reprezentować interes publiczny i działać jak lobby.

Dodatkowym aspektem zwiększającym złożoność procesu jest kwestia konkretnych już działań projektowanych w modelu partycypacyjnym, w oparciu o wspólną wiedzę i rozpoznane potrzeby. Tu znowu kategorie nowoczesne, polegające na definiowaniu zadań dla instytucji, które w oparciu o te zadania przygotowują konkretne usługi, są coraz trudniejsze do utrzymania. Trzeba się pogodzić, że coraz trudniej nie tylko właściwie rozpoznawać potrzeby w zmieniającym się społeczeństwie. I jeszcze trudniej je zaspokajać. Jedynym skutecznym sposobem jest podejście innowacyjne, zakładające konieczność nieustannego eksperymentowania i współtworzenia usług wraz z ich odbiorcami.

Oczywiście łatwiej napisać, niż wykonać – innowacyjność oznacza z definicji wysokie ryzyko, co z punktu widzenia władzy publicznej nie wygląda zachęcająco. W takiej sytuacji znowu model partycypacyjny wydaje się optymalnym rozwiązaniem. W modelu takim rola władzy publicznej polega na zapewnieniu platform, które umożliwiają tworzenie zróżnicowanych usług samym zainteresowanym. Ryzyko innowacji przesuwa się na aktorów społecznych.

Podsumowując analizę, można wskazać elementy udanego procesu partycypacji z wbudowanym mechanizmem regeneracji. Warunkiem podstawowym jest obniżenie naturalnej na początku każdej sytuacji społecznej bariery braku zaufania. Zaufanie powstanie, gdy wszyscy aktorzy zyskają przekonanie, że dążą do tego samego celu, którego legitymacją jest odniesienie do interesu publicznego. Wymaga to wytworzenia samowiedzy społecznej, do czego potrzeba zarówno „faktów” (które produkuje nauka), jak i dyskursów – dzielonych przez aktorów struktur intelektualnych definiujących sytuację społeczną. Wytworzenie tak opisanej samowiedzy społecznej wymaga utrzymywania struktur dialogu, które

mają charakter refleksywny, stabilizują proces i jednocześnie nastawione są na ciągłe innowacje.

Nie istnieje jeden przepis na realizację tak naszkicowanego procesu. Wymaga on rozwiązań instytucjonalnych, jak Obywatelska Rada ds. Kultury czy nowa formuła Emceku w Bydgoszczy. Wymaga także uczestnictwa aktorów nieinstytucjonalnych, zaangażowanych „akuszerów dyskursów", osób pomagających tłumaczyć doświadczenia indywidualne na język interesu wspólnego. Najważniejsze jednak, że wymaga pewnej masy krytycznej społecznego zaangażowania, bez którego cały proces traci legitymację.

Jak widać, zbudowanie struktury partycypacyjnego współdecydowania nie jest łatwe. Wymaga dużo czasu i obarczone jest, jak budowa każdego systemu złożonego na olbrzymią niepewność. Wiadomo jednak także, że każdy system złożony po osiągnięciu pewnego stopnia złożoności, kiedy działają już wewnętrzne sprzężenia podtrzymujące odtwarzanie kluczowych dla procesu zasobów (jak wiedza, fakty naukowe, instytucje, procedury), zyskuje dużą stabilność i trudno go rozmontować. Nawet gdy któryś z kluczowych aktorów, np. prezydent miasta, będzie próbował to uczynić.

Z tego właśnie względu warto przyglądać się Bydgoszczy z uwagą i dopingować, by odniosła sukces. Wiele wskazuje na to, że każde kolejne działanie zwiększa złożoność budowanego przez bydgoszczan systemu. Jeśli tylko nie zostanie popełniony jakiś zasadniczy błąd, powstanie samoodtwarzający się system zdolny do działania niezależnie od kaprysów pojedynczych uczestników.

Nadszedł czas na kolejne przedsięwzięcie wzmacniające proces – społeczny foresight, wspólną debatę o przyszłości. Nic tak nie wzmaga woli społecznego działania jak wspólnie wytworzona i dzielona wizja dalekosiężnych, lecz realistycznie zdefiniowanych celów. Istotą foresightu jest

nie tylko określenie tych celów, lecz sam proces społeczny polegający na rozmowie i tworzeniu samowiedzy o potrzebach, ich ewolucji, definicjach dobrego życia, jego jakości w odniesieniu do przestrzeni publicznej i sfery prywatnej.

Nie oszukujmy się jednak, doniesienia o bydgoskich przemianach wywołują zróżnicowany odbiór. Jedni życzliwie zazdroszczą, inni nie kryją sceptycyzmu: to się nie może udać! Tak, to się nie musi udać. Powodzenie chyba najciekawszego w tej chwili w Polsce eksperymentu ze społecznej partycypacji nie jest przesądzone. Co tylko nadaje temu eksperymentowi znaczenia.[2]

Część II **Wyznanie kogniwojażera**

Dzisiaj, kiedy uwaga społeczeństwa jest zaprzątnięta reformami państwowymi, kiedy rozmaite stronnictwa współubiegają się o postawienie programu żądań, zabezpieczającego najlepiej prawa i wolności obywatelskie, warto jest przypomnieć sobie, że istnieje forma współżycia, stojąca poza organizacją państwową, a która zdolna jest nie tylko do wykonywania wszelkich zadań społecznych, lecz zarazem zabezpiecza najlepiej i najszerzej wolności obywatelskie. Formą tą są stowarzyszenia.

Edward Abramowski, 1907 r.

Wprowadzenie

Figurą charakterystyczną dla kapitalizmu przemysłowego był komiwojażer. Jeździł z próbkami towarów z misją wciśnięcia produktów rozwijającego się przemysłu klientom nieświadomym jeszcze swych konsumpcyjnych pragnień. Na trwałe wszedł do literatury i filmu, stał się nieśmiertelny. Komiwojażer żyje jednak nie tylko życiem symbolicznym jako bohater kultury. Ciągle ma się dobrze w różnych współczesnych wcieleniach akwizytora, przedstawiciela handlowego, konsultanta.

W pewnym jednak momencie komiwojażer odkrył, że do przedziału w pociągu dosiadł się nowy pasażer. Podobnie uzbrojony w laptopa, często też podobnie jak komiwojażer uzbrojony w segregator lub teczkę z papierami, jakiś jednak inny. To kogniwojażer, obwoźny handlarz idei – zdobywająca na znaczeniu postać kapitalizmu kognitywnego lub też Społeczeństwa Wiedzy. Jeździ od uczelni do uczelni obsługując polski boom edukacyjny. Czasem gada do kotleta podczas korporacyjnych wydarzeń. Goni po różnych konferencjach, żeby mówić i słuchać, lecz głównie po to, żeby zbierać punkty niezbędne do naukowego awansu.

Nie wszyscy kogniwojażerowie to naukowcy. Nie brakuje wśród nich dziennikarzy, ludzi kultury. Podobnie jak komiwojażerowie, handlarze idei oferują różny towar. Czasem mają w swych głowach i laptopach towar luksusowy, często jednak mogą co najwyżej zaoferować bullshit, towar nieświeży, idee przechodzone, ukradzione, banały. Jest popyt, jest podaż.

Cóż, sam też jestem kogniwojażerem, co bardzo sobie chwalę. Wyjazdy, spotkania, konferencje, seminaria to dodatkowa do redakcyjnej motywacja, by podejmować nowe tematy i konfrontować je nie tylko z czytelnikami,

lecz również z żywą publicznością. Bezcenne, wszystko inne można kupić za pomocą karty kredytowej.

W drugiej części „Buntu Sieci” prezentuję kilka tekstów uzupełniających część pierwszą. Pierwszy z nich pochodzi z opublikowanej w 2002 r. książki „Zatruta studnia. Rzecz o władzy i wolności” wydanej przez wydawnictwo W.A.B. Cała książka dostępna jest w Internecie (www.buntsieci.pl). Zdecydowałem się na powtórkę rozdziału „Koniec utopii”, by zilustrować tezę o buncie sieci – już wtedy wyraźnie widać było jego symptomy.

Kolejne eseje pokazują, jak narastała świadomość zmian, które doprowadziły do protestów przeciw ACTA i zaostrzyły Bunt Sieci, przekształcając go w wirtualną wojnę domową.

Teksty te, niewielka część idei, z jakimi jeździłem w kolejnych misjach, zebrałem, by tworzyły rodzaj pisemnego wyznania kogniwojażera, który ma satysfakcję nie tylko, gdy mu wypłacą honorarium; lecz również wówczas, gdy po jakimś czasie widzi, że nie oferował jesiotra drugiej świeżości. Mam nadzieję, że teksty te uzupełniając część pierwszą „Buntu Sieci” pozwolą ze względu na swój archiwalny charakter lepiej odczuć zmieniającego się ducha czasu i trwającej rewolucji.

Koniec utopii

Skąd rewolucja nadejdzie? Jak się objawi? Nikt na te pytania odpowiedzieć nie może. Nie wiemy. Ale ci, co umieją patrzeć i myśleć, nie mylą się: robotnicy i wyzyskiwacze, rewolucjoniści i konserwatyści, myśliciele i profani, wszyscy zarówno czują, że rewolucja społeczna czai się tuż za naszym progiem.

Piotr Kropotkin, Zdobycie chleba

To udowodnione, że postęp społeczny idzie lepiej z cukrem. Eugène Ionesco, Łysa śpiewaczka

Polaków kończących długi majowy weekend 2002 r., rozkosznie słoneczny i upalny, media powitały wiadomością, że w Polsce odnotowano pierwszy przypadek BSE, czyli tak zwanej choroby szalonych krów. Tak oto nawet średniowieczna kondycja naszego rolnictwa nie uchroniła nas (na co po cichu liczyliśmy) przed tą ponowoczesną plagą. Wszczęte natychmiast śledztwo ujawniło, że bałagan i nieprawidłowości w dokumentacji uniemożliwiają odtworzenie pełnej historii chorej krowy. Wicepremier i minister rolnictwa zarazem Jarosław Kalinowski uspokoił jednak społeczeństwo, zapowiadając rychły i definitywny koniec bałaganu.

Otóż, jako jeden z warunków przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, budowany jest system informatyczny IACS, który zliczy wszystkie polskie krowy i świnie. Bydlęta zostaną zakolczykowane, każde otrzyma paszport i znajdzie się w Systemie. W ten oto sposób już niebawem, jak zapewniał minister Kalinowski, nie tylko chora krowa, ale nawet mysz nie umknie uwadze urzędników. Trzeba będzie tylko kliknąć, wcisnąć *enter*, by poznać niezbędne szczegóły.

Słowa przywódcy PSL i wicepremiera polskiego rządu musiały podziałać kojąco na Polaków, którzy w przeddzień wakacji oczekiwali w kolejkach, zakręconych jak świńskie ogonki, na swoje paszporty.

To, co w słowach Kalinowskiego niewypowiedziane, a co najważniejsze, to nadzieja, że w ten sposób dokonamy „żabiego skoku", poszybujemy ponad otchłanią urzędniczej niekompetencji, by wylądować w krainie, w której ludzką niedoskonałość zastąpi doskonały system, tym razem informatyczny.

Tęsknota Laplace'a

Jarosław Kalinowski, choć może nawet o tym nie wie, w zachwycie nad systemem budowanym przez partyjnych kolegów przejawia tę samą tęsknotę, którą tak dobitnie wyartykułował przed laty Pierre Simon de Laplace. Otóż ten francuski myśliciel oświeceniowy przekonywał, że dysponując odpowiednią ilością informacji (konkretnie: znając parametry wszystkich obiektów w świecie), będzie mógł przewidzieć stan świata w dowolnym momencie.

Tęsknotę tę można zamienić na zestaw konkretniejszych implikacji o charakterze operacyjnym. Na przykład: jeżeli będę dysponował informacjami o wszystkich krowach w państwie, to uchronię obywateli przed BSE, bo będę w stanie określić, co w danym momencie dzieje się z każdym zwierzęciem. Polityk wzdycha: gdybym tylko znał wszystkie potrzeby ludzi, to uczyniłbym ich szczęśliwymi. Uczony obiecuje: gdy rozszyfrujemy tajemnicę genomu ludzkiego (a więc rozpracujemy ukryte w nim informacje), uwolnimy ludzkość od dręczących ją chorób.

W tęsknocie Laplace'a odbija się ewolucja ludzkiego rozumu, której momentem przełomowym było dzieło Isaaca Newtona. Udowodnił on, że istnieje uniwersalny język opisu rzeczywistości matematyka, a prawa zapisywane w postaci

matematycznych formuł mają charakter uniwersalny. Skoro świat można wyrazić przez matematykę, to znaczy, że jest on policzalny. A skoro jest policzalny, to i przewidywalny. Jeśli zaś można przewidywać, to można również zaprojektować system doskonały. Jakich ingrediencji potrzeba do tego szlachetnego dzieła? Informacji i wiedzy. Im pełniejsza informacja i precyzyjniejsza wiedza, tym projekt dzieła doskonalszy.

Dlaczego to, co sprawdza się w fizyce, nie miałoby działać i w innych obszarach życia, na przykład ekonomii? Wyrazem takiego optymizmu było (wspomniane już w rozdziale „Razem na Marsa”) *Tableau économique* fizjokraty François Quesnaya i inne późniejsze projekty Wieku Rozumu. Oświecenie to również nadanie metafizycznej sankcji idei postępu i udzielenie instytucjonalnej nauce monopolu na produkcję wiedzy. W efekcie powstało przekonanie, że postęp ma charakter liniowy i jest odbiciem metody naukowej. Otóż nauka w rozumieniu oświeceniowym jest, używając języka dwudziestowiecznego, systemem cybernetycznym o dodatnim sprzężeniu zwrotnym. Nowe fakty, informacje o rzeczywistości odsłaniane przez uczonych (odczytywane z „Księgi Natury”, jak by to powiedział Galileusz) służą produkcji wiedzy, która poza tym, że odkrywa Ducha, przyczynia się jednocześnie do wynalazków technicznych. Te zaś prowadzą do rozwoju gospodarczego, a także produkcji nowych narzędzi badawczych. Rozwijający się przemysł finansuje naukę, która uzbrojona w nową aparaturę odsłania nowe fakty itd.

Coraz szybciej toczące się koło postępu zatrzyma się, gdy już będziemy wiedzieć wszystko, gdy powstanie system wiedzy pozwalający z jednakową dokładnością opisać ruch atomów, jak i ruch ludzi w społeczeństwie. To z kolei umożliwi zaprojektowanie najlepszego ustroju społecznego. Jak doskonale pamiętamy, z deklaracjami o stworzeniu

takiego systemu pośpieszył się Karol Marks. Sądził, że odkrył prawa rozwoju społecznego nie mniej ścisłe niż prawa fizyki. Włodzimierz Lenin zrealizował system Marksa pod postacią Związku Radzieckiego, a tęsknocie Laplace'a nadał konkretny wymiar Planu (patrz rozdział „Razem na Marsa").

Eksperyment radziecki zakończył się fiaskiem, okazał się ślepą odnogą w ewolucji systemów społecznych. Ujawnił podstawowe trudności, na jakie natknąć się może rozum konstruujący racjonalną przyszłość, nie unieważnił jednak samej wiary w rozum i możliwość stworzenia systemu doskonałego. Należało jedynie rozum lepiej wykorzystać – zamiast trwonić jego energię na eksperymenty wbrew naturze, pozostać przy głównym pniu historii i przypomnieć sobie, co zapowiedział Hegel w 1806 r.

W 1989 r. Francis Fukuyama przypomniał o końcu historii, czym wywołał wiele dyskusji. Nie wdając się w nie, oświadczenie Fukuyamy ogłoszone w chwili upadku komunizmu można odczytać następująco: przez blisko dwieście lat, jakie upłynęły od wypowiedzi Hegla, postęp wiedzy dokonujący się w systemie liberalno-demokratycznym przybliżył nas niezwykle do odsłonięcia Ducha, poznania wiedzy pełnej. System doskonały to wiedza pełna wraz z otwartością i indeterminizmem właściwym dla ustroju liberalnego. Jak dotychczas, mimo zapowiedzi końca historii, doskonałości jeszcze nie osiągnęliśmy, ale wcale nie jest nam do niej daleko.

Projekt kontra proces

Znamy procesy, znamy mechanizmy. Dysponujemy nowymi narzędziami matematycznymi (Bertrand Saint-Sernin nazwał je matematyką wolności), jak teoria gier, teoria komunikacji, teoria złożoności. Nie pozwalają one co prawda, jak zamknięta matematyka Planu, przewidywać

dokładnie. Ale mamy przecież komputery, dzięki którym równania powyższych teorii ożywają jako symulacje ukazujące konsekwencje określonych wyborów. Dysponując tym wszystkim, czy nie można pokusić się o przyspieszenie marszu do doskonałości?

Pozytywnej odpowiedzi udzielili sobie w latach sześćdziesiątych Japończycy. W okresie powojennym Japonia szybko odbudowywała przemysł i kontynuowała modernizację, polegając głównie na naśladownictwie wzorów i technologii amerykańskich. Japończycy dostrzegli jednak już na początku lat sześćdziesiątych, że model ten wyczerpuje się. Rozwój polegający na rozbudowie klasycznych przemysłów wytwórczych w kraju pozbawionym surowców nie wróżył sukcesu. Powoli zaczęła też dojrzewać konkurencja innych azjatyckich państw pragnących powtórzyć japoński cud, dysponujących jednak podstawowym atutem – tanią siłą roboczą. Japonii potrzebny był wielki skok naprzód – do przemysłów „intensywnych informacyjnie". W 1963 r. Tadao Umesao opublikował artykuł o ewolucyjnej teorii społeczeństwa opartej na gęstości „przemysłów informacyjnych". Artykuł ten stał się w 1964 r. zaczynem debaty, w której po raz pierwszy pojawiło się pojęcie społeczeństwa informacyjnego – *johoka shakai*. Pojęcie to wypromował między innymi znany japoński futurolog Yoneji Masuda.

Po właściwym dla Japończyków procesie uzgodnień i budowania konsensusu w 1969 r. powstał raport o konieczności rozwoju przemysłów przetwarzania informacji. Zryw związany z *johoka shakai* miał wiele pozytywnych skutków – dzięki niemu rozwinęły się przemysły mikroelektroniczne, zapewniając Japonii niemal monopolistyczną pozycję w takich dziedzinach, jak produkcja magnetowidów, kamer i aparatów fotograficznych, gier elektronicznych, fotokopiarek.

Jednak Japonii osiągnąć się nie udało podstawowego celu, czyli społeczeństwa informacyjnego i liczącego się przemysłu informatycznego. Znowu ujawniła się sprzeczność natury strukturalnej, podobnie jak w Związku Radzieckim. Projekt państwowy zderzył się z rzeczywistością społeczną. Japończykom udało się doprowadzić do doskonałości tradycyjne procesy produkcji, w czym nawet prześcignęli na pewien czas Amerykanów. Nie zdołali jednak ich pokonać w obszarze najważniejszym – produkcji wiedzy, ponieśli też fiasko w tworzeniu przemysłów wiedzy, w tym najważniejszego przemysłu oprogramowania komputerowego. W tej dziedzinie Amerykanie są niepokonani. Dlaczego, wyjaśniliśmy w rozdziale „Nowy, jeszcze wspanialszy świat”.

W dialektycznym starciu polityki państwowej z duchem kontrkultury wykrystalizowała się nowa jakość, a jednocześnie zostało określone pole konfliktów przyszłości. Oto bowiem uzbrojone w najnowsze technologie teleinformatyczne państwo dążyć będzie do pozycji omnipotentnego państwa informacyjnego. Z drugiej strony te same technologie w rękach jednostek służą ich wolności i chronią przed potęgą państwowych instytucji. Podstawowy konflikt współczesności to konfrontacja między pozornie podobnymi wizjami: społeczeństwa informacyjnego jako projektu politycznego i społeczeństwa informacyjnego jako naturalnego procesu społecznego. Używając języka Michela Foucaulta, ustala się dyskurs dominacji i władzy, którego wynik w tej chwili nie jest jeszcze przesądzony.

Politycy przyglądają się coraz doskonalszej informatyce łakomym okiem, bo obiecuje im spełnienie snu o państwie doskonałym, działającym precyzyjnie i efektywnie, niczym skomputeryzowane przedsiębiorstwo. Retoryka towarzysząca reformie administracji państw europejskich do złudzenia przypomina kampanie reklamowe banków lub

firm ubezpieczeniowych. Na przykład Tony Blair w ramach kampanii *modernizing government* obiecuje obywatelom Wielkiej Brytanii, że dzięki nowoczesnym technologiom państwo będzie działać zgodnie z biznesowym wzorcem „24/7/365”, czyli przez całą dobę, przez cały tydzień, przez cały rok. Do 2008 r. praktycznie całą komunikację z państwem, od uzyskiwania podstawowych informacji po udział w przetargach, rejestrację pojazdu, płacenie podatków, będzie można załatwiać przez Internet.

To jednak tylko wierzchołek góry lodowej, kryjącej się pod hasłem *citizens first*. Bo jeśli rzeczywiście obywatele mają być dobrze, efektywnie obsłużeni (w trosce o efektywność w brytyjskich urzędach wdrażane są procedury zgodne z normami ISO, podobnie zaczynają robić urzędy samorządowe w Polsce, a nawet ogłosiło taki zamiar jedno liceum ogólnokształcące), samo państwo musi posiadać niezbędne informacje. Mówiąc wprost, państwo musi jak najwięcej o swoich obywatelach wiedzieć. Wiedzę tę może zdobywać bezpośrednio, z różnorakich rejestrów prowadzonych przez wiele urzędów, jak również pośrednio, znanymi w biznesie metodami *data mining* (analizy danych). Umożliwiają one łączenie w spójny profil danych z pozoru niemających z sobą nic wspólnego.

Co w tym złego, można zapytać. Przecież 11 września pokazał, że niedostatek systemów służb państwowych prowadzi do katastrofy. Gdyby wywiad amerykański dysponował pełną wiedzą, jaka kryła się w licznych zebranych przez różne amerykańskie agendy informacjach, byłby w stanie ujawnić zamiary przynajmniej części zamachowców. Ponieważ nawet w Stanach Zjednoczonych taki system nie działa, w efekcie doszło nie tylko do zamachu, ale i do tragikomicznego *postscriptum*. Otóż w pół roku po ataku na Nowy Jork dwaj z zamachowców, w tym Mohammed Atta, otrzymali zgodę na studiowanie na amerykańskich uczelniach.

Takie przykłady popierać mają tezę, że przed niebezpieczeństwami świata współczesnego uchronić może nas tylko państwo informacyjne, dysponujące nieograniczonym dostępem do informacji i możliwości jej przetwarzania na wiedzę operacyjną. Takie państwo nie tylko zapewni bezpieczeństwo, ale również będzie w stanie z należytą troską i efektywnością zająć się obywatelami.

Wiara w efektywność techniki, proste przenoszenie narzędzi skutecznych w biznesie do praktyki społecznej i politycznej może jednak przynieść opłakane skutki. W Wielkiej Brytanii jeszcze za rządów konserwatystów jednym z elementów reformy służby zdrowia miał być wzrost jej efektywności, co, jak przekonywali urzędnicy, zapewnić mogły tylko komputery. Potrzebne były między innymi do tego, by oceniać w sposób jak najbardziej naukowy rokowania zgłaszającego się do szpitala pacjenta. W zależności od (nieomylnego w domyśle) werdyktu maszyny, pacjent był albo kierowany do izby przyjęć, albo odsyłany do domu z poleceniem zgłoszenia się w późniejszym terminie, albo spotykał się z odmową leczenia, bo byłoby ono już niepotrzebną stratą środków. Nie wiedzieć czemu system komputerowy spotkał się z bardzo nieprzychylnym przyjęciem społecznym. Ludzie twierdzili, że w opiece zdrowotnej oprócz efektywności ważne są podobno jeszcze inne, niepoliczalne czynniki.

Bardziej złowieszczy przykład tego, jakie mogą być rezultaty kultu efektywności i informacji, przedstawia Edwin Black w książce *IBM i Holocaust*. Amerykański autor dowodzi w niej, że III Rzesza była prekursorem nowoczesnego państwa informacyjnego. Jako pierwsza, jeszcze przed epoką komputerów, zastosowała metody masowego przetwarzania informacji i *data mining* do procesu identyfikacji Żydów i późniejszej ich eksterminacji. Black pisze: *Kiedy Hitler doszedł do władzy, podstawowym celem nazistów stała się identyfikacja i fizyczne*

wyniszczenie sześciuset tysięcy członków niemieckiej społeczności żydowskiej. Dla hitlerowców Żydami były nie tylko te osoby, które wyznawały i praktykowały judaizm, lecz także ludzie mający w swoich żyłach domieszkę krwi żydowskiej. Nie miało przy tym znaczenia, w jakim stopniu osoby te były zasymilowane, z kim wzięły ślub, do jakiego Kościoła należały, a nawet czy przeszły na religię chrześcijańską. Dopiero po identyfikacji Żydów oprawcy mogli przystąpić do konfiskaty ich mienia, zgrupowania w gettach, deportowania i wreszcie eksterminowania. Sprawdzenie sporządzanych od wielu pokoleń zapisów komunalnych, kościelnych i rządowych w całych Niemczech, a później w całej Europie, wiązało się z tak ogromnym nakładem pracy i przygotowaniem tak obszernego rejestru krzyżowego, że należało użyć w tym celu komputera.[3]

Niemcom udało się dopiąć celu bez komputera, dlatego dziś, gdy jest on narzędziem powszechnym, dobitniej brzmią ostrzegawcze słowa Lyotarda z „Kondycji ponowoczesnej”: *Informatyzacja może stać się wymarzonym instrumentem kontroli i regulacji systemu rynkowego, który rozciąga się także na samą wiedzę i który rządzi się*

wyłącznie zasadą skuteczności. W takim przypadku nieuchronnie zakłada terror. Francuski filozof dostrzega jednak od razu janusowe oblicze informatyzacji, jej drugi, wyzwalający wizerunek: *Ale może również* (informatyzacja – przyp. autora) *służyć grupowym dyskusjom nad metapreskrypcjami, dostarczając ludziom informacji, których najczęściej nie mają, by mogli podejmować rzeczowe decyzje. Aby sprawy potoczyły się w takim właśnie kierunku, linia, jaką należy przyjąć, jest w gruncie rzeczy bardzo prosta: obywatele powinni mieć swobodny dostęp do pamięci i do banków danych*.

Mówiąc inaczej, jedynym antidotum na totalitarny potencjał państwa informacyjnego jest społeczeństwo informacyjne. Rozwija się ono, zgodnie z tym, co przedstawił Castells, niezależnie od woli polityków, jest po prostu naturalnym skutkiem dyfuzji technologii teleinformatycznych.

Kapitalizm infokomunikacyjny

System doskonały to nie, jak chciał Marks, komunizm, ale kapitalizm infokomunikacyjny, pozbawiony swoich wad wynikających właśnie z niedostatku lub nierównego dostępu uczestników gry rynkowej do informacji (za badania nad tą nierównością przyznano Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii za rok 2001). Ustrój przyszłości to globalny wolnorynkowy kapitalizm, którego podmiotem będzie globalne społeczeństwo informacyjne. Każdy jego obywatel będzie miał swobodny dostęp do pełnej informacji (tworzącej zasoby otwartej inteligencji zbiorowej), dzięki czemu niemożliwa stanie się nieuczciwa gra prowadząca do takich patologicznych skutków, jak powstawanie monopoli, karteli itp.

Powstaje kusząca perspektywa świata pozbawionego Marksowskich sprzeczności, zasadzających się na konflikcie między kapitałem i pracą. Głównym tematem rozważań Marksa były, jak pamiętamy, tak zwane stosunki produkcji. Zastanawiał się on, jakie cechy najlepiej charakteryzują kapitalizm i jednocześnie są źródłem konfliktów, niesprawiedliwości itp. Z tych obserwacji wynikało, że powodem całego nieszczęścia jest fakt, iż środki produkcji – kapitał, maszyny, ziemię – posiada nieliczna tylko grupa złych kapitalistów, krwiopijców dążących do maksymalnego zysku za wszelką cenę.

Jak powstaje zysk kapitalisty? Otóż z eksploatacji robotników, którzy swoją ciężką pracą tworzą tak zwaną

wartość dodatkową. Oczywiście, dostają za to pensję, która jest jednak znacznie mniejsza niż wytworzona wartość. Ta różnica to właśnie zysk kapitalisty. Marks stwierdził, że jedynym sposobem na usunięcie tej niesprawiedliwości jest uspołecznienie środków produkcji, czyli socjalizm, w którym wszyscy są właścicielami fabryk. Dalszy ciąg już znamy, bo zorganizowany według tej recepty raj przez jakiś czas budowano w Polsce.

Marks był dobrym socjologiem i jego analiza dziewiętnastowiecznego społeczeństwa kapitalistycznego należy już do klasyki literatury. Zdawał sobie również doskonale sprawę z roli wiedzy w nowoczesnym społeczeństwie. W XIX w. była to jednak wiedza instrumentalna, jedno z narzędzi potrzebne do uruchomienia kapitału. Dziś jest ona podstawową substancją kapitalizmu, pełni funkcję zarówno kapitału, jak i środka produkcji. Produkcja przemysłowa liczy się coraz mniej, w Stanach Zjednoczonych 80 proc. ludzi pracuje w usługach, w rolnictwie zaledwie 2 proc., kilkanaście procent w fabrykach. Skoro nie ma robotników, to nie ma ich wyzysku. Jest więc szansa, że postulaty Marksa są już po prostu nieaktualne.

Co ze środkami produkcji? Najważniejszym z nich jest dziś wiedza, a to jest przecież to, co mamy w głowach. Maszynę można zamknąć w fabryce, ale ukryte w głowie nowoczesnego pracownika wiadomości w każdej chwili mogą na nogach swojego właściciela opuścić miejsce pracy. Przecież o to właśnie chodziło staremu Marksowi – żeby środki produkcji należały do pracowników. I tak właśnie jest, zgodnie z teoretykami Nowej Gospodarki, gospodarki wiedzy.

Podczas budowy socjalizmu teoria uparcie rozmijała się z praktyką. Niestety, nie inaczej jest przy tworzeniu doskonałego społeczeństwa informacyjnego. Nie dało się socjalizmu wprowadzić metodami rewolucyjnymi, nie da się

również tylnymi drzwiami. Podstawą kapitalizmu jest jednak własność i to właśnie środków produkcji. Skoro więc obecnie najważniejszym kapitałem jest wiedza, to można być pewnym, że ktoś będzie próbował położyć na niej łapę. I tak się właśnie dzieje, trwa desperacki wyścig, kolejne obszary wiedzy odgradzane są drutem kolczastym, zupełnie jak podczas podboju Dzikiego Zachodu.

Lata dziewięćdziesiąte to szalony rozwój ochrony praw własności intelektualnej. Zaczyna się patentować wszystko, nie tylko konkretne technologie. Przedmiotem ochrony stają się już nawet pomysły. Szaleństwo zaczęło się od próby opatentowania w roku 1993 samej idei multimediów.

Amerykański Urząd Patentowy wniosek przyjął, ale został on później uchylony przez sąd. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby patent został utrzymany. Każdy, kto chciałby zrobić CD z tekstem i ruchomymi obrazkami, musiałby płacić tantiemy.

Amazon, największy sklep internetowy, zdołał jednak opatentować ideę *One-click-buy* (pomysł, a nie technologię), przez co każdy, kto chciałby zaoferować podobne udogodnienie w swoim serwisie internetowym, musi zapłacić myto. Patentuje się również geny z nadzieją, że gdy zostanie wyjaśnione ich działanie, staną się podstawą produkcji nowych testów diagnostycznych i lekarstw. Patentuje się też nowe gatunki roślin i zwierząt. Te nowe, często modyfikowane genetycznie odmiany wypierają powoli uprawy tradycyjne. Po polach całego świata chodzą już inspektorzy działający w imieniu właścicieli praw do tych gatunków i sprawdzają, czy aby rolnik nie wysiał „pirackiego” ziarna (czyli nie kupionego, ale odłożonego ze zbiorów z poprzedniego roku).

Prawdą jest, że w gospodarce wiedzy ważne jest to, co mamy w głowach. Ale prawdą jest też, że niewiele z tą wiedzą będzie można zrobić, gdy wszelkie sposoby jej wykorzystania zostaną ograniczone przez patenty i prawa

autorskie. Ktoś wpadnie na pomysł, że napisze ciekawy kawałek oprogramowania, który za darmo puści w sieć, a nazajutrz będzie miał w domu policję ścigającą go za to, że naruszył prawo, bo nie sprawdził, czy aby jego pomysłu już ktoś wcześniej nie zgłosił do urzędu patentowego. Richard Stallman, wspomniany wcześniej guru ruchu na rzecz wolnego oprogramowania, który gościł w Polsce w listopadzie 2001, pyta, co by było, gdyby podobne reguły patentowania i ochrony praw autorskich obowiązywały za czasów Mozarta? Czy w ogóle muzyka mogłaby się rozwijać? Czy rozwinęłaby się nauka, która przecież polega na swobodnej wymianie i dzieleniu się wynikami badań?

Na obecną walkę o wiedzę zwracają uwagę już nie tylko zapaleńcy pokroju Stallmana, ale również coraz liczniejsi poważni badacze.

Amartya Sen, laureat ekonomicznej Nagrody Nobla, dowodzi, że wiedzy nie można traktować jak każdego innego środka produkcji. Zniewolenie jej patentami doprowadzi po prostu do tego, że w pewnym momencie przestanie się rozwijać. Istotą produkcji wiedzy jest swobodna wymiana. To jedyne dobro, które im bardziej się dzielimy, tym więcej go powstaje.

Stallman zwraca uwagę, że absolutyzacja prawa i ekonomii prowadzi do nieobliczalnych kosztów społecznych. Billboardy na drogach w Stanach Zjednoczonych wzywają, by donosić na sąsiadów kopiujących oprogramowanie. Producenci ziarna siewnego w Indiach płacą nagrody rolnikom donoszącym na sąsiadów, którzy wysiewają odłożone nielegalnie ziarno. W 1998 r. Kongres Stanów Zjednoczonych przyjął restrykcyjną ustawę *Digital Millenium Copyright Act*.

Przy odpowiedniej jej interpretacji może się okazać, że czytelnik, który kupi książkę w postaci cyfrowej (na przykład ściągając plik z Internetu), popełni przestępstwo,

umożliwiając jej lekturę żonie lub tylko próbując ponownie przeczytać tekst. Zwłaszcza że ustawa dopuszcza opracowanie i stosowanie narzędzi, umożliwiających śledzenie sposobu wykorzystania cyfrowych treści przez użytkowników. Stallman ostrzega, że tradycyjna kultura opierająca się na zaufaniu pod wpływem walki o panowanie nad wiedzą zamienia się na kulturę donosu, strachu, nieufności, znaną z czasów Związku Radzieckiego. Bohaterem tej wersji kapitalizmu infokomunikacyjnego staje się Pawka Morozow.

Aby wyobrazić sobie, jakie mogą być konsekwencje tego szaleństwa, wystarczy przypomnieć przypadek Związku Radzieckiego. Społeczeństwo, w którym zaufanie zanika, przestaje się rozwijać. Ustaje komunikacja horyzontalna, zatrzymuje się swobodna wymiana idei między ludźmi, nie ma warunków dla wytworzenia się inteligencji zbiorowej. Prędzej czy później taka struktura musi pogrążyć się w chaosie, wystarczy tylko lekko podważyć prawa sankcjonujące nieludzki porządek.

Wizja doskonałego, sprawiedliwego Globalnego Społeczeństwa Informacyjnego w praktyce zamienia się w rzeczywistość turbokapitalizmu, jak określił tworzący się w latach dziewięćdziesiątych system Edward Luttwak, były doradca Ronalda Reagana: *Nazywają to wolnym rynkiem, ale dla mnie jest to kapitalizm z turbodoładowaniem,* w skrócie turbokapitalizm, ponieważ zupełnie różni się od ściśle kontrolowanego kapitalizmu, który kwitł od 1945 r. do lat osiemdziesiątych i który przyniósł sensacyjną nowość masowej zamożności ludzi w Stanach Zjednoczonych, Europie Zachodniej, Japonii i wszystkich innych krajach, które poszły w ich ślady.

Skrajności przyciągają się, więc nic dziwnego, że nowy turbokapitalizm ma wiele wspólnego z sowiecką wersją komunizmu. On również oferuje każdemu krajowi na

świecie taki sam model i zbiór zasad, ignorując wszelkie różnice społeczne, kulturowe i temperamentu.[4]

Zmarnowany czas

Opinia Luttwaka jest dobrym tłem dla kłopotów, z jakimi boryka się Polska. Otóż w 1989 r. wydawało się jasne, jakiego wyboru cywilizacyjnego dokonaliśmy. Opowiedzieliśmy się za liberalną demokracją, kapitalizmem i wolnym rynkiem, ale w wydaniu z lat osiemdziesiątych. O takim właśnie systemie, który przynosi *sensacyjną nowość masowej zamożności*, marzyliśmy, idąc 4 czerwca 1989 r. na pierwsze prawie wolne wybory. Wydawało się, a elity kierujące rewolucją to potwierdzały, że wystarczy wolny rynek, aby półki się zapełniły. Poza tym liczyliśmy, że będzie, jak było, tylko znacznie lepiej. Górnicy nadal będą fedrować, ale za lepsze pieniądze, a rolnicy na godziwych warunkach hodować świnki.

Wydawało się, że w końcu już dotykamy wymarzonego kapitalizmu, a tu, jak w słynnym paradoksie Zenona z Elei, cel oddalił się, kapitalizm światowy wrzucił turbodoładowanie i stał się zupełnie innym zjawiskiem.

Szybko wyszło na jaw, że nasze elity same nie wiedzą, co gonimy, że nie rozumieją zachodzących na świecie przemian. Na rosnące znaczenie sfery wiedzy i symboli w dyskursie władzy nowoczesnego kapitalizmu odpowiedzieliśmy marginalizacją nauki i kultury. Rzecz nie tylko w coraz mniejszych nakładach państwa na badania naukowe, ale jeszcze bardziej w braku wizji tego sektora. Odbija się to w zaniechaniu jakichkolwiek działań reformatorskich, nauka pozostawiona została uczonym. Nie inaczej dzieje się w kulturze.

Czas, jaki upłynął od 1989 r., został praktycznie zmarnowany, również jeśli chodzi o budowę infrastruktury

społeczeństwa epoki informacji. Jak pisałem w jednej z konkluzji raportu o stanie polskiej informatyzacji w „Polityce” z marca 2002 r.: *Nie ma systemów informatycznych, nie ma strategii informatyzacji, a nawet jak powstanie, to nie ma pieniędzy na jej realizację. Gdyby się pieniądze pojawiły, to zabraknie ludzi do ich rozsądnego wydawania. Są natomiast ambitne plany. Strategia społeczno-gospodarcza rządu zakłada, że w ciągu jej trwania liczba abonentów telefonów stacjonarnych wzrośnie do trzystu siedemdziesięciu pięciu na tysiąc mieszkańców i komórkowych do pięciuset na tysiąc (a więc do obecnego poziomu Czech lub Węgier) oraz gwałtownie wzrośnie nasycenie usługami teleinformatycznymi. Potrzebne nakłady to 16–20 mld zł*.

Ktoś stwierdzi, że zawsze byliśmy zacofani, więc i dzisiaj statystyki nie mogą być dla nas korzystne. Poza tym, jak porównywać tak duży kraj jak Polska z organizmami znacznie mniejszymi – Czechami czy Węgrami. Nasze problemy wynikają w dużej mierze ze skali zjawisk. Te argumenty mogą jednak tłumaczyć tylko część zaniedbań. Znacznie smutniejszej prawdy można dopatrzyć się w analizach znakomitych socjologów: Jadwigi Staniszkis, Edmunda Mokrzyckiego, Kazimierza Krzysztofka, Marka Szczepańskiego. Wynika z nich, że obecnie Polska przestaje być systemowo zdolna do dalszej modernizacji. System negocjacyjny polegający na tym, że w pierwszej kolejności zaspokaja się potrzeby grup o największej sile przebicia, powoduje, że nie starcza już środków na politykę modernizacyjną. Zwłaszcza że nie ma jej kto wyartykułować. Elity polityczne targane są partykularnymi namiętnościami, które prowadzą do umacniania kapitalizmu państwowego, zacieśniania związków między państwem i gospodarką. Kadry i pieniądze krążą w magicznym kręgu polityki i biznesu.

Jednocześnie społeczeństwo wystawione na siłę globalnych procesów podlega szybkim przemianom. Z jednej strony regiony tradycyjnie przemysłowe, awangardowe, jak Śląsk, ulegają demodernizacji. Tracący pracę ludzie uciekają z powrotem na wieś lub zasilają warstwę „wyłączonych", tych, dla których nie ma miejsca we współczesnym społeczeństwie „trzeciej prędkości". Polska wieś, dająca schronienie 30 proc. Polaków, jest fenomenem na skalę światową, nigdzie w krajach należących do OECD nie ma tak dużego udziału tego sektora. Będzie on przez kilkadziesiąt lat buforem utrzymującym bezrobocie na wysokim poziomie. Gdy sytuacja w gospodarce poprawi się, zwiększy się podaż szukających pracy ludzi ze wsi. W czasach recesji będą oni natomiast chować się tam, oszukując oficjalne statystyki bezrobocia.

W bólach rodzi się tak zwana klasa średnia, a inteligencja, tradycyjna warstwa kultywująca pronowoczesne oraz obywatelskie wartości, uległa pauperyzacji i utraciła wszelkie znaczenie polityczne (porażka Unii Wolności podczas wyborów w 2001 r. była symbolicznym pogrzebem polskiej inteligencji). Luki nie wypełnia powstająca z mozołem warstwa ludzi „trzeciej prędkości", nowoczesnych, świetnie wyedukowanych specjalistów zdolnych do operowania na globalnym rynku. Warstwa ta jest w dużej mierze stracona dla polskiego społeczeństwa obywatelskiego, hołduje przeważnie wartościom indywidualistycznym i kosmopolitycznym. Ludzie ci zdają sobie sprawę, że w każdej chwili mogą opuścić kraj (wielu tak czyni), po co więc podejmować walkę ze skorumpowanym establishmentem?

Trudno sobie również wyobrazić, by do zmian systemowych mógł doprowadzić nacisk nowoczesnych, sieciowych ruchów alternatywnych (takich jak na przykład zapatyści w Meksyku). Tego rodzaju ruchów praktycznie

nie ma, a te, które istnieją, jak wynika z analizy Piotra Żuka „Społeczeństwo w działaniu”, są anemiczne i bez realnej siły mobilizacji. W efekcie polski feminizm, ekologizm, alternatywa artystyczna i kontrkultura technologiczna są nikłym odbiciem podobnych zjawisk na Zachodzie.

Ta niezdolność do mobilizacji społecznej znajduje odbicie w badaniach poziomu zaufania i kapitału społecznego. Wskaźniki te dla Polski (podobnie zresztą jak dla innych krajów postkomunistycznych) są bardzo niskie. Ciągle jeszcze widać, że działa efekt „zatrutej studni” z poprzedniej epoki. Warto w tym kontekście przypomnieć słowa Ralfa Dahrendorfa, który na początku naszych przemian stwierdził (cytuję za „Bilansem niesentymentalnym” Edmunda Mokrzyckiego): *…kraje pokomunistycznej Europy mogą w ciągu sześciu miesięcy osiągnąć wstępne porozumienie w sprawie demokratycznej konstytucji, ale minie sześć lat, zanim ujawnią się pożytki z liberalnych* reform ekonomicznych, i sześćdziesiąt lat, zanim demokratyczna konstytucja i instytucje rynku ugruntują się w krzepkim społeczeństwie obywatelskim.

Do polskiej specyfiki, oprócz nieproporcjonalnie dużego sektora wiejskiego, dokłada się nietypowe przywiązanie do wartości tradycyjnych (szerzej pisałem o tym w rozdziale „Nieznośna śmieszność bytu”), co powoduje, że relacje obywatelskie oparte na zaufaniu zastępowane są ekspresją we wspólnotach tradycyjnych, głównie związanych z Kościołem, w których spoiwem jest autorytet.

Nieuleczalny bałagan

W procesach przebiegających w Polsce znamienne jest zupełne lekceważenie roli kapitału symbolicznego, wyparcie na margines wiedzy i kultury, najważniejszych czynników późnej modernizacji krajów Zachodu. Nasze elity chcą wiedzy zamkniętej w „żelaznej klatce” racjonalności

instrumentalnej. To technokratyczne podejście prowadzi jednak w pewnym momencie do rezygnacji z wiedzy w ogóle. Wiedza przestaje być traktowana jako jeden z podstawowych procesów społeczeństwa refleksyjnego, które może rozwijać się tylko przez ciągły proces uczenia się, a staje się wyspecjalizowanym towarem, którego nawet jeśli nie będzie pod dostatkiem w Polsce, to się go kupi za granicą.

To złudna nadzieja, czego dowodzą najlepiej polskie kłopoty z informatyzacją. Wrócę znów do raportu, jaki napisałem dla „Polityki": *Do dziś nasze państwo nie stworzyło strategii informatyzacji, nie powstała spójna wizja określająca, po co w ogóle potrzebne są w Polsce nowoczesne narzędzia wspomagające zarządzanie finansami publicznymi i narodowymi zasobami informacyjnymi. Ciągle nie działają podstawowe dla funkcjonowania państwa systemy: podatkowy, celny, ewidencji pojazdów i kierowców*.

Jacek Uczkiewicz, generalny inspektor finansów, a do niedawna wiceprezes Najwyższej Izby Kontroli, przypomina, że w 2000 r. przeprowadził ankietę wśród stu dwudziestu dziewięciu instytucji zajmujących się wydawaniem pieniędzy budżetowych, a więc ministerstw, urzędów wojewódzkich itp. Tylko dwadzieścia dziewięć spośród nich dysponowało systemami informatycznymi umożliwiającymi nie tylko księgowanie, ale również prowadzenie analiz finansowych, które pozwoliłyby jednostce nadrzędnej, a więc Ministerstwu Finansów, prowadzić bieżące analizy stanu państwowej kasy. Co więcej, wspomniane sto dwadzieścia dziewięć systemów tworzyło ponad siedemdziesiąt (wiele z nich już zbankrutowało, zabierając w niebyt wiedzę leżącą u podstaw wdrożenia) firm w oparciu o piętnaście różnych standardów technologicznych, przez co są one w większości przypadków z sobą niezgodne. „Do dzisiaj nie

wypracowaliśmy standardów informatyzacji w administracji publicznej", mówi Uczkiewicz. Propozycje takich standardów opracowało w 1999 r. Ministerstwo Administracji i Spraw Wewnętrznych, ale nie weszły one w życie.

Brakowi standardów towarzyszy brak koordynacji. Poszczególne resorty, a nawet departamenty w tym samym resorcie (tak było między innymi w Ministerstwie Finansów) realizują różne projekty, które często nakładają się na siebie.

Dubluje się budowę kosztownych sieci transmisji danych, zamiast stworzyć jedną wspólną dla całej administracji. Pisząc nasz raport cztery lata temu, mogliśmy się tylko złościć, że jesteśmy „co najwyżej" świadkami marnotrawstwa, resortowych ambicji i urzędniczej niekompetencji. Kolejne cztery lata straconego czasu (i pieniędzy) pokazują, że polskie kłopoty z informatyką są objawem znacznie poważniejszego schorzenia, bo anachronicznej koncepcji zarządzania państwem. Każdy informatyk wie, że bałaganu zinformatyzować się nie da, bo powstanie jeszcze większy chaos.

Po mnie choćby powódź...

Mówiąc inaczej, nasze państwo funkcjonuje tak długo, jak długo nic się nie dzieje. Wystarczy nieprzewidziana awaria i wszystko leży w gruzach. W sposób najbrutalniejszy dowiodła tego powódź w 1997 r. Demontaż państwa odbył się wówczas w kilku etapach. Pierwszy, po zalaniu Kłodzka, polegał na symbolicznym zrzeczeniu się atrybutów władzy przez ówczesnego premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Mieszkańcom, którzy zostali zalani w nocy i nie mogli doczekać się pomocy służb państwowych, poradził, by na przyszłość lepiej się ubezpieczali. Wypowiedź tę można

odczytać tak: *Nasze państwo nie pełni już podstawowej, zgodnie z nowoczesną teorią,*

funkcji stróża nocnego. Obywatele, pilnujcie się sami, a od skutków niekompetencji funkcjonariuszy państwa ubezpieczajcie się w firmach ubezpieczeniowych. Odpowiedzialność została sprywatyzowana.

Powódź jednak nie zatrzymała się w Kłodzku i zalała również Wrocław, pokazując już nie tylko symboliczną, ale faktyczną nieobecność państwa. Piotr Żuk napisał w „Społeczeństwie w działaniu": *Na skutek zalania dużej części miasta władze polityczne i ich agendy (policja, straż miejska, wojsko) praktycznie przestały istnieć na dwa–trzy dni. Całkowitemu rozbiciu uległ także funkcjonujący w „normalnych czasach" skomplikowany system statusów, funkcji i ról społecznych – sytuacja przypominała zanegowanie dotychczasowych stosunków społecznych spotykanych zazwyczaj w sytuacjach przedrewolucyjnych i rewolucyjnych, w których odrzuca się oficjalne komunikaty i interpretacje rzeczywistości. Miejsce oficjalnego, zinstytucjonalizowanego porządku zastąpił oddolny, spontaniczny ład wspólnotowy (...) przestała działać komunikacja miejska, nikt nie zwracał już uwagi na zakazy i nakazy policji, centrum decyzyjno-informacyjne przeniosło się na ulice miasta*.

Najważniejsza jest jednak konkluzja Żuka, która potwierdza, że towarzyszący powodzi zanik państwa należy analizować w kategoriach władzy–wiedzy, i odpowiada na postawione przez siebie pytanie: *Jaki wniosek z tej opowieści? Bardzo banalny – bez względu na to, czy akceptujemy, czy też nie teorie krytyków obecnego społeczeństwa – musimy przyznać, nie zważając na własne przekonania, iż w obecnym porządku ten, kto kontroluje przepływ informacji, ten ma władzę; kto ma władzę, ten ma kontrolę nad informacjami. Owe „informacje" można*

rozszerzyć o kategorię „wiedzy” i ogólnie kategorię „kultury”.

Przesłanie to nasza elita polityczna pojmuje jako kontrolę nad mediami i niestety nie rozumie, że marginalizując sektory wiedzy i kultury dokonuje zabiegu lobotomii na samej sobie, pozbawia się najważniejszego we współczesnym świecie atrybutu władzy.

Tak oto, gdy w społeczeństwach zaawansowanych trwają zmagania, które zadecydują o rozwiązaniu podstawowej sprzeczności „turbokapitalizmu” – władzy nad wiedzą – my rozwiązujemy ten problem w sposób niestandardowy. Po prostu rezygnujemy z wiedzy.[5]

Krytyka rozumu cyfrowego

The central event of the 20th century is the overthrow of matter. In technology, economics, and the politics of nations, wealth – in the form of physical resources – has been losing value and significance. The powers of mind are everywhere ascendant over the brute force of things. (Głównym wydarzeniem XX w. było zwycięstwo nad materią. W technologii, gospodarce, polityce narodów bogactwo – pod postacią zasobów naturalnych – zaczęło tracić na wartości i znaczeniu. Siły umysłów wyrastają wszędzie ponad gołą siłę rzeczy).

A Magna Charta for the Knowledge Age

Motto pochodzi z pierwszych zdań manifestu opublikowanego w 1994 r., a skreślonego piórami Esther Dyson, Alvina Tofflera, George'a Gildera. Tekst szybko wydrukowali na swym sztandarze amerykańscy republikanie przygotowując się w 1994 r. do wyborów do Kongresu. Wiedzieli, że muszą odpowiedzieć na roszczenie Alberta Gore'a, wówczas wiceprezydenta USA u boku Billa Clintona, głoszącego bezczelnie, że to on wymyślił Internet (w tym czasie jeszcze w powijakach – prawdziwa epoka Internetu miała się zacząć rok później). Republikanie odnieśli sukces, zdobyli parlamentarną większość, a Newt Gingrich, charyzmatyczny republikański przewodniczący Izby Reprezentantów, stał się bohaterem pisma „Wired".

Rok później rzeczywistość dorosła do wizji znamienitych futurologów – w sierpniu 1995 r. na nowojorskiej giełdzie wystartował Netscape (twórca pierwszej przeglądarki internetowej, która odniosła masowy sukces, stając się dla prostego ludu przepustką do rajskiej krainy WWW) i osiągnął rekordową waluację w stosunku do oferty

początkowej. Wybuchła internetowa gorączka, wystarczyło w biznesplanie napisanym na serwetce wstawić .com, a inwestorzy dostawali amoku. Lecieli do sieci z setkami miliardów dolarów niczym muchy do lepu. Alan Greenspan, szef amerykańskiej rezerwy federalnej, w grudniu 1996 r. podczas oficjalnej kolacji wygłosił przemówienie, zastanawiając się nad fenomenem *irrational exuberance* – irracjonalnego podniecenia inwestorów, i nad wpływem, jaki może mieć jego załamanie, gdy przyjdzie konieczność konfrontacji marzeń z rzeczywistością.

Światowe giełdy zakrztusiły się na chwilę. Greenspan nauczył się, że człowiek na jego stanowisku nie powinien publicznie używać zbyt barwnych określeń i wszystko wróciło do normy. A normą stało się szaleństwo. Szybko pojawili się teoretycy głoszący, że rodzi się Nowa Gospodarka oparta nie na materii, lecz na bitach i wiedzy – o nowych cudownych właściwościach. W świecie niematerialnym nie tylko popyt nie zna granic, także podaż niematerialnych dóbr trwać może w nieskończoność, w rezultacie nie ma powodu, by kiedykolwiek miał nastąpić kryzys. A przecież to dopiero początek drogi, zaledwie niewielki ułamek ludzi migrował do nowej rzeczywistości. Teoretyczne dywagacje znajdywały potwierdzenie w rzeczywistości (tak się przynajmniej wydawało). W latach 90. XX w., po krótkiej recesji początku dekady, amerykańska gospodarka wkroczyła w okres dynamicznego wzrostu o tajemniczych właściwościach: oto mimo pełnego zatrudnienia i bezprecedensowego tempa wzrostu PKB w ogóle nie ujawniała się inflacja. W Starej Gospodarce było to nieuchronne. Skoro jej nie ma, to znaczy, że należy zmienić podręczniki do ekonomii. I wszystkie zaczynać mottem zaczerpniętym z „A Magna Charta for the Knowledge Age”.

To wszystko jest już odległą historią, twarde spotkanie z rzeczywistością nastąpiło w marcu 2000 r. Inflacji ciągle

nie było, lecz co niecierpliwsi rynkowi gracze zaczęli w końcu wołać: „sprawdzam!”. Najczęściej przekonywali się, że ich partnerzy blefowali, a setki miliardów dolarów posłużyły do dmuchania wielkiego pustego balonu oraz na zakup kosztownych limuzyn i jachtów dla sterników Nowej Gospodarki.

Wydawało się, że krach Nowej Gospodarki i towarzyszące mu skandale z fałszerstwami finansowymi na gigantyczną skalę w takich firmach jak Enron i Worldcom powinny były czegokolwiek nauczyć i ustrzec przed kolejną podobną katastrofą. Gospodarka jednak zamiast wrócić na ziemię, jeszcze bardziej oderwała się od materii. Nowa Gospodarka końca lat 90. XX w. polegała jeszcze na przekonaniu, że do kreowania wartości potrzebna jest jakaś oferta, choćby niematerialna, lecz realna, np. firma internetowa, w którą można zainwestować, by potem oczekiwać zwrotu z inwestycji. Po internetowym krachu cykl kreowania wartości skrócił się, rynek finansowy odkrył bowiem, że pieniądz robi pieniądz w dosłownym tego słowa znaczeniu, sam z siebie niejako, za sprawą ezoterycznych matematycznych formuł pozwalających kreować wartość. Gnoza doskonała.

Sytuację tę doskonale skwitował Manuel Castells, pilny obserwator przemian społecznych drugiej połowy XX w. Tak jak większość socjologów nie ma on wątpliwości, że skończyła się epoka przemysłowa, w której głównym źródłem wartości była praca na przeklętej materii. Oczywiście, produkcja materialna nie straciła na bezwzględnym znaczeniu. Przeciwnie, mierząc ilością wytwarzanych produktów znaczenie zdolności do przetwarzania materii w samochody, pralki i gadżety wzrosło. Odwrotnie proporcjonalnie jednak do rosnącego wolumenu produkcji i globalnej wymiany towarowej zmalał udział produkcji materialnej w kreowaniu bogactwa mierzonego takim wskaźnikiem jak PKB. W Stanach

Zjednoczonych, które ciągle są największą fabryką świata, udział przemysłu w PKB to zaledwie 12 proc. Tyle samo wynosi udział tzw. copyright industries, czyli przemysłów wytwarzających produkty niematerialne chronione prawem autorskim: oprogramowanie, książki, filmy, gry komputerowe, reklama. Tyle tylko, że po 2000 r. produkcja materialna nie miała żadnego udziału w dynamice wzrostu PKB, a copyright industries wniosły aż 40 proc. do tej wzrostowej dynamiki. Drugie 40 proc. wnosiły usługi finansowe.

Castellsowi nie wystarcza jednak analiza statystyk, to dopiero punkt wyjścia do wniosków o charakterze systemowym i strukturalnym. Skoro społeczeństwo przemysłowe, z fabryką i pracą rąk jako dominującymi formami organizacji społeczno-ekonomicznej odeszły do lamusa historii, to jakie społeczeństwo stało się nowym jej podmiotem? Castells, by znaleźć odpowiedź, stawia dodatkowe i oczywiste pytania dla człowieka, który w młodości flirtował z marksizmem. Skoro rośnie znaczenie produkcji niematerialnej, to należy zapytać po marksowsku o właściwe dla tej formy wytwarzania sposoby i środki produkcji. Odpowiadając na tę kwestię Castells ujawnił, że wartość niematerialna wytwarza się podczas aktów wymiany komunikacyjnej, którym służą oplatające cały świat sieci komunikacyjne. Tak więc miejsce fabryki zajęła sieć, a miejsce pracy rąk działalność komunikacyjna. Narodziło się, jak głosi tytuł pierwszego tomu trylogii „Wiek informacji", „Społeczeństwo sieci" – Network Society.

Nie sposób zrelacjonować bogatej i subtelnej analizy „społeczeństwa sieci", warto jednak dostrzec, że Castells ustrzegł się przed pokusą utopii, pokazując i prognozując, jak bardzo złożony charakter będą miały sieciowe, poprzemysłowe przemiany. Niezwykle ciekawym aneksem do „Wieku informacji" jest najnowsza, opublikowana latem 2009 r., książka Castellsa „Communication Power".

Kataloński socjolog podejmuje w niej problem wartości i jej kreowania w systemie gospodarczym społeczeństwa sieci i stwierdza: „Stare pytanie społeczeństwa przemysłowego – w istocie kamień węgielny klasycznej ekonomii politycznej – »czym jest wartość?« nie znajduje definitywnej odpowiedzi w globalnym społeczeństwie sieci. Wartością jest wszystko to, co jest przetwarzane w każdej z dominujących sieci w każdym momencie i w każdym skrawku przestrzeni, zgodnie z hierarchią zaprogramowaną w sieci przez oddziałujących na sieć aktorów. Kapitalizm nie zniknął. W rzeczywistości jest bardziej przenikający niż kiedykolwiek. Nie jest jednak, wbrew powszechnej ideologicznej świadomości, jedyną grą rozrywaną w globalnym mieście”.

Cóż, Castells pisze precyzyjnie, lecz mało przystępnie. Podaje jednak dobre klucze do rozkodowania swego stylu. W innym miejscu swej nowej książki stwierdza prościej: „Wartość jest w istocie wyrazem władzy”. To znaczy, o tym, co ma wartość, a co nie, wynika ze struktury władzy we współczesnym świecie. Jeśli główne ośrodki władzy zdecydowały, czego dowodzi „A Magna Charta for the Knowledge Age”, że materia nie ma już znaczenia, to tak być musi. W tej optyce upadek materii rozpoczął się wraz z klęską Stanów Zjednoczonych podczas wojny wietnamskiej. Olbrzymie koszty nieudanej operacji trzeba było jakoś spłacić, czemu posłużyła olbrzymia rekonstrukcja systemu finansowego. Jej podstawowym elementem stało się oderwanie wartości waluty globalnej, dolara, od wartości złota. Przecięcie związku wartości z materią nastąpiło 15 sierpnia 1971 r. za rządów prezydenta Richarda Nixona. Uwolnienie dolara doprowadziło do inflacji, która choć nie była przyjemna dla nikogo, to jednak pozwoliła Amerykanom radykalnie zmniejszyć swoje realne zadłużenie.

Nieco później nastąpiło spotkanie skutków decyzji politycznofinansowej z rozwojem nowych technologii informacyjnych, skrojonych specjalnie do tego, by zajmować się niematerialnym, wyrażonym w bitach, czyli jednostkach informacji, wymiarem rzeczywistości. Uwolnienie od materii wyzwoliło falę finansowych innowacji w postaci różnorodnych instrumentów, za sprawą których wolumen transakcji w systemie finansowym w stosunku do realnie istniejącego pieniądza wzrósł wielokrotnie. Innowacje te nie byłyby jednak możliwe, gdyby nie komputery, czyli narzędzia techniczne umożliwiające stosowanie coraz bardziej wyrafinowanych modeli matematycznych. W końcu innowacje te nie miałyby sensu, gdyby nie sieć, czyli instrument dystrybucji wykreowanych strumieni wirtualnego pieniądza po całym świecie w postaci decyzji inwestycyjnych.

Pieniądz, nieważne czy wirtualny, czy realny, krąży po świecie z tą samą logiką: w poszukiwaniu największych stóp zwrotu. Jeśli trzeba nadal produkować telewizory, samochody i pralki, to należy robić to tam, gdzie się opłaca najbardziej, a więc tam, gdzie produkcja jest najtańsza. Teoretycy Nowej Gospodarki – zdumieni, że w latach 90. XX w. w Stanach Zjednoczonych przez blisko dekadę trwał bezinflacyjny wzrost przy pełnym zatrudnieniu – nie dostrzegli, że zamiast paradoksu mają do czynienia ze zjawiskiem, które David Ricardo opisał blisko 200 lat wcześniej. Produkcja większości dóbr za sprawą decyzji inwestycyjnych podejmowanych w globalnej sieci przeniosła się do krajów niskich kosztów jak Chiny lub Polska. Niskie koszty produkcji doprowadziły do bezprecedensowego obniżenia cen lub przynajmniej stagnacji cen większości produktów codziennego użytku. Nawet mimo rosnącego popytu za sprawą rosnącej zamożności, kreowanej przez zwiększoną podaż do systemu

wirtualnego zdematerializowanego pieniądza, inflacja nie rosła. Perpetuum mobile?

Niestety, sądziło tak wielu analityków. Warto w tym miejscu znowu zajrzeć do Castellsa. Wartość jest wyrazem władzy. Czym w takim razie jest władza w globalnym społeczeństwie sieci? Władza wynika ze zdolności do poddawania swej woli umysłów innych. Efekt ten można uzyskać za pomocą komunikacji. Ergo, źródłem władzy jest komunikacja (Castells zdaje sobie doskonale sprawę, że aspektem władzy jest także przymus fizyczny, nawet jednak w systemach totalitarnych naga siła ma ograniczony zasięg. O wiele ważniejsza jest ideologia, czyli kontrola umysłów poddanych). Tak zdefiniowana władza ma charakter relacyjny – relacja między sprawującym władzę a poddanym jest asymetryczna, niemniej jednak jest relacją dwustronną. Każda władza liczyć się musi z kontrwładzą, konkluduje Castells.

Dalej zaś przytacza wyniki prac kognitywistycznych odkrywających tajemnice pracy umysłu. Powołując się m.in. na prace George'a Lakoffa stwierdza, że porzucić należy ideę umysłu oświeceniowego, w którym wyrażać się miała naturalna racjonalność ludzkich podmiotów. Rozum to nie kartezjański software goszczący w biologicznym hardwarze ciała. Umysł to ciało, a racjonalność to tylko wąskie pasmo przetwarzania informacji. Ponad 90 proc. „obróbki danych" odbywa się poza świadomością i możliwością racjonalnej analizy. To, co Castells odkrywa przy pomocy Lakoffa i innych kognitywistów, by wyjaśnić rzeczywisty sposób pracy umysłu politycznego, odkrywają dziś także neuroekonomiści. Leżąca u podstaw klasycznej ekonomii, a współcześnie u podstaw doktryny neoliberalnej koncepcja *Homo economicus* nie znajduje desygnatu w rzeczywistości. Podobnie jak nie miała odniesienia do rzeczywistości wartość kreowana w Nowej Gospodarce. I jak w końcu pozbawiony jest jakiejkolwiek substancji Rozum Cyfrowy,

wyraz gnozy rodem z „A Magna Charta for the Knowledge Age”.

Rozum Cyfrowy próbował jednak bronić się przed krytyką. Wartość jest wyrazem władzy. Władza powstaje w wyniku procesów komunikacyjnych. Procesy komunikacyjne biegną w globalnych sieciach. Sprawowanie władzy polega więc na zdolności kontroli przepływów komunikacyjnych w globalnych sieciach. I na tym samym polega kreowanie wartości gospodarczej. Rozum cyfrowy nie zatrzymuje się i brnie dalej, znajdując spełnienie w nowej doktrynie militarnej USA: „narody walczą w taki sposób, w jaki wytwarzają bogactwo” – stwierdził wiceadmirał Arthur Cebrowski, twórca Network Centric Warfare. Procesy komunikacyjne biegnące w sieci mają być nie tylko źródłem władzy, wartości, lecz także fizycznej mocy. Network Centric Warfare spodobała się Donaldowi Rumsfeldowi, który zaaplikował ją amerykańskim siłom zbrojnym wbrew jawnemu buntowi wielu generałów. Generałowie zostali skazani na emeryturę, a do Iraku w 2003 r. pojechało 150 tys. żołnierzy, o 350 tys. mniej niż liczyły siły koalicyjne w 1991 r. Siłę brakującego personelu zastępowała siła płynąca z aktywności komunikacyjnej połączonych w sieć pozostałych żołnierzy.

Wydawało się, że siła sieci zadziałała. Staroświecka armia Husajna została pokonana błyskawicznie. Szybko jednak wyszło na jaw, że mimo militarnego zwycięstwa Amerykanom nie udało się zdobyć władzy nad Irakiem. Władzy – rozumianej jako kontrola nad umysłami. A potem okazało się, że rację ma Castells – władza musi liczyć się z kontrwładzą. Stawiające opór okupacji segmenty irackiego społeczeństwa szybko odkryły, że mogą walczyć tą samą bronią co okupant, stosując własną wersję Network Centric Warfare. Jak przyznali amerykańscy generałowie, źródłem siły oporu stawała się każda stacja bazowa telefonii komórkowej i każda kawiarenka internetowa.

Ostatecznym jednak źródłem siły okazało się gotowe na śmierć ciało. W tej konkurencji zdigitalizowane siły nowoczesnej armii wyraźnie ustępują bojownikom z Iraku, Afganistanu i wielu innych miejsc świata. Cyfrowa władza traci zdolność oddziaływania na umysły swych społeczeństw, gdy „zacofany" przeciwnik zaczyna wysyłać bombogramy, a spektakle samobójczych zamachów przeprogramowują, jakby powiedział Castells, globalne sieci komunikacyjne i medialne. Jeden zamach w Madrycie wystarczył, by Al-Kaida przejęła władzę nad społeczeństwem hiszpańskim i uzyskała militarny efekt: wycofanie się Hiszpanii z wojny w Iraku.

Konsekwencje wojny w Wietnamie zapoczątkowały epokę cyfrowej gnozy i wiary w triumf nad materią. Druga wojna w Iraku stała się okazją do powtórzenia zapomnianych podstaw ekonomii politycznej. Teoria wartości zdefiniowana przez Castellsa ma sens tak długo, jak długo ośrodek władzy utrzymuje zdolność do definiowania, co ma wartość ekonomiczną. Ta zdolność trwa jednak jedynie do tego momentu, kiedy wzrosną roszczenia kontrwładzy, a wraz z nimi zdolność do ich ekspresji. Złowieszczy geniusz liderów Al-Kaidy i podobnych ośrodków kontrwładzy wynika z dwóch czynników: odporności na pokusę cyfrowej gnozy i jednocześnie zrozumienia jej siły. Bojownicy z Palestyny, Iraku lub Afganistanu poświęcają życie swoje i swych ofiar nie w pogardzie dla ciała, lecz w najwyższym uznaniu dla jego znaczenia jako pierwotnego źródła wartości i siły.

Autorzy „A Magna Charta for the Knowledge Age" zbyt wcześnie ogłosili zwycięstwo nad materią. Rozum cyfrowy okazał się chimerą, istnieje jedynie rozum ucieleśniony, a ucieleśniona praca jest jedynym źródłem wartości. Niełatwo będzie sobie poradzić z konsekwencjami tego odkrycia. Stany Zjednoczone zakończyły wojnę w Iraku z gigantycznym długiem, którego nie spłacą tak, jak mógł to

zrobić Nixon. Dwa razy ta sama sztuczka się nie uda. Problem mają jednak nie tylko Stany Zjednoczone, lecz wszyscy, którym Nowa Gospodarka pozwoliła żyć ponad stan. Jeszcze w latach 90. XX w. przekonywano, że rozwój trwać będzie w nieskończoność. Dziś coraz więcej poważnych opracowań pokazuje, że w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemczech w życie wchodzi pierwsze pokolenie, które nie może mieć nadziei, że będzie żyć lepiej niż ich rodzice. Nie ma cudów, szanse na lepsze życie pochłonie konieczność spłaty długu pozostawionego przez dziadków, przechodzących właśnie na emeryturę przedstawicieli powojennego boomu urodzeniowego. Rozpoczynający życie zawodowe Amerykanin będzie musiał zapłacić w formie dodatkowych podatków jakieś 250 tys. dol. A to rachunek wykonany jeszcze przed kryzysem, który dołożył kolejne zobowiązania.

Żyjemy nadal w globalnym społeczeństwie sieciowym, które straciło samosterowność. Do starej gospodarki przemysłowej powrotu już nie ma, Nowa Gospodarka niematerialna okazała się mrzonką. Nie ma też sentymentalnego powrotu do przednowoczesności i stanu natury. Być może więc rację ma Immanuel Wallerstein wieszcząc, że ludzkość czeka okres chaosu i poszukiwania nowego sposobu na świat. Na czym miałby on polegać? Czy umysł ucieleśniony odkryje w akcie samoświadomości, że jest z natury umysłem ekologicznym i zdoła wypracować zgodne z tym odkryciem formy życia społeczno-ekonomicznego? Nie wiemy, choć od odpowiedzi na to pytanie tak wiele zależy.[6]

Kultura na rozdrożu

Jedną z najważniejszych książek pamiętnego roku 1968 była „Cywilizacja na rozdrożu”, zbiorowe dzieło czeskich i słowackich uczonych, przygotowane pod redakcją Radovana Richty. Badacze z Czechosłowacji poddali przenikliwej obserwacji ówczesną cywilizację dostrzegając, że wyczerpuje się model industrialnej modernizacji i nadchodzi nowa faza rozwoju: „Stoimy dziś na gruncie historycznie ukształtowanej cywilizacji przemysłowej, ale już zaczynamy opuszczać jej granice, idąc na spotkanie nieznanej cywilizacji przyszłości. Na tym skomplikowanym rozdrożu ruch, który chce przekształcić świat dla człowieka, musi polegać na wrażliwej busoli nauki i na zdolności twórczego myślenia”. Odpowiedzią na wyzwania przyszłości musi być głęboka zmiana ładu instytucjonalnego, polegająca m.in. na otwartości i demokratyzacji życia społecznego, przekonywali uczeni. Jak pamiętamy, próba przebudowy państwowego socjalizmu w Czechosłowacji według wskazówek zespołu Richty zakończyła się katastrofą, 20 sierpnia 1968 r. interwencja wojsk Układu Warszawskiego położyła kres Praskiej Wiośnie. Uruchomiony został alternatywny scenariusz z opracowania zespołu Richty – nastąpiła konsolidacja systemu przez jego dalsze usztywnienie i biurokratyzację, co w konsekwencji 20 lat później doprowadziło do historycznego upadku realnego socjalizmu w całym tzw. Bloku Wschodnim.

Warto pamiętać o tej historii z wielu względów. Po pierwsze, dlatego że ciągle żyjemy w jej cieniu – dostrzeżony pod koniec lat 60. XX w. proces transformacji postindustrialnej nie zakończył się. Obecny globalny kryzys pokazuje, że cywilizacja ponownie stanęła na rozdrożu.

Ścieżka, jaką podążył świat po upadku realnego socjalizmu, okazała się ślepą uliczką. W 1989 r. wydawało się, że nie istnieje inna alternatywa niż globalna integracja oparta na tzw. konsensusie waszyngtońskim, określającym w klarowny sposób instytucjonalny ład dla nowej, pozimnowojennej cywilizacji. Jego fundamenty: globalny wolny i otwarty rynek jako gwarant optymalnej alokacji zasobów, prywatyzacja dóbr wspólnych i usług publicznych w imię efektywności, ekonomizacja wszystkich sfer życia (z kulturą włącznie) w imię ich racjonalizacji, ograniczanie roli państwa w imię wolności – miały umożliwić budowę raju na Ziemi, gdzie ludzie wolni żyć będą szczęśliwie i dostatnio.

Tak się nie stało. Najwyraźniej będąc na rozdrożu podążyliśmy niewłaściwą ścieżką budując cywilizację opartą na podstawach złego ładu instytucjonalnego. Trzeba skorygować marszrutę. I tu czas na drugą lekcję z lektury opracowania zespołu Richty: szukając nowych rozwiązań, należy dobrze rozpoznać kontekst i istotę przemian, które doprowadziły do rozdroża. Uprzedzając nieco dalszy wywód: kluczem do zrozumienia tego, co się dzieje i dziać może, jest kultura.

Czymże jednak jest kultura? Paleta definicyjnych możliwości jest olbrzymia. Sławomir Magala w książce „Kompetencje międzykulturowe” odwołuje się do koncepcji Immanuela Wallersteina rozumiejącego przez kulturę „pewne uogólnienie sposobów wyróżniania się pewnych grup spośród innych grup”. Autorzy raportu badawczego „Sceny kulturowe a polityka kultury w Małopolsce” rezygnują z jednolitej definicji: „Naszym celem nie jest dodefiniowanie kultury ani narzucenie jednolitego sposobu jej rozumienia, ani nawet utopijne zapobieganie nieporozumieniom i napięciom, lecz ułatwienie wzajemnego porozumienia się różnym aktorom świata kultury, wzajemne

zrozumienie się różnym interesariuszom tego świata, w tym silniej i słabiej zinstytucjonalizowanym”.

Nie ma więc wątpliwości, że kultura istnieje, że tworzy wielowymiarowy świat, który wymyka się wszakże próbom jednoznacznego opisu – świat, w którym trwają jednocześnie procesy różnicowania i porozumiewania ponad różnicami kulturowych kodów. Kultura jest też pojęciem historycznym, którego znaczenie ewoluuje, co doskonale opisał Zygmunt Bauman w książeczce zatytułowanej „Kultura w płynnej nowoczesności”, a przygotowanej na Europejski Kongres Kultury w 2011 r. we Wrocławiu.

Uczony pisze w niej, że kultura to pojęcie „wprowadzone do powszechnego słownictwa w trzeciej ćwierci osiemnastego stulecia, prawie jednocześnie z angielskim pojęciem »refinement« i niemieckim »Bildung«”. W tym pierwotnym znaczeniu kultura pełniła funkcję „przyrządu nawigacyjnego, służącego sterowaniu społecznego rozwoju w kierunku uniwersalnej kondycji ludzkiej”.

Tak rozumiana kultura już nie istnieje, nie istnieje nawet kolejne wcielenie tego pojęcia. Zgodnie z nim kultura nie miała już służyć zmianie społecznej w imię uniwersalistycznych zasad, lecz konserwacji społecznego porządku – przez orzekanie o gustach i tworzenie kanonów dzieł i praktyk kulturowych, którym można było przypisać etykiety jakości: co reprezentuje styl wysoki, a co jest przeznaczone dla motłochu.

Bauman już w pierwszym zdaniu swej książki rozwiewa złudzenia marzycieli: „Na podstawie danych zebranych w Wielkiej Brytanii, Chile, na Węgrzech, w Izraelu, Holandii i Stanach Zjednoczonych trzynastoosobowy zespół badaczy kierowany przez Johna Goldthrope’a, wielce cenionego socjologa oksfordzkiego, doszedł do wniosku, czego nie można już w społeczeństwie uświadczyć. Otóż nie ma dziś ludzi na szczycie kultury, którzy odróżniają się od tych

stojących niżej w kulturowej hierarchii regularnym uczęszczaniem do opery i filharmonii oraz zachwytem nad wszystkim, co w danym momencie uznawane jest za »sztukę wysoką«. Kręcą zaś nosem na »wszystko tak pospolite jak piosenka popowa czy mainstreamowa telewizja«”.

Zygmunt Bauman nie proklamuje wcale kulturowego nihilizmu

– nie twierdzi, że sens oceny dzieł kultury pod względem ich wartości przestał istnieć; nie dowodzi, że można bezkarnie zestawić dorobek Szekspira z wypocinami grafomanów bezczelnie atakujących księgarnie, a ostatnio nieskończoną przestrzeń Internetu. Stało się coś innego – zmieniło się społeczeństwo, które dla stabilizacji swych struktur nie potrzebuje już kagańca kultury, lecz jednocześnie potrzebuje kultury bardziej niż kiedykolwiek.

Kwestię tę wyjaśnia doskonale rówieśnik Zygmunta Baumana, francuski socjolog Alain Touraine. Społeczeństwo, jakie znamy, oparte na stabilnych instytucjach z państwem na czele, już nie istnieje. Globalna gospodarka zdominowała świat wyrywając się spod jakiejkolwiek kontroli. Stare instytucje istnieją, lecz podobnie jak to stało się z kulturą, pod nazwami kryją się inne pojęcia. W efekcie w coraz mniejszym stopniu oddziałują one na współczesnego człowieka, bo ten przestaje być obywatelem i zamienia się w konsumenta uczestniczącego bezpośrednio w zglobalizowanym rynku.

Jednocześnie też człowiek ten w coraz mniejszym stopniu zależy od tradycyjnych więzi społecznych, co nie znaczy, że tych więzi nie potrzebuje. Potrzebuje ich nie mniej niż kiedykolwiek, tylko że

– jak mawiają socjologowie – mają one charakter refleksyjny, powstają na życzenie zainteresowanych

podmiotów, podlegają ciągłej analizie i trwają tylko tak długo, jak spełniają swoją funkcję. Doskonale ten proces pokazuje raport „Młodzi 2011” pod redakcją Michała Boniego.

Czytamy w raporcie: „Tempo i skala zmian, prowadzące do wykorzeniania tradycyjnych instytucji i autorytetów, w połączeniu z niedoborami państwa »na dorobku« sprawiły, że strategia »zróbto-sam« stała się najbardziej czytelnym sygnałem wysyłanym o młodzieży. Wycofywanie się państwa z różnych form wsparcia, wycofywanie się instytucji edukacyjnych z roli przewodnika po świecie i wycofywanie się rodziców i nauczycieli z roli mentorów powiększyły sferę wolności, jaka pozostawała do dyspozycji młodych, ale też zrzuciły ciężar odpowiedzialności za dokonywane wybory na barki młodzieży”.

W rezultacie współcześni młodzi to indywidualiści uwiedzeni przez konsumpcję, którzy konstruują swoją osobową tożsamość głównie czerpiąc z wzorców i zasobów kultury, zwłaszcza kultury popularnej. Ich sposób bycia w społeczeństwie polega na tworzeniu nietrwałych więzi i eksperymentowaniu, co dotyczy nawet najbardziej intymnych relacji. Przed małżeństwem próbne pomieszkiwanie „na kocią łapę”? Jak najbardziej, tylko po co jeszcze małżeństwo, skoro można żyć w związku nieformalnym, kontynuując wzajemne próbowanie się aż do czasu wyczerpania emocjonalnego paliwa. Tak samo jednak działają dziś firmy na rynku, których produkty znajdują się w stanie „ciągłej fazy beta”, nieustannego testowania.

Zygmunt Bauman rozciąga ten obraz na kondycję całego współczesnego społeczeństwa. W czasach starej, dobrej nowoczesności, gdy jeszcze najważniejszym punktem odniesienia rzeczywistości społecznej było państwo narodowe, strukturę społecznej organizacji oddawały kolumny marszowe i narzucana odgórnie dyscyplina.

Dziś „na miejsce kolumn marszowych nadciągają rojowiska. Rojowiska, w przeciwieństwie do kolumn marszowych, nie wymagają sierżantów czy kaprali; roje bezbłędnie odnajdują drogę bez wścibskiej ingerencji sztabów i ich rozkazów dziennych. Nikt nie prowadzi rojów do ukwieconych łąk; nikt nie musi napominać członków roju, prawić im kazań, zapędzać siłą czy groźbami do szeregu i trzymać ich na celowniku. Ktokolwiek chciałby utrzymać rój pszczół na pożądanym szlaku, winien się zająć kwiatami na łące, a nie musztrowaniem każdej pszczoły z osobna”.

Kwiaty na łące to rynek uwodzący mnogością oferty, kanalizujący pragnienia w jednej pasji – pasji konsumpcji. Rynek odkrywający jednocześnie rosnące znaczenie kultury dla samookreślenia i tożsamości współczesnego człowieka. Kolejne obszary kultury ulegają komercyjnemu zawłaszczeniu, a kultura przekształcona w towar ubarwia konsumpcyjną łąkę i wspiera dzieło uwodzenia. Procesy konsumpcyjnego i rynkowego uwikłania kultury są bardzo złożone i niejednoznaczne.

Kluczowe pytanie jednak trzeba zadać o szczególny aspekt kultury – sztukę. Czy ma ona także stać się częścią machiny produkcyjnej współczesnego, poprzemysłowego kapitalizmu? Czy rozwój twórczości kulturowej ma podlegać standardom i kryteriom rynków konsumpcyjnych? Bo jeśli tak, to wartość dzieła sztuki siłą rzeczy zostanie zredukowana do wartości rynkowej towaru, która jest ulotna i chwilowa. Tylko czy „może kultura przeżyć dewaluację trwania i zmierzch wieczności, owe najdotkliwsze chyba ze »szkód współbieżnych« spowodowanych triumfem konsumpcyjnych rynków?”.

To najbardziej dramatyczne pytanie Zygmunta Baumana, na które nie zna on odpowiedzi, bo – jak twierdzi – nikt jej jeszcze znać nie może. Socjolog proponuje jednak, by poniechać oczekiwania na odpowiedź i posłużyć się

sformułowaną przez filozofa Hansa Jonasa zasadą odpowiedzialności: jeśli nie możemy wykluczyć możliwości katastrofy, lepiej zrezygnujmy z niebezpiecznej zabawy.

Jak jednak przeciwstawić się logice konsumpcyjnego rynku, który zagarnia coraz więcej? Bauman wraca do koncepcji państwa kulturalnego, zainicjowanej przez André Malraux, ministra kultury Francji, który sformułował nowoczesną doktrynę polityki kulturalnej równoważącej wspieranie twórczości, ochronę dziedzictwa z promocją powszechnego uczestnictwa w kulturze. Apogeum państwa kulturalnego była prezydentura François Mitteranda, kiedy ministerstwem kultury kierował Jack Lang. Rozwijał on jednocześnie wielkie projekty (do niego należy zasługa uczynienia Luwru największym muzeum świata) i wspierał kulturę w całej jej różnorodności, również powstającą na marginesach, poza zainteresowaniem tradycyjnych instytucji.

Państwo nie może abdykować przed rynkiem w sferze kultury. Nie może się wyrzec „Po pierwsze, funkcji obrony rynków przed nimi samymi, przed następstwami ich notorycznej niezdolności do samoograniczania się i samokontroli, i równie notorycznej skłonności do bagatelizowania wszelkich wartości opornych na wycenę i spieniężenie i zrzucania ich z listy planowanych poczynań, a kosztów ich zrzucenia z kalkulacji opłacalności. Po drugie, funkcji naprawiania szkód społecznych i kulturowych, którymi z przyczyny wspomnianej niezdolności i wspomnianej skłonności rynki zasiewają gęsto szlaki swej ekspansji”.

Zygmunt Bauman przenikliwie pokazuje, jak kultura ulega przekształceniom w wyniku przemian społecznych i jednocześnie sama staje się coraz ważniejszym aktorem kształtującym te przemiany. Układ ten jest jednak o wiele bardziej złożony, bo należy do niego jeszcze dołożyć dwie siły. Pierwsza z nich została już wskazana w sposób

wyraźny – to ukrywający się pod pojęciem rynku współczesny postindustrialny kapitalizm czyniący z kultury kolejne pole eksploatacji i akumulacji. Jak się za chwilę przekonamy, współczesny związek między kulturą a kapitalizmem jest o wiele ciekawszy i zasadniczy.

Wcześniej jednak należy poświęcić nieco uwagi drugiej sile – cyfrowej rewolucji technologicznej. Dziś już wiemy, że cyfrowe Nowe Media oraz techniczne środki przetwarzania informacji i symboli nie są tylko neutralnymi narzędziami poszerzającymi pole możliwości kulturalnej ekspresji. Nawet jeśli ciągle istnieją tradycyjne formy i instytucje, jak czytelnictwo, film, teatr, to zmieniło się wszystko. W sensie fenomenologicznym zmianę tę opisał we wcześniejszych akapitach Bauman: posypały się hierarchie i kanony.

Internet uczynił świat kultury na swoje podobieństwo, hierarchię zamienił w wielką sieć, w której uczestnicy, twórcy, instytucje są węzłami. Rola tych węzłów nie jest dana raz na zawsze i nie wynika z oficjalnych źródeł autorytetu, o pozycję w sieci trzeba nieustannie walczyć, liczy się zdolność do komutacji i adaptacji. Bierny odbiorca kultury może w każdej chwili stać się twórcą, który przy odrobinie szczęścia przekształcić się może w globalną instytucję. Uznane instytucje świata kultury mogą mieć w sieci słabszą reprezentację niż zdolni blogerzy.

To jednak rzeczywistość sieci w coraz większym stopniu wpływa na rzeczywistość „realnego” świata kultury, bo to w sieci koncentruje się dziś niemal całe życie metakulturalne. Metakultura, czyli przestrzeń, w której kultura mówi sama o sobie, gdzie powstają subtelne mechanizmy wpływu na obieg kultury: serwisy recenzenckie, stowarzyszenia fanów, fora dyskusyjne i cała logistyka, od zakupu biletów do teatru po organizowanie imprezy po spektaklu. Sieć z jednej strony stała czymś w rodzaju Bomby Masowego Tworzenia, umożliwiając

erupcję kreatywnej energii rzeszom twórców i amatorów spoza głównego nurtu. Z drugiej strony sieć za sprawą wspomnianych narzędzi metakultury stała się głównym instrumentem kreowania „wyjątkowości” (syngularności) wytworów kulturowej produkcji.

Wyjątkowość zaś w każdej ekonomii nadmiaru jest podstawą wartości. W kulturze epoki analogowej o wyjątkowości decydowały instytucjonalne gremia: recenzenci prasy codziennej i fachowej, dyrektorzy i kuratorzy instytucji kultury, akademicy. Ich werdykt decydował, czy książka, film lub spektakl odniesie sukces, czy też będzie katastrofą. Elementy tego systemu ciągle funkcjonują w postaci choćby przemysłu nagród kulturalnych. Literacka nagroda Goncourtów nie wiąże się z żadną premią pieniężną – wyróżniony autor może spodziewać się jednak, że sprzeda nawet miliony egzemplarzy swojej książki. System ten jednak coraz bardziej rozpuszcza się w sieci, gdzie, jak wspomnieliśmy, rola tradycyjnych autorytetów ulega erozji, autorytet ustępuje przed „clickstreamem”, czyli liczbą aktywnych odniesień do danego artefaktu kultury generowanych przez wymieszany ruch rekomendacji o charakterze profesjonalnym, amatorskim, przyjacielskim, marketingowym, a często też zupełnie przypadkowym.

Cyfrowa przestrzeń Nowych Mediów stała się poligonem, na którym spotyka się kultura epoki płynnej nowoczesności ze współczesnym kapitalizmem. Mnogość starych i nowych form kulturalnej ekspresji, energia kreatywności i kulturowej innowacyjności natychmiast poddawana jest konfrontacji z mechanizmami kreowania wartości ekonomicznej i zawłaszczania przez kapitał wartości dodatkowej. Żadne działanie w sieci, nawet subwersywne, nie jest niewinne i działa na korzyść kapitału. Wikipedia powstaje w wyniku pracy społecznej wikipedystów. Ich wysiłek z jednej strony zburzył

instytucjonalny porządek w kulturze, delegitymizując tradycyjne inicjatywy encyklopedyczne. Z drugiej jednak strony wikipedyści za darmo produkują bezcenny surowiec – słowa, które korporacje kapitalizmu semantycznego, jak Google, przekształcają w źródło zysku.

Produktywność cyfrowych Nowych Mediów nie jest jednak produktywnością samej technologii. Cyfrowe środki komunikacji amplifikują jedynie produktywność aktów komunikacji międzyludzkiej i jednocześnie umożliwiają ich ekonomiczną eksploatację. Tym samym stają się prefiguracją całego współczesnego systemu społeczno-gospodarczego, w którym kultura pełni centralną rolę. Oto bowiem kultura, jako środowisko, w którym odbywają się procesy porozumiewania się między ludźmi, a tym samym tworzenia więzi, staje się wielką fabryką.

Każdy akt komunikacji ma potencjalnie ekonomiczne znaczenie. Jak to ujmują Antonio Negri i Michael Hardt w książce „Commonwealth”, sfera ludzkich relacji komunikacyjnych (a więc kultura) staje się przestrzenią produkcji biopolitycznej: powstają w niej więzi międzyludzkie, które z kolei są źródłem wartości ekonomicznej. Tyle tylko, że w wyniku gospodarczej eksploatacji, jak pokazał to Bauman, więzi się rozpadają, aktywny obywatel przekształca w biernego konsumenta, społeczeństwo ginie. Sytuacja, w której kultura jednocześnie staje się bazą i nadbudową, to sytuacja nie tylko końca społeczeństwa, lecz także samego kapitalizmu w jego aktualnej wersji, bo dochodzi on do granicy możliwości eksploatacji.

Zygmunt Bauman daje podpowiedź, że jednym z remediów jest koncepcja państwa kulturalnego – państwa, które aktywnie tworzy ład instytucjonalny w kulturze, przeciwstawiający się katastrofalnej logice kapitalizmu semantycznego. W większych szczegółach podstawy nowego ładu, nowej ścieżki wyjścia z rozdroża, do jakiego

dotarliśmy, proponują Hardt i Negri, czy tacy ludzie jak Yochai Benkler, autor znakomitego opracowania „Bogactwo sieci”. Podstawą tego ładu musi być powrót do kategorii dobra wspólnego.

Kultura nie może być przestrzenią prywatyzacji i grodzenia, jaką jest dzisiaj. Potrzebne są instytucjonalne i prawne rozwiązania chroniące kulturę jako kluczowy wymiar przestrzeni publicznej i dobra wspólnego, bo tylko w takiej przestrzeni mogą powstawać prawdziwe więzi społeczne bez zagrożenia reifikacją i utowarowieniem. Koncepcja państwa kulturalnego sprzyjającego rozwojowi kultury jako dobra wspólnego nie oznacza likwidacji sfery prywatnej i komercyjnej w kulturze. Przeciwnie, żywa uspołeczniona sfera kultury jest warunkiem rozwoju nie tylko społeczeństwa i samej kultury, lecz także gospodarki.

Postulat państwa kulturalnego i uspołecznienia kultury jako przestrzeni dobra wspólnego nie unieważnia wcześniejszych analiz dotyczących przemian w kulturze, społeczeństwie i gospodarce. To ważne, bo wynika z nich poważne wyzwanie dla funkcjonowania instytucji kultury. Pojęcie instytucji, podobnie jak pojęcie kultury, nie ma jednej definicji. Posłużę się określeniem proponowanym przez Alaina Touraine’a, który mówi, że instytucje to sposoby, w jakie społeczeństwa organizują się, by wykorzystywać zasoby. Instytucje mogą mieć wymiar materialny, polegający na osadzeniu pewnych sfer aktywności w konkretnej przestrzeni, i niematerialny, polegający na powtarzalności pewnych praktyk.

Na skutek przemian polegających na tym, że otworzyły się nowe sposoby zarządzania zasobami, istniejące „tradycyjne” instytucje kultury stanęły przed poważnym wyzwaniem, którego najważniejszy aspekt nosi imię delegitymizacji. Arjo Klamer, pionier ekonomii kultury, przedstawił jeden z wymiarów tego problemu podczas konferencji Shortcut 2011 w Warszawie. Otóż w Holandii

rośnie liczba ludzi, którzy odmawiają opodatkowania na rzec kultury. Uważają, że kultura, podobnie jak sfera religii w Holandii, powinna być przedmiotem prywatnych decyzji i inwestycji.

Inne powody delegitymizacji zostały przedstawione w analizie zmiany cyfrowej, sprowadzają się one do erozji źródeł autorytetu instytucji, które w świecie zburzonych hierarchii muszą na nowo przekonać odbiorców do racji swojego istnienia. Stąd tak wiele uwagi poświęca się dziś w świecie kultury zinstytucjonalizowanej strategiom *audience development* – pracy z publicznością.

Jedno jest pewne, koncepcja państwa kulturalnego – gwaranta kultury jako przestrzeni dobra wspólnego – nie może oznaczać konserwacji tradycyjnego ładu instytucjonalnego, w którym państwo jest de facto sponsorem instytucji pozbawionych społecznej legitymacji. Ta ścieżka wyjścia z rozdroża jest zamknięta. Podobnie jak ślepą uliczką jest ścieżka prywatyzacji i komercjalizacji. Pozostaje trzecia droga, w której państwo kulturalne, gwarantując trwanie kultury jako przestrzeni dobra wspólnego, otwiera tę przestrzeń na społeczną aktywność i innowacyjność, pozwala na ciągły ruch w instytucjonalnych reprezentacjach świata kultury, którego podmiotem jest wielość.

Przykładem takiego sposobu myślenia może być inicjatywa Cultura Libre w Brazylii, której kluczowym aspektem były Pontos de Cultura (Punkty kultury) – otwarte miejsca ekspresji kulturowej zaopatrzone w podstawową infrastrukturę techniczną, działające w konwencji Open Source. W Polsce nadzieją na innowacje w ładzie instytucjonalnym są obywatelskie ruchy w kulturze zainicjowane w wymiarze krajowym przez Kongres Kultury Polskiej w 2009 r., a w wymiarze lokalnym przez starania polskich miast o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury. Oczywiście, istnieje ryzyko, że ruchy te zostaną

przechwycone przez grupy interesu mające na celu np. konserwację status quo lub że ich energia wygaśnie bez wywołania istotnych zmian. Taki jest jednak urok rozdroża, że wybierając nową, nieznaną ścieżkę, nie mamy pewności, dokąd dojdziemy.[7]

Pokawałkowane Ja

Żyjemy w hiperkomunikacyjnym świecie. Internet, komórki i niezliczone gadżety pomagają poruszać się po świecie atakujących zewsząd informacji oraz utrzymywać społeczne relacje, których przybywa zarówno w świecie rzeczywistym, jak i wirtualnym. Kim jest Ja – człowiek, którego codziennie rano spotykam w lustrze?

Poranny rytuał głębokiego spojrzenia w oczy własnemu odbiciu w lustrze staje się coraz mniej banalny. Kim jest ten człowiek? Jaki ma związek z osobą, jaka przeglądała się w tym samym lustrze dzień wcześniej i przed tygodniem? Najmniejszy problem z odpowiedzią miałby pewnie biolog – to co widać i pręży w samotności mięśnie, da się zredukować do nici DNA, podstawowej, niepowtarzalnej informacji o biologicznej strukturze organizmu dającej się wyrazić w 30 tys. genów – do zapamiętania wystarczy płytka CD.

Minimum minimorum nie wystarcza jednak, żeby określić człowieka jako osobę moralną – jednostkę żyjącą w społeczeństwie, widzianą jego oczami i mającą wobec tego społeczeństwa oczekiwania, lecz również obowiązki. Imię, nazwisko, PESEL, NIP, adres, wykształcenie, zawód, hobby, adres email, numer na komunikatorze internetowym, nik na Twitterze, konto na Facebooku, konto na Allegro, odciski palców, siatkówka oka – lista atrybutów opisujących tożsamość jednostki szybko rośnie, a wiele z nich nieustannie się zmienia.

W średniowieczu, by określić tożsamość człowieka, wystarczało wiedzieć, czyim jest synem i w jakiej wsi się urodził. Te proste informacje determinowały los większości jednostek na całe życie, możliwości wyrwania się ków tożsamości wynikającej z faktu urodzenia się

w określonym miejscu i określonej grupie społecznej było bardzo niewiele. Sytuację tę zmieniło pasmo rewolucji, które dały początek epoce zwanej nowoczesną.

Uporczywe poszukiwania gwarancji istnienia przez filozofa Kartezjusza otworzyły drogę do pojęcia indywidualizmu, zakładającej, że podstawowym nośnikiem tożsamości i świadomości jest autonomiczna, racjonalna jednostka. Rewolucja przemysłowa wyrwała niezliczone rzesze ze wsi i obowiązujących w nich tradycyjnych, statycznych struktur życia społecznego. Rewolucje polityczne zdemokratyzowały świat relacji społecznych umożliwiając przekraczanie barier odziedziczonego statusu, co najlepiej oddaje amerykański mit o karierze od pucybuta do milionera. Rozpoczęły się wędrówki ludów po różnych wektorach przestrzeni geograficznej i społecznej: masy biedoty ze wsi galicyjskich, włoskich, greckich i irlandzkich ruszyły na podbój nowych światów, przyczyniając się do rozwoju Brazylii, Argentyny, Stanów Zjednoczonych. Upowszechnienie systemu edukacji otworzyło ścieżki kariery, zarezerwowane wcześniej tylko dla dobrze urodzonych.

Nowoczesność zawsze jednak była niedokończoną rewolucją. Choć Karol Marks wraz Fryderykiem Engelsem pisali, że „wszystko co stałe rozpływa się w powietrzu”, w istocie „nigdy nie byliśmy nowocześni” twierdzi filozof i socjolog Bruno Latour. Nowy, pofeudalny ład społeczny szybko adaptował do swoich potrzeb najważniejsze cechy starego systemu po to, by zapewnić sobie stabilność. Przynależność klasowa okazała się dla większości ludzi równie determinująca jak w średniowieczu stanowa. Górnik rozpoczynał pracę w jednej kopalni i jeśli miał szczęście, że dożył starości, w tej samej kopalni pracę kończył przyglądając się, jak jego śladem podążają synowie. Wiktoriańska rodzina rządziła się nie mniej

patriarchalnymi, opresyjnymi regułami, niż obowiązywały w najbardziej tradycyjnej wsi.

Największym chyba jednak paradoksem okazał się rozwój indywidualizmu, odwołujący się do pokartezjańskiej, liberalnej koncepcji człowieka jako jednostki racjonalnej, Homo economicus, w trosce o swój interes konkurującej z innymi jednostkami. Marshall McLuhan, legendarny kanadyjski filozof mediów, stwierdził w latach sześćdziesiątych ub. wieku, że rozwój indywidualizmu i konkurencji doprowadził do tego, że ludzie stali się... jednakowi. Cóż, masowa konkurencja ogranicza możliwość istnienia wielkich różnic, w świecie małych różnic wszystko staje się podobne, co jednak prowadzi do niezwykłych napięć. Jak bowiem wyjaśniał Zygmunt Freud, nic tak nie napędza zabójczej rywalizacji jak „narcyzm małych różnic" – pielęgnowana nienawistnie niewidoczna praktycznie cecha pozwalająca powiedzieć, że jest się lepszym od sąsiada.

McLuhan swoje spostrzeżenie sformułował po to, żeby proklamować nadejście nowej epoki – wraz nastaniem elektronicznych mediów globalnych (właśnie ruszył pierwszy satelita telekomunikacyjny) świat stał się globalną wioską, człowiek powrócił do pierwotnej, plemiennej kondycji. Człowiek prywatny, autonomiczna jednostka, odchodzi w przeszłość, globalny człowiek plemienny to osoba kształtująca tożsamość nie w kartezjańskiej konfrontacji z własnym rozumem, lecz w relacji z innymi. Nie jestem, kim jestem, lecz jestem taki, jakim mnie widzą inni.

Przemianę źródeł współczesnej tożsamości polegającą na przejściu od Homo economicus do Homo communicans, człowieka komunikującego się, opisuje znakomicie izraelska socjolożka Eva Illouz w książce „Saving the Modern Soul" (Zbawić nowoczesną duszę). W społeczeństwie wiktoriańskim, w klasycznej nowoczesności XIX w., w jakiej

wykuwała się potęga kapitalizmu, o tożsamości jednostki decydował charakter, zespół cech będących po części skutkiem wychowania opartego na dyscyplinie, w głównej zaś mierze wynikających z właściwości naturalnych, genetycznych. Relacjami w sferze publicznej: w polityce, w miejscu pracy rządził rozum. Robotnik w fabryce miał wykonywać pracę adekwatną do jego charakteru, posłusznie i bez dyskusji realizując racjonalne polecenia kierownictwa.

I wojna światowa zmieniła radykalnie sytuację. Konieczność szybkiej mobilizacji olbrzymich mas żołnierzy, a potem walki z pobitewnymi traumami wytworzyła olbrzymi popyt na usługi nowej dyscypliny naukowo-terapeutycznej: psychologii. Psychologowie wkroczyli najpierw do koszar, po wojnie zaś do fabryk. Słynne badania Eltona Mayo w fabrykach General Electric ujawniły niezwykłą prawdę: warunkiem wysokiej efektywności pracy jest nie tylko dyscyplina, lecz także zaangażowanie emocjonalne. Nie wystarczy, żeby kierownik miał rację, musi umieć jeszcze swoje racje zakomunikować. Znaczenie charakteru zaczęło korodować, zdecydowanie na wartości zyskała empatia i zdolność do porozumiewania się.

Coś, co w okresie międzywojennym było zaskakującym odkryciem, dziś jest banalną oczywistością dla każdego poszukującego pracy. Niezależnie od stanowiska, od każdego: kasjerki w supermarkecie, sprzedawcy hamburgerów, copywritera w agencji reklamowej i prezesa banku, oczekuje się obok kwalifikacji technicznych również umiejętności nawiązywania kontaktu, pracy zespołowej i kooperacji. Emocje zostały zaprzęgnięte w służbę gospodarki, relacje społeczne (zwane też kapitałem społecznym) stały się surowcem kapitalizmu.

Z tym, że sam kapitalizm zmienił się, przechodząc w okresie powojennym wielką metamorfozę od niemal feudalnej, stabilnej struktury państwa dobrobytu do modelu

neoliberalnego, kiedy to od lat 70. ub. wieku znowu „wszystko co stałe zaczęło się rozpływać”. Etat na całe życie, stabilność zawodowa i rodzinna, niezmienność instytucji, opiekuńcze państwo, trwałe sąsiedztwo – jeszcze niedawno filary systemu społeczno-gospodarczego, dziś nie obowiązują nawet w Japonii.

Co dzieje się z tożsamością człowieka, który przeżywa metamorfozę z Homo economicus do Homo communicans i jednocześnie świat wali mu się na głowę? Z odpowiedzią spieszą uczeni. Robert Jay Lifton, wybitny amerykański psychiatra, dostrzega, że nie można już mówić o trwałej, spójnej tożsamości – współczesny człowiek przypomina bardziej Proteusza, mitologiczną postać zmuszoną do nieustannego odtwarzania siebie. Tożsamość przestaje być ekwipunkiem, jaki dostaje się od losu, rodziców i społeczeństwa na całe życie. Dla Proteusza tożsamość jest zadaniem, nie kończącym się projektem realizowanym w konfrontacji z rzeczywistością. Nie każdy daje radę wyzwaniu, stąd tyle psychiatrycznych dolegliwości, lecz Lifton i tak jest zdumiony ludzką resiliencją, niebywałą odpornością i zdolnością do ciągłej reintegracji mimo tego, że świat co chwila rozsypuje się na fragmenty.

Problem w tym, że Proteusz to Homo communicans, swój tożsamościowy projekt realizuje w relacji z innymi. Im bardziej chwieją się stare, stabilizujące świat filary, tym bardziej zależy od tych relacji. Rośnie więc ich liczba, a tym samym rośnie liczba nieustannych komunikacyjnych stymulacji – tożsamość się nasyca, stwierdza amerykański psycholog Kenneth Gergen w książce „Saturated Self ” (Nasycona tożsamość). Lifton i Gergen opublikowali swoje książki na początku lat 90. XX w. Nie mogli wówczas przewidzieć, że dwie dekady później dwa miliardy ludzi będą korzystać z Internetu, pięć miliardów z telefonów komórkowych, a najbardziej gorącą usługą w sieci staną się serwisy społecznościowe, z Facebookiem na czele. Nie

mogli przewidzieć, bo praktycznie żadna z tych usług dwadzieścia lat temu nie istniała.

Ludzka kondycja uległa dalszej transformacji, Homo communicans wkroczył w epokę hiperkomunikacji, jednocześnie stając się Homo mobilis. Mobilność rozumiana jako nie tylko możliwość, lecz konieczność przemieszczania się po wszystkich wymiarach przestrzeni społecznej, stała kluczowym czynnikiem strukturyzującym tożsamość człowieka XXI w., twierdzi brytyjski socjolog John Urry. Nieustannie przemieszczamy się w przestrzeni fizycznej, czy tego chcemy – jako turyści, czy musimy – jako pracownicy globalnej gospodarki, czy nie chcemy – jak coraz liczniejsi uchodźcy uciekający przed rozpadającym się w gruzy światem. Przemieszczamy się w przestrzeni społecznej, realizując kariery od pucybuta do milionera i na odwrót, a planowanie kariery życiowej stało się próżnym ćwiczeniem. Przemieszczamy się w przestrzeni kultury, zmieniając nieustannie swoje gusta, preferencje i wynikające stąd atrybuty. Przemieszczamy się w przestrzeni wirtualnej, zmieniając co chwila cyfrowe tożsamości. Przemieszczamy się jednak po to głównie, żeby się spotykać.

To nieprawda, że hipertrofia form komunikacji powoduje odspołecznienie jednostek, ich zamknięcie w sobie i wirtualizację relacji, przekonuje socjolog mediów z Paryża Antonio Casilli w książce „Les Liaisons numeriques” (Cyfrowe związki). Cyberprzestrzeń nie zastąpiła przestrzeni rzeczywistej, ciągle komunikacja służy do tego, co, jak zauważył Urry, w naszym codziennym życiu najważniejsze – spotykania się. Jej znaczenie rośnie jednak, bo dziś już praktycznie tylko poprzez działania komunikacyjne: esemesy, twity, komunikaty na Facebooku, można skutecznie skoordynować spotkanie ciał w przestrzeni fizycznej.

Jednocześnie cyberprzestrzeń, zauważa Casilli, stała się paradoksalnie, ostatnim bastionem kontroli własnej ucieleśnionej tożsamości. Mnogość różnych form autoprzedstawień się ludzi w sieci za pomocą różnego typu awatarów, opisów, aranżowanych fotografii nie jest żadną patologią. Skoro surowcem współczesnego kapitalizmu są nawet emocje, bo ciała już dawno poszły na przemiał w trybach przemysłu medyczno-farmaceutycznego, to ostatnim miejscem, gdzie jeszcze tli się iluzja autonomii, jest właśnie sieć. Skoro nie panujemy już nad ciałem, bo panuje nad nim rynek, to przynajmniej pozostaje jeszcze autonomiczna kontrola wyobrażenia o nim.

Co jednak z Gergenowską saturacją tożsamości? Skoro już dwie dekady temu człowiek uzyskał efekt nasycenia, jak sobie radzi dzisiaj? Radzi sobie podążając tropem, jaki wskazał pół wieku temu wspomniany już Marshall McLuhan. Wraz z nastaniem elektronicznej globalnej wioski luzie stali się cyborgami, ogniwami globalnej medialnej sieci, której węzłami są ciała i maszyny. Coraz większa liczba połączeń i relacji wymagana przez współczesne życie prowadzi do coraz większego nasycenia, jednocześnie jednak rośnie udział maszyn w kontrolowaniu tych relacji.

Maszyny i kontrolujące nimi algorytmy stają się coraz ważniejszymi pośrednikami, zwłaszcza w sytuacjach wyjątkowo trudnych. Trudno zaś chyba sobie wyobrazić trudniejszą relację niż intymny związek dwojga ludzi w epoce pełnej wolności, gdy coraz mniej kodów kulturowych podpowiada zachowania. Podarować bombonierkę czy od razu iść na całość? Ryzyko porażki niepomiernie wzrosło, niepomiernie jednak zmniejsza je odwołanie się do algorytmu: liczne serwisy randkowe gwarantują optymalne dopasowanie potencjalnych partnerów na podstawie starannie wykonanych ankiet i pomiarów. Męczące podchody można zastąpić

chwilą pracy przy komputerze, w razie ewentualnego niepowodzenia firma zwraca kasę.

Ba, jeśli jednak nawet automatyzacja w służbie relacji nie zadziała, pozostaje jeszcze „efekt robota”. Sherry Turkle, amerykańska psycholożka pracująca w Massachusetts’s Institute of Technology, jest pionierką badań nad relacjami ludzi z komputerami. W najnowszej swej książce „Alone Together” (Samotni razem) analizuje zjawisko coraz większej popularności maszyn robotów, których zadaniem jest nawiązywanie relacji emocjonalnej z człowiekiem. Proste tamagotchi, bardziej skomplikowane Furby, przez japońskie roboty opiekujące się ludźmi starszymi, po roboty seksualne, wszystkie te wynalazki mają odciążyć nasyconą tożsamość człowieka, zmniejszyć ryzyko niepewności wynikające z konieczności nawiązywania nowych relacji.

Wspomniana Eva Illouz zauważa jednak, że dochodzi do zdumiewającego paradoksu. Współczesna gospodarka coraz bardziej zależy od angażowania emocji i empatii przez pracowników na wszystkich stanowiskach, jednocześnie jednak w sferze prywatnej relacje podlegają coraz większej racjonalizacji i algorytmizacji. Człowiek, którego tożsamość nasyci się komunikacyjnie w pracy, w domu staje się robotem.

W ostatnich miesiącach pojawiło się wiele głośnych publikacji udowadniających, że Internet ogłupia ludzi i robi z ich mózgów sieczkę. Dziełem sztandarowym w tym peletonie jest książka Nicholasa Carra „The Shallows” (Płycizny). W warstwie informacyjnej Carr przytacza wyniki najnowszych badań naukowych nad przemianami, jakie zachodzą w ludzkich mózgach pod wpływem zmiany medialnej diety i wzrostu znaczenia komunikacji internetowej. Potem próbuje wyciągać konkluzje, które niestety niewiele różnią się od tego, co dostrzegł i przewidział McLuhan pół wieku temu.

To nie Internet ogłupia ludzi, nowe media są jedynie symptomem nasilania się zmian społecznych, które przenikliwi badacze dostrzegli na długo przed eksplozją nowych form porozumiewania się. Problemem jest tożsamość współczesnego człowieka. Czy jej plastyczność i odporność może być wystawiana na próbę w nieskończoność? Czy nieustannie zmieniające się społeczeństwa będą w stanie ciągle wynajdywać nowe formy redukcji nasycenia tej tożsamości bez ryzyka, że efektem tego procesu będzie zamiana ludzi w roboty? A może zamiast lamentować, należy z optymizmem przyjąć tę zmianę, tak jak dwa lata temu uczynił David Levy, autor książki „Love and Sex with Robots" (Miłość i seks z robotami). Przekonuje, że zamiast się zamartwiać, lepiej odrzucić technorasizm i otworzyć się na nowych, sympatycznych i programowalnych bliźnich. Czyż w filmie „Łowca androidów" Ridleya Scotta umierający Batty, ostatni ze skazanych na śmierć androidów, nie jest bardziej ludzki od ścigających go ludzi?[8]

Burzenie cyfrowego muru. Próba antropologii cyberprzestrzeni

Są wśród nas. Mieszkają razem z nami pod wspólnym dachem. Spotykamy je przy stole, walczymy z nimi rano w pośpiechu o miejsce w łazience i o łyżkę do butów. Nasze dzieci – jesteśmy często przekonani, że wiemy o nich wszystko. Trudno o większe złudzenie. I nie warto pocieszać się, że jak świat światem zawsze istniały międzypokoleniowe konflikty. Na współczesną sobie młodzież narzekali autorzy mezopotamskich glinianych tabliczek, Sokrates, Platon i kolejne rzesze malkontentów. Nie ma więc powodów, by dziś było inaczej. To prawda, lecz niezupełna. Na „tradycyjne" źródła podziałów międzypokoleniowych wynikających z różnicy wieku, różnic w umiejscowieniu w strukturze społecznej, różnic w dostępie do kluczowych zasobów: kapitału kulturowego, finansowego, społecznego, nakłada się dziś jeszcze różnica o charakterze zasadniczym: młodzi, nasze dzieci zamieszkują inną przestrzeń antropologiczną niż większość z nas, ich rodziców i opiekunów. Są więc nam bliscy naturalną bliskością i jednocześnie równie obcy jak plemiona zamieszkujące nieodkryte jeszcze terytoria.

Wystarczy spojrzeć na wyniki badań prowadzonych przez Ośrodek Badań Młodzieży Uniwersytetu Warszawskiego pod kierownictwem prof. Barbary Fatygi. W 2005 r. powstała „Biała Księga młodzieży polskiej. Dwie prawdy o aktywności". Wynika z nich wyraźnie, że wiedza, jaką młodzi Polacy mają o sobie, i to, co wiedzą o młodych Polakach ludzie za nich odpowiedzialni: rodzice, nauczyciele, policjanci i przedstawiciele władz publicznych

– różni się diametralnie. Dorosłym wydaje się więc (65 proc. badanych), że największym zmartwieniem młodzieży jest bezrobocie. Tymczasem tylko 10 proc. młodych w ogóle dostrzega ten problem. 39 proc. dorosłych sądzi, że zmorą młodzieży jest niska jakość relacji międzyludzkich, podobnie myśli tylko 5 proc. młodzieży. O wiele większą natomiast uwagę zwracają młodzi na kwestie uzależnień, przestępczość i niedostatki lokalnej infrastruktury.

Przy okazji też młodzi nie mają złudzeń (w przeciwieństwie do dorosłych), kto ich problemy rozwiązuje. Tylko 10 proc. młodych wymienia szkołę jako instytucję właściwie rozwiązującą ich problemy (podczas gdy aż 42 proc. dorosłych żywi przekonanie o większym znaczeniu szkoły w życiu młodzieży). Ocena władz lokalnych jest równie rozbieżna, natomiast panuje zgoda co do roli rodziny: zaledwie 8 proc. dorosłych i 9 proc. młodych uznaje „podstawową komórkę społeczną” za miejsce odpowiednie do radzenia sobie z problemami młodzieży. To obraz uśredniony, jeszcze ciekawsze wnioski ujawniają się podczas subtelnych analiz uwzględniających podziały geograficzne, wielkość ośrodków miejskich itp. W Warszawie np. tylko 6 proc. młodzieży uważa nauczycieli za ważne źródło informacji, 77 proc. deklaruje natomiast, że więcej dowiaduje się od swoich kolegów lub z Internetu.

Rezultaty szokują, bo wynika z nich, że dorośli nie mają najmniejszego pojęcia o swoich pociechach i w opisie młodego pokolenia posługują się stereotypami, częstokroć będącymi projekcjami problemów, jakie dorośli mają sami z sobą. Z wszelkich badań socjologicznych wynika, że problemem w Polsce jest jakość kapitału społecznego, czyli mówiąc prościej, stan relacji społecznych i międzyludzkich. Skoro z relacjami tymi mają kłopoty dorośli, to dlaczego lepiej mieliby sobie radzić młodzi?

Takie podejście byłoby słuszne, gdyby ciągle obowiązywał liniowy model transmisji kulturowej. Polega

on mniej więcej na uznaniu, że pokolenia różnią się, lecz różnica ta sprowadza się do tego, że i starzy, i młodzi oglądają telewizję, tylko wybierają inne programy, słuchają innej muzyki i chodzą na inne filmy do kina. Generalnie jednak wzory uczestnictwa w kulturze nie różnią się, przechodzą niejako z rodziców na dzieci. W modelu tym starzy i młodzi posługują się tymi samymi mediami i instytucjami, zamieszkują po prostu tę samą przestrzeń antropologiczną.

Problem w tym, że model ten jest już coraz mniej aktualny. Oczywiście, młodzi ciągle starają się reprodukować wzory uczestnictwa w życiu społecznym ludzi starszych, wierząc, że w ten sposób dotrą do podobnych pozycji w strukturze społecznej. Coraz częściej jednak młodzież przekonuje się, że takie strategie reprodukcji społecznej pozbawione są sensu, bo wcale nie gwarantują sukcesu.

Młodzi mogą być pewni jednego – że będą musieli spłacać długi swych rodziców i dziadków, którzy żyli przez lata ponad stan.

Nie tylko jednak zmiana perspektywy egzystencjalnej czyni dzisiejszą różnicę między pokoleniami tak przepastną. Rzeczywiste źródło fundamentalnych, antropologicznych różnic tkwi gdzie indziej. Jednym z pierwszych badaczy, którzy dostrzegli istotę problemu i spróbowali ją nazwać, był Don Tapscott, kanadyjski konsultant biznesowy i pionier badań nad Internetem. W 1998 r. opublikował książkę „Growing Up Digital” (Dorastając cyfrowo), w której ogłosił narodziny Pokolenia Sieci (Net Generation). Tapscott twierdził, że zaczyna dorastać pokolenie, dla którego podłączony do Internetu komputer jest naturalnym środowiskiem życia, tak jak dla pokolenia ich rodziców telefon stacjonarny i telewizor. Warto jednak pa-miętać, że w 1998 r. Internet dopiero zaczynał stawać się popularnym

medium. Szybkie łącza były marzeniem, nikt jeszcze nie słyszał o Google i blogach, Wikipedia miała narodzić się dopiero za kilka lat, podobnie jak Nasza-klasa.pl i inne serwisy łączące sieciowe społeczności. Dlatego książkę Tapscotta czytało się jak dobre science fiction.

Po 10 latach, w październiku ub.r., kanadyjski wizjoner opublikował pracę „GrownUp Digital" (wydana w Polsce przez WAiP jako „Cyfrowa dorosłość", Warszawa 2010), podsumowującą badania przeprowadzone na młodzieży w 12 krajach. Tapscott twierdzi, że Pokolenie Sieci stanowi już zamkniętą formację, a najstarsi jego przedstawiciele przekroczyli właśnie trzydziestkę. Kim są N-Geners, sieciowcy, czyli po prostu nasze dzieci? Czy rzeczywiście czas spędzany w sieci poświęcają pornografii, jak kiedyś stwierdził w wywiadzie Jarosław Kaczyński, były premier Rzeczpospolitej? Czy są głupsi od nas, bo zamiast uczyć się na pamięć faktów wymaganych przez szkołę, polegają na wyszukiwarce Google? Czy są aspołecznymi indywidualistami przyklejonymi do klawiatur swych komputerów i komórek? A może są złodziejami nielegalnie kopiującymi utwory muzyczne i filmowe? Albo są apolitycznymi cynikami, bo nie zapisują się do partii i organizacji społecznych ani nie czytają gazet?

Tapscott postanowił odmitologizować sieciowy świat i opisać go analitycznie, bez powielania stereotypów. Wyniki jego badań relacjonowałem w „Polityce" (nr 2/2009), oto fragment tej relacji: „Dzieci Sieci (sieciaki) różnią się zasadniczo od swoich rodziców.

Rzeczywiście, nawet jeśli oglądają telewizję, to często z klawiaturą komputera lub komórką w ręce, by na gorąco komentować i dyskutować z kolegami za pomocą internetowych komunikatorów, esemesów lub mikroblogów. W przeciwieństwie do dorosłych nie uznają logiki tradycyjnych mediów, polegającej na przekazie

jednokierunkowym. Nie chcą tylko słuchać, chcą uczestniczyć w rozmowie. Czy mają cokolwiek do powiedzenia? Mają – przekonuje na podstawie swych badań Tapscott”.

„Sieciowcy to pierwsze pokolenie globalne. Bystrzejsze, szybsze i bardziej tolerancyjne wobec różnorodności niż generacja ich poprzedników” – pisze kanadyjski badacz. I podaje przykład Marka Zuckerberga, współtwórcy serwisu Facebook. Jak wielu przedsiębiorczych Amerykanów, Zuckerberg – student Harvard University – nie miał zbyt wiele czasu na pilne ślęczenie nad książkami. Wolał szlifować szczegóły serwisu, z którego dziś korzystają dziesiątki milionów ludzi na całym świecie. Nadszedł jednak czas egzaminu z historii sztuki. Zamiast wpadać w panikę, pomysłowy student utworzył witrynę internetową, w której umieścił ilustracje dzieł sztuki będących przedmiotem sprawdzianu. Następnie zaprosił kolegów, by dzielili się informacjami i pisali pod ilustracjami, co wiedzą. W ciągu doby powstał zasób wiedzy przekraczający objętością akademickie podręczniki. Wykładowca uznał, że innowacyjny pomysł Zuckerberga lepiej sprzyja nauce niż bezmyślne wkuwanie i zaliczył egzamin.

Tapscott przekonuje, że innowacyjność to naturalny stan mentalny dzieci sieci, jedna z ośmiu cech wyróżniających to pokolenie. Poza tym ceni ono sobie szybkość, lubi rozwiązywać problemy metodą współpracy, pragnie, by praca była częścią zabawy. Wartością nadrzędną jest wolność, którą daje przestrzeń Internetu. To ona także zapewnia kontrolę nad światem – dzieci sieci nie są biernymi konsumentami, lecz prosumentami – aktywnie współtworzą produkty i usługi, tak by optymalnie pasowały do osobistych gustów, i nie rozumieją, jak ich rodzice mogą pochłaniać zuniformizowaną, przeżutą papkę dostarczaną przez medialne korporacje.

To właśnie dlatego amerykańscy przedstawiciele Pokolenia Sieci poparli masowo Baracka Obamę w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych w 2008 r. Czarnoskóry senator z Illinois dał im poczucie, że mogą współtworzyć za pomocą swych ulubionych narzędzi przyszłą politykę USA. Obama zmobilizował po swojej stronie nową sieciową opinię publiczną – *networked publics* – pokazując, że wbrew lamentom o społecznym upadku Internet jest przestrzenią bogatego życia i politycznej debaty. *Networked publics* zajmuje się nie tylko komentowaniem najnowszych gier komputerowych, lecz może być także źródłem władzy.

Podobnie jest również w innych krajach. Zapalnikiem działania jest często gniew. Tak jak w Korei Południowej latem ub.r. Lee Myung-bak, nowy proamerykański prezydent, postanowił wznowić import wołowiny ze Stanów Zjednoczonych. Urzędnicy stwierdzili, że jest już bezpieczna, a amerykańskie stada są wolne od choroby wściekłych krów. Koreańczycy nie uwierzyli i organizując się przez Internet tłumnie wylegli na ulice Seulu. Tygodnie wielotysięcznych demonstracji, setki rannych. Każdy ruch policji monitorowali reporterzy-amatorzy, nadając filmowe komunikaty za pomocą podłączonych do Internetu telefonów komórkowych.

Podobnie dwa lata wcześniej wylegli na ulice Paryża młodzi Francuzi. Nie uwierzyli rządowi, że nowa ustawa o pierwszym zatrudnieniu, zezwalająca na łatwiejsze zwalnianie z pracy, zmniejszy bezrobocie wśród młodzieży. Gdy premier ogłaszał szczegóły nowego prawa w telewizji, młodzi prowadzili gorącą debatę na 28 tys. blogów. A potem oderwali się od komputerów i pokazali, że dysponują zupełnie realną siłą. Ponadmilionowe manifestacje zmusiły władze do rezygnacji z legislacyjnych pomysłów.

W Polsce internauci zbuntowali się przeciwko próbom wprowadzenia tylnymi drzwiami cenzury sieci. Elementem

prac nad ustawą antyhazardową miał był rejestr stron i usług niedozwolonych. Opór wobec tej idei zmobilizował dziesiątki tysięcy niezadowolonych użytkowników Internetu, którzy przypomnieli, że wcześniej, w 2007 r., to ich aktywność pomogła rządzącej dziś koalicji wygrać wybory. Politycy zrozumieli lekcję – 1 marca 2010 r. podczas konferencji Polska Otwarta Michał Boni przyznał, że rząd budując pracowicie społeczeństwo informacyjne nie zauważył jego autonomicznego istnienia.

Nie tylko jednak gniew mobilizuje do działania. Przekonał się o tym Bono, wokalista zespołu U2 w Chorzowie, gdzie koncertował 5 lipca 2005 r. Gdy irlandzki artysta zaczął śpiewać „New Year Day", piosenkę napisaną w geście solidarności z Polakami po wprowadzeniu stanu wojennego, tłum widzów utworzył gigantyczną biało-czerwoną flagę, która przykryła chorzowski stadion. Bono niejedno już widział, tym razem jednak oniemiał. Inicjatorem akcji koordynowanej przez Internet był Zbych, fan zespołu U2. Na tym nie koniec, bo później zbiorowym wysiłkiem powstała koncertowa płyta wideo, zmontowana z fragmentów nagrań koncertu nadsyłanych przez internautów.

Opisy podobnych przejawów aktywności przedstawicieli Pokolenia Sieci można mnożyć w niekończącą się listę. Coraz więcej badaczy idzie śladem Dona Tapscotta i próbuje systematyzować obserwowane doświadczenia. W Polsce bezcennym źródłem wiedzy na ten temat jest „Diagnoza społeczna", wielkie badanie socjologiczne realizowane co dwa lata pod kierownictwem prof. Janusza Czapińskiego. Ważna część tego badania dotyczy sposobów korzystania z nowych technik komunikacyjnych oraz ich wpływu na inne formy aktywności: społecznej, kulturalnej, politycznej, gospodarczej. Z badań tych wynika, że wbrew popularnemu stereotypowi, że korzystanie z Internetu

„zabija” tradycyjne formy uczestnictwa w kulturze i czyni ludzi biernymi społecznie. Nic bardziej mylnego.

To prawda, że między 2007 a 2009 r. do kina przestało chodzić 14 proc. Polaków, a prawie 10 proc. zrezygnowało z zakupu prasy. Tyle tylko, że internauci rezygnowali z kupowania gazet trzykrotnie rzadziej, a z chodzenia do kina ponad dwukrotnie rzadziej niż osoby niekorzystające z Internetu. Internauci ściągający intensywnie muzykę i filmy z sieci (większość robi to, jak wiadomo, nielegalnie) chętniej chodzą do kina niż ci, którzy takim procederem się nie zajmują. A z zakupu prasy najrzadziej rezygnują ci, którzy regularnie czytają gazety w sieci. Tylko jedna forma uczestnictwa w kulturze jest pokrzywdzona przez Internet – telewizja, internauci poświęcają zdecydowanie mniej czasu na gapienie się w ekran telewizora. (Analizy z 2009 r. znalazły potwierdzenie w badaniach „Obiegi kultury” ogłoszonych w styczniu 2012 r. przez Centrum Cyfrowe Projekt Polska. Wynika z nich, że hiperaktywni internauci – ok. 25 proc. Polaków – także hiperaktywnie uczestniczą w kulturze: aż 42 proc. deklarowało, że kilka razy w ciągu roku chodzi na koncerty – średnia ogólnopolska to 16,4 proc. – 74 proc. do kina – wobec średniej ogólnopolskiej 29,8 proc.).

Potwierdzenia nie znajduje także kolejny mit głoszący, że zanurzenie w cyberprzestrzeni osłabia rzeczywiste relacje społeczne i zaangażowanie w sprawy świata. Okazuje się, że internauci są aktywniejsi społecznie, politycznie, nawet sportowo, a intensywne korzystanie z sieci sprzyja rozwojowi kontaktów w świecie rzeczywistym.

Internauci, czyli ludzie młodzi, bo upowszechnienie nowych mediów skorelowane jest z wiekiem – z sieci korzystają praktycznie wszyscy gimnazjaliści i licealiści, ich rodzice mają już z tym spory problem.

Większość badań socjologicznych, w tym także „Diagnoza społeczna” , ma zasadniczą wadę, bo bada osoby

od 16 roku życia. Dlatego cenne są badania dające wgląd w życie młodszych dzieci. W styczniu 2010 r. zostały opublikowane wyniki międzynarodowych badań zrealizowanych na zamówienie Disneya, nazwanych „Pokolenie XD”, analizujących zachowania medialne dzieci w wieku 8–14 lat. Okazuje się, że polskie pociechy należą do najczęściej korzystających z Internetu w Europie. 60 proc. z nich deklaruje, że Internet i komputery są „tak ważne, że nie jestem sobie w stanie wyobrazić świata bez nich”. To najwyższy wskaźnik w Europie, dla porównania podobne deklaracje składa jedynie 35 proc. dzieci francuskich i 39 proc. niemieckich. Dziecięca namiętność do Internetu i komputerów koreluje dobrze z aspiracjami i systemem wartości: nasze dzieci ciągle jeszcze wierzą, że lepszą przepustką do bycia popularnym jest mądrość (39 proc. pytanych) niż rozmiar biustu lub mięśni (34 proc. wskazuje na atrakcyjność fizyczną, a 32 proc. na osiągnięcia sportowe). Ciągle także największym autorytetem cieszą się mama i tata, sportowych i popkulturowych celebrytów podziwia zaledwie 5 proc. Dzieci nie mają jednak wątpliwości, że nie tylko więcej korzystają z nowych mediów niż ich rodzice, lecz także są bardziej kreatywne, szybciej się uczą i potrafią robić jednocześnie więcej rzeczy.

Wielozadaniowość, czyli z angielska multitasking, jest niezwykłą cechą związaną z kompetencjami nowomedialnymi. Doba młodego człowieka, jeśli zmierzyć ją sumą wszystkich aktywności, trwa ok. 40 godzin. Jak to możliwe, zwłaszcza gdy się odliczy czas potrzebny na spanie? Wystarczy popatrzeć na pociechy w trakcie odrabiania lekcji: jednocześnie słuchają muzyki i prowadzą rozmowy za pomocą komunikatora. Lub podczas oglądania filmu (coraz częściej na komputerze) czatują i wymieniają się esemesami.

Dość już chyba przekonywania, że dzisiejsze dzieci i młodzież różnią się zasadniczo od dorosłych. Prezentowane badania, światowe i krajowe, pozwalają na dostrzeżenie tej różnicy, uświadomienie niewiedzy. Niestety, nie wystarczają, żeby zrozumieć dokładnie, na czym polega różnica w sensie rzeczywistych praktyk kulturowych, społecznych, budowania więzi, norm, kodowania komunikacji w różnych jej wymiarach, również tym najbardziej intymnym. Socjolog i medioznawca staje bezradny ze swoim instrumentarium, polegającym głównie przecież na pytaniu badanych. A odpowiedź zależy od języka dostępnego badanemu. I tu się zaczyna problem. Młodzież zanurzona jest w rzeczywistości, jakiej dorośli nie znają, nie istnieje więc uwspólniony, skodyfikowany język. Szkoła uczy, jak włączyć komputer i przygotować prezentację w PowerPoint, nie uczy jednak takich pojęć jak nauczanie koleżeńskie. Internet to hasło abstrakcyjne, dla młodzieży nie ma Internetu, tylko są formy zachowań komunikacyjnych i konkretne serwisy. Dlatego, gdy prosić młodych, by poddali swe zachowania refleksji, stają się bezradni i często uciekają do jedynego podobnego ich światu języka, języka reklamy.

Na szczęście badacze nie są bezradni. Przekonał się o tym zespół antropologów, medio- i kulturoznawców ze Stanów Zjednoczonych, realizujących przez trzy lata projekt badawczy „Digital Youth Research” podjęty przez Fundację MacArthurów. Celem poszukiwań było zrozumienie, jak dzieci i młodzież korzystają z nowych mediów: jak się uczą, jak zmienia się ich komunikacja intymna. Badacze z pokorą założyli, że nie znają obiektu swoich badań i postanowili potraktować dzieci i młodzież jak nowo odkryte plemię. Dlatego sięgnęli po etnograficzną metodę badawczą i przez trzy lata przyglądali się dzieciom sieci, starając się jak najlepiej zrozumieć ich kulturę. Okazało się, że można wyróżnić trzy sposoby wykorzystania

nowych mediów przez dzieci i młodzież. Po pierwsze, nowa przestrzeń medialna jest obszarem konstruowania własnego świata poza kontrolą dorosłych (*hanging out*). Dzieciaki z namiętnością prowadzą szeroką działalność komunikacyjną na okrągło esemesując, konwersując za pomocą komunikatorów internetowych, wymieniając się, najczęściej nielegalnymi, plikami muzycznymi i filmami, grając w sieciowe gry komputerowe. Większość dorosłych uważa tę aktywność za stratę czasu, który mógłby być poświęcony na naukę.

Przeświadczenie to prowadzi do działań kontrolnych, polegających najczęściej na zakazach. W szkolnych pracowniach komputerowych zabrania się więc korzystać z komunikatorów, podobnie zachowują się rodzice w domach, odrywając dzieci od komputerów i pędząc je do książek. Okazuje się jednak, że ta pozornie bezproduktywna komunikacja jest podstawą zjawiska *peer learning* – koleżeńskiego uczenia się. Młodzi ludzie rozmawiając ze sobą opanowują kompetencje potrzebne im do funkcjonowania we współczesnym świecie, zupełnie odmiennym od tego, jaki wyobrażają sobie ich rodzice i nauczyciele.

Drugi obszar aktywności medialnych dzieci sieci polega na aktywnym eksperymentowaniu. Gdy już nie wystarcza sama komunikacja i wymiana informacji, rozpoczyna się samodzielna twórczość w cyfrowym świecie. Najczęściej przybiera ona proste formy: pretensjonalne blogi, kiepskiej jakości filmiki kręcone za pomocą telefonu komórkowego i publikowane w YouTube montaże prac graficznych i fotografii. To właśnie ta najczęściej marna formalnie jakość amatorskiej sieciowej twórczości jest podstawą krytyki ze strony dorosłych. Nie dostrzegają oni faktu, że twórczość ta wymaga najczęściej współpracy wielu osób. W rezultacie kreatywnej kooperacji dzieciaki uczą się podziału pracy i wyrafinowanych norm umożliwiających

współdziałanie (w Stanach Zjednoczonych sieciową twórczością zajmuje się ponad połowa nastolatków).

W końcu trzecie pole wykorzystania nowych mediów – specjalizacja. Wiele „sieciaków” odkrywa, że ma talent, że jest ekspertem w jakimś obszarze. Ktoś robi świetne grafiki trójwymiarowe, ktoś inny zna tajniki gry sieciowej, ktoś jeszcze zauważa, że bawi go programowanie. Każda pasja ma w cyberświecie swoje odwzorowanie w postaci wyspecjalizowanych serwisów integrujących wspólnoty eksperckiej wiedzy. Zaawansowani gracze łączą się w klany, programiści tworzą sieciowe stowarzyszenia, encyklopedyści mają wielką wspólnotę Wikipedii. To świat, w którym nikt nie patrzy na wiek ani na akademickie dyplomy. Liczy się tylko wiedza, ona jest podstawą miejsca w hierarchii sieciowej wspólnoty. Zupełnie inaczej niż w realnym świecie, w którym dorośli stosując przemoc symboliczną, a nieraz i fizyczną, pokazują młodym, gdzie jest ich miejsce.

Amerykańskie badania zainspirowały młodych uczonych w Polsce. Powstał projekt „Nowe Media a uczestnictwo młodych Polaków w kulturze”, sfinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a realizowany przez zespół pod kierownictwem dr. Mirosława Filiciaka, medioznawcę ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Badacze postanowili zastosować podobną metodę, jak Amerykanie w projekcie „Digital Youth Research” i ruszyli w teren, traktując cyfrowych nastolatków jak obce plemię. Dotarli do trzech polskich miast różnej wielkości i przeniknęli do społeczności licealistów. Chodzili z nimi na imprezy, do klubów, obserwowali, jak się uczą i bawią.

Wiele wniosków z Polski potwierdza odkrycia uczonych Amerykańskich. Świat młodych jest złożoną przestrzenią przecinających się relacji. To za ich pomocą realizują się dwa procesy definiujące indywidualno-społeczną

osobowość: bycie sobą i bycie razem, kluczowe dla tożsamości człowieka jako jednostki i jednocześnie istoty społecznej. Jak te procesy przebiegają w świecie kontrolowanym przez logikę mediów cyfrowych i nieustannej komunikacji? Warto sięgnąć do dziennika badaczy: „Przygotowując tę etnografię cyfrowego świata poznaliśmy siedemnastoletnią Ankę, mieszkającą w Parnie (nazwa zmieniona), dużym mieście w centralnej Polsce. Anka uwielbia filmy Wernera Herzoga. Nie ma w tym nic niezwykłego, jednak jej droga do twórczości niemieckiego reżysera była – przynajmniej z perspektywy starszych pokoleń – dość nietypowa. Zaczęło się od muzyki: Anka namiętnie słucha Davida Bowiego. Czytając w Internecie informacje o życiu artysty zwróciła uwagę na jego, jak mówi, okres berliński, gdy Bowie mieszkał w Republice Federalnej Niemiec i inspirując się niemiecką muzyką elektroniczną nagrał trzy albumy: »Low«, »Heroes« i »Lodger« (ściągnęła je w formacie mp3 z Internetu). Poszukując źródeł inspiracji swojego idola Anka trafiła na informacje o zespole Popol Vuh – CD tego zespołu pożyczyła od wujka. Zrobiły na niej na tyle duże wrażenie, że znów zaczęła szukać informacji w sieci i dowiedziała się, że niemiecki zespół nagrywał muzykę do filmów Herzoga. Teraz jest kinomanką – co nie znaczy, że spędza dużo czasu w kinie. (Zresztą w Parnie trudno by trafić na przegląd filmów Herzoga). Jest za to aktywna na forum znanego portalu filmowego, gdzie rozmawia z ludźmi, którzy oglądają więcej i lepiej niż jej znajomi. To oni polecili Ance inne tytuły Herzoga i nazwiska kilku reżyserów, których filmy ściągnęła z sieci, oglądała na ekranie komputera i zapisała na twardym dysku. Dziś to Herzog jest jej ulubionym reżyserem”. Autorzy chronią anonimowość swych „podopiecznych”, bo w sensie formalnoprawnym i zgodnie z regułami świata dorosłych istotna część codziennej społeczno-kulturowej aktywności ludzi młodych polega na łamaniu prawa (materiały muzyczne i filmowe

Anka i jej koledzy ściągają z Internetu nielegalnie). Dla młodych jednak oskarżenia o piractwo są abstrakcyjne, dla nich najważniejsze są bowiem dwie rzeczy: pasja (w tym przypadku miłość do Herzoga) pozwalająca na bycie sobą oraz dzielenie się (wymiana informacji i potrzebnych dla realizacji pasji materiałów) jako forma bycia razem.

Procesy bycia sobą i bycia razem w nasyconym mediami świecie regulują precyzyjne normy wzajemności, niewiele odbiegające w swej złożoności od reguł, jakie ujawnił Bronisław Malinowski opisując rytuały wymiany darów na Wyspach Triobranda. Nie ma zachowań bez zakodowanych w nich znaczeń. Do czego innego służy komunikacja w najbardziej popularnym serwisie społecznościowym Nasza-klasa.pl, a czemu innemu serwis Digart wykorzystywany do dzielenia się owocami ambitniejszych przedsięwzięć twórczych.

Manuel Castells, wielki badacz przemian społecznych, pod wpływem zmian technologicznych i medialnych twierdzi, że wraz ze zmianami form uczestnictwa w kulturze i przemianami praktyk społecznych za sprawą upowszechnienia cyfrowej komunikacji radykalnej zmianie uległa też przestrzeń antropologiczna. Choć ciągle zamieszkujemy te same miasta, chodzimy po tych samych ulicach, spotykamy się w kawiarniach i chodzimy do kin, to jednak użytkownik nowych mediów poruszając się po tej samej przestrzeni fizycznej posługuje się zupełnie inną metryką. Przestrzeń miejsc ustępuje przestrzeni przepływów. Uzbrojony w komórkę i Internet obywatel cyfrowego świata nie potrzebuje już miejsc w przestrzeni jako punktów koordynacji zachowań, koordynację czasoprzestrzenną zapewnia nieustanna komunikacja. Świeżo przyjęci uczniowie liceum nie czekają ze spotkaniem na pierwszy dzwonek, lecz organizują się za pomocą serwisów społecznościowych. Fizyczna przestrzeń

szkoły jest dodatkiem, częściej przeszkodą niż warunkiem skutecznej komunikacji.

Również tradycyjne pojęcie czasu rozumianego jako sekwencja wydarzeń traci sens, bo dzięki wielozadaniowości „sieciaki” uczestniczą w wielu wydarzeniach w wielu miejscach w jednej chwili. W końcu rzeczywistość jest dla nich pojęciem bardziej pojemnym, rozszerzonym o oś medialną określaną przez Castellsa mianem wirtualności rzeczywistej. Obywatele cyberprzestrzeni mają dostęp do większości doświadczeń świata za pośrednictwem mediów, czego nie ma w Google, nie istnieje – mówi porzekadło nie tak odległe od rzeczywistości.

Są wśród nas. Mieszkają razem z nami pod wspólnym dachem. Spotykamy je przy stole, walczymy z nimi rano w pośpiechu o miejsce w łazience i o łyżkę do butów. Mieszkamy obok siebie, zamieszkujemy jednak zupełnie odmienne światy. I nie wiemy tak naprawdę, co wyniknie z tych niezwykłych dzisiejszych pokoleniowych różnic. Część młodych zdradzi swoje plemię i zdecyduje się, by powtórzyć ścieżkę rozwoju swoich rodziców, mozolnie wspinając się po szczeblach struktury społecznej. Inni nie dadzą się zwieść, widząc, że ścieżkę tę coraz trudniej powtórzyć. Poza tym, nawet gdyby można, to po co? To tylko kwestia czasu, gdy na odkrywanych w ramach niezliczonych eksperymentów nowych formach uczestnictwa w kulturze i praktykach społecznych zaczną wyrastać nowe instytucje, adekwatne dla nowej przestrzeni antropologicznej. Zapowiedzi już dają o sobie znać: Linux, Wikipedia, blogi, serwisy społecznościowe. To dopiero początek fali zmian. Czy przybierze ona rozmiar tsunami? Nie wiadomo, lepiej jednak nie udawać, że nic się nie zmieniło. Jak pisał Giuseppe Tomasi di Lampedusa, żeby nic się nie zmieniło, wszystko musi się zmienić.[9]

To idzie młodość!
Na marginesie rządowego raportu „Młodzi 2011”

Zaczyna się mocno i obiecująco: „Przedstawiamy raport będący próbą diagnozy współcześnie żyjącego młodego pokolenia Polaków. Pierwszym i głównym powodem, dla którego idea takiego raportu się pojawiła, są polskie wyzwania. Zasadniczy okres przemian systemowych – transformację systemową, nasz kraj ma już za sobą, jednak reformy zbliżające nas do dzisiejszych wymiarów nowoczesności i dobrego (dobrze urządzonego) społeczeństwa do dopiero wyzwanie. […] Niniejszy raport powstał jako wyraz przekonania, że wśród zasobów, na których można opierać strategię budowy nowoczesnego społeczeństwa i państwa, znajduje się na pewno młode pokolenie. Formułujemy tezę o dużym potencjale innowacyjnym tkwiącym w młodzieży, ważnym zwłaszcza wtedy – jak podkreśla Karl Mannheim, nestor myślenia o pokoleniach jako czynniku społecznej zmiany – gdy przed społeczeństwem stoją wyzwania przeprowadzenia głębokich, gruntownych reform”.

To prawda z tym potencjałem młodzieży. Tylko że spóźniliśmy się o jakieś dziesięć lat. Nie przeżyliśmy na początku stulecia podobnej rewolucji jak w Korei Południowej, gdzie w 2002 r. duży wpływ na sprawy kraju wywalczyło sobie tzw. pokolenie 386, strukturalnie bardzo podobne do polskiego pokolenia wyżu demograficznego. O tym, że Polsce grozi utrata kluczowego zasobu rozwojowego, energii pokolenia wyżu i transformacji, mówiłem w 2004 r. na Forum na rzecz Usług

Szerokopasmowych – cóż, polscy młodzi, którzy mieli wtedy zrobić rewolucję, pakowali się i wyjeżdżali za granicę.

Porzucona generacja

Dlaczego pewnie już jest za późno? Warto uważnie i krytycznie wczytać się w rządową diagnozę pokolenia polskich młodych, czyli ludzi w wieku między 15 a 35 rokiem życia. Uwzględnienie kontekstu historycznego sprawia, że ta analiza jest jednocześnie rozliczeniem z polską posocjalistyczną transformacją. Rozliczeniem o wiele bardziej szczerym, niż to z raportu „Polska 2030" z 2009 r. Bez dymnej zasłony eufemizmów, z tekstu wyłania się obraz kraju, w którym o młodzieży po prostu zapomniano.

Brak pomysłu zastąpić miała wolność oraz obudzona przez wolnorynkowy kapitalizm pasja konsumpcji. Siły te wyzwoliły wiele pozytywnej energii. Jednocześnie jednak wycofanie się państwa ze sprawczego zarządzania sferą publiczną i jej instytucjami miało też niekorzystne skutki. Polska nie stała się krajem równych szans – już od początku transformacji zaczęła się akumulacja i lewarowanie kapitałów odziedziczonych po okresie PRL. Dzieci z rodzin o wyższym kapitale kulturowym trafiły do lepszych szkół. Szkoła zamiast uczestniczyć w aktywnym wyrównywaniu szans stała się częścią systemu, dzięki któremu w Polsce odtworzyło się społeczeństwo klasowe o stosunkowo niewielkiej mobilności społecznej.

„Tempo i skala zmian, prowadzące do wykorzeniania tradycyjnych instytucji i autorytetów, w połączeniu z niedoborami państwa »na dorobku« sprawiły, że strategia »zrób-to-sam« stała się najbardziej czytelnym sygnałem wysyłanym do młodzieży. Wycofywanie się państwa z różnych form wsparcia, wycofywanie się instytucji edukacyjnych z roli przewodnika po świecie i wycofywanie

się rodziców i nauczycieli z roli mentorów powiększyły sferę wolności, jaka pozostawała do dyspozycji młodych, ale też zrzuciły ciężar odpowiedzialności za dokonywane wybory na barki młodzieży. Syndrom »porzuconej generacji«, zdanej na własne rozstrzygnięcia i własne wybory, z jednej strony kształtuje samodzielność i indywidualizm młodzieży, z drugiej jednak grozi decyzjami nie do końca przemyślanymi i rozczarowaniami, frustracjami, prawdopodobnymi zwłaszcza tam, gdzie gotowość do podjęcia nowych wyzwań jest niewielka, a aspiracje duże" – czytamy w raporcie.

W rezultacie dzisiejsi młodzi cenią sobie barwne i ciekawe życie, odchodzą od tradycyjnych instytucji, jak małżeństwo, coraz pobłażliwiej traktują przykazania moralne utrwalone w społecznej tradycji, co wyraźnie widać w rzeczywistych, a nie w deklarowanych praktykach seksualnych i prokreacyjnych. To także pierwsza generacja, która nie odczuwa zapóźnienia technologicznego i kulturowego wobec rówieśników z Zachodu, bo ma dostęp do tych samych technologii, wiedzy i kultury. Jednocześnie jednak jest to pokolenie klepiące biedę na „śmieciowych umowach", które nie zapewniają przyszłości ani stabilizacji.

Młodzi, mimo swego hedonizmu i indywidualizmu, nie są tak aspołeczni, jak widzą to dorośli. Chętnie angażują się w różne działania społeczne i kulturowe, tylko że najczęściej poza instytucjami, na zasadzie ad hoc, z wykorzystaniem mobilizacyjnych możliwości stwarzanych przez nowe media. Są zbrzydzeni polityką i mimo chwilowego wzrostu zainteresowania wyborami w 2007 r. ta sfera życia ich nie interesuje.

Gówniarze kontra egoiści

Tak opisane (w olbrzymim, upraszczającym skrócie) pokolenia młodych mają zastąpić zmęczone już i wypalone

pokolenie Solidarności. Dokonało ono transformacji, zajęło pozycje w strukturze społecznej, opanowało większość społecznych, politycznych, gospodarczych i symbolicznych zasobów, a teraz musi znaleźć następców, którzy sfinansują im emerytury. Żeby to się udało, potrzebna jest głęboka modernizacja gospodarki i państwa, bo ze względów demograficznych odpowiednie środki uda się wypracować jedynie radykalnie zwiększając produktywność. A tę z kolei można zwiększyć tylko dzięki większej innowacyjności. Bo zasoby pracy będą maleć.

„Generacja inicjująca proces transformacji systemowej, z dużym sukcesem podejmująca wyzwania nowego ustroju, dziś coraz mniej rozumie odmienność nowych czasów i problemy młodych. Zarówno wielkość narastającej luki, jak i skala problemów do rozwiązania prowadzą do dość oczywistego wniosku, że nadszedł czas na młodych. Konieczne jest poważne potraktowanie problemów młodzieży. Niezbędna jest również wymiana pokoleniowa i oddanie pola młodym” – napisano w raporcie „Młodzi 2011”.

Słusznie. Dlaczego tak późno? Odpowiedź jest dosyć prosta – znajduję ją jednak nie w raporcie, lecz w książce Davida Willetsa „The Pinch. How the baby boomers took their children’s future – and why they should give it back” (Jak pokolenie wyżu demograficznego zabrało swoim dzieciom przyszłość – i dlaczego powinno ją zwrócić). Willets jest brytyjskim konserwatystą, w rządzie Davida Camerona pełni funkcję ministra ds. uniwersytetów. Swą książkę opublikował w 2010 r. i ma ona ciężar gatunkowy podobny do polskiego raportu. Ponieważ jednak firmowana jest przez aktywnego polityka, interpretacje socjologiczne są uzupełnione mocną, wręcz brutalną analizą polityczną. Willets pisze bez złudzeń, niemal jak krytyczny neomarksista – kto dysponuje zasobami, ten rządzi.

Autor „The Pinch” pokazuje na liczbach, jak wygląda podział brytyjskich zasobów: kontrola nad zasobami ekonomicznymi jest całkowicie skorelowana z demograficzną siłą, rządzi pokolenie wyżu demograficznego. Ono ma – ze względu na swą liczebność – siłę polityczną, a dzięki władzy nad mediami tworzy dominujący dyskurs publiczny, który odzwierciedla jego wartości i kulturę. Jeśli działa, to działa w swoim interesie. Czy to przez przypadek dyskurs neoliberalny związany jest z doktryną monetarną w zarządzaniu finansami publicznymi? Żaden przypadek, a polityczna konieczność – polityka antyinflacyjna służy ochronie zasobów tych, którzy je posiadają, a nie tworzeniu miejsc pracy. Podobnie polityka fiskalna. I polityka proimigracyjna, dzięki której Zjednoczone Królestwo dostało zastrzyk taniej dobrej pracy, m.in. z Polski.

Willets zastanawia się, jak uruchomić mechanizmy solidarności, które przełamałyby pokoleniowe egoizmy. Niestety, trudno być prorokiem w swoim kraju. Przedstawionego w książce projektu chyba nikt nie potraktował poważnie. Na brytyjskie rozruchy pokolenie wyżu odpowiedziało: „trzeba skopać d… gówniarzom, bo przeszkadzają nam robić swoje”.

Byłoby wspaniale

My pozostajemy z ważnym pytaniem: czy pokolenie Solidarności ustąpi? Co miałoby je do tego skłonić, skoro najważniejszy wniosek z opracowania jest prosty: młodzi są całkowicie zdepolityzowani, a ponieważ nie dysponują innymi zasobami poza kapitałem ludzkim, mogliby pojawić się na scenie historii jedynie na skutek mobilizacji politycznej. Tak jak zrobili to młodzi Koreańczycy w 2002 r. Udało im się, bo byli odpowiednio liczni i zdecydowali się działać, mimo że socjologiczne opisy pokolenia 386

przypominały bardzo wnioski polskiego raportu: młodzi Koreańczycy byli indywidualistycznymi hedonistami nastawionymi na konsumpcję, zupełnie pozbawionymi kontaktu ze światem dorosłych.

Prof. Krystyna Szafraniec, autorka raportu, zamiast o konieczności politycznej mobilizacji pisze o ponowoczesnym liberalizmie, który „nie absolutyzuje wartości indywidualizmu, dostrzegając war-tość, a nawet konieczność istnienia więzi wspólnotowych oraz postaw altruistycznych, charakteryzujących się poczuciem solidarności i odpowiedzialności za los innych”.

Willets podobnie definiuje swoją wizję ponowoczesnego konserwatyzmu. Widać, że wizja jest tak pojemna, że można jej przypisać każdą etykietę, bo „nieprawdą jest, że etos liberalizmu jest treściowo ubogi, pozbawiony racjonalnych podstaw i motywacyjnie słaby, czy też, że etosem społeczeństwa liberalnego jest brak etosu. Idei jest dużo, są piękne i mają odpowiednią temperaturę. To, że nie budzą one zbiorowych namiętności, ideologicznych konfliktów i nie każą ponosić najwyższych ofiar, jest ich największą zaletą, nie wadą. Byłoby wspaniale, gdyby wyzwoliły obywatelskie zaangażowanie młodego pokolenia”.

Byłoby wspaniale, jednak nie wyzwalają. Cały bowiem dotychczasowy model polskiego transformacyjnego liberalizmu polegał na depolityzacji społeczeństwa, co udało się osiągnąć ze znakomitym skutkiem. Równocześnie nie powstało u nas apolityczne społeczeństwo obywatelskie. Już w sąsiedniej Słowacji w wyborach parlamentarnych uczestniczy blisko dwukrotnie więcej uprawnionych do głosowania niż w Polsce.

Skoro nie zanosi się na to, że młodzi sami staną się aktorem inicjującym systemowe zmiany, aktorem tym musi być państwo. Oznaczałoby to, że pokolenie Solidarności ma jeszcze jedną rewolucję do wykonania i to ono powinno uwierzyć w etos ponowoczesnego liberalizmu oraz

zrezygnować z pokoleniowego egoizmu. Niestety – problem ten doskonale definiuje raport – państwo polskie ma niezwykle słabą sprawczość, a zdolności strategicznej nie ma praktycznie w ogóle. Jest przede wszystkim zestawem aparatów do redystrybucji zasobów pomiędzy aktorami faktycznie sterującymi państwem (mechanizm ten widać wyraźnie choćby w szkolnictwie).

Czy w tej sytuacji możliwy jest międzypokoleniowy sojusz? To byłaby optymalna opcja i z góry wykluczyć jej nie można. Raport „Młodzi 2011” dostarcza znakomitych argumentów za koniecznością takiego sojuszu. Nie ujawnia jednak mechanizmów (bo nie są nimi rekomendacje ani postulaty), jakie miałyby doprowadzić do synergii sił reprezentujących sprzeczne (w krótkiej perspektywie) interesy.

Lub inaczej: imponujący dokument ciągle jest zbyt płaski i zbyt nieprecyzyjny, nie odsłania przez to rzeczywistości i gubi być może najistotniejsze detale. Raport, widać to wyraźnie, powstał na skutek świadomości nadchodzącej katastrofy demograficznej. Z tego też względu skupia się na dużych grupach demograficznych. To zbyt mała rozdzielczość, by uchwycić procesy odbywające się na marginesie, mające charakter innowacyjny i różnicujący, a przez to nie mieszczące się w zgeneralizowanej statystyce. A przecież to one zazwyczaj inicjują proces zmian.

Stwierdzenie, że młodzi są indywidualistami wyznającymi ideologię konsumpcjonizmu, jest ogólnie słuszne. Mnie jednak interesuje, czy istnieją już silne grupy kontestacji tego modelu życia, zdolne do stworzenia antykonsumpcyjnej ideologii? Czy jej źródłem będą środowiska o wrażliwości lewicowej, czy może przeciwnie – czeka nas ożywienie świadomości religijnej i to w fundamentalistycznym wymiarze?

Wyjść z folwarku

W sumie po lekturze raportu wiem o młodych dużo, lecz ciągle nie wiem tak naprawdę nic. Tym bardziej że w kilku miejscach raportu wnioski formułowane są na skróty. Na przykład dowiemy się, że: „Młodzież niemająca normalnego dostępu do rzeczy, stanowiących emblematy statusu, próbowała je zdobywać przemocą lub nielegalną drogą”. Uff, to jak opis brytyjskich zamieszek w wydaniu Davida Camerona.

Niestety, podobnie jest z opisem wpływu kultury popularnej i nowych mediów na młodzież. Autorzy raportu dostrzegają fundamentalne znaczenie tych czynników, jednak analiza tego wpływu pozostawia wiele do życzenia. „Globalizacja przekazu kulturowego i eksplozja informatyczna w kolejnej dekadzie sprawiają, że luka między rzeczywistością, w jakiej swobodnie porusza się młodzież (sieć), a rzeczywistością, w której dominuje starsze pokolenie (»real«) staje się coraz większa. »Real« jest nieprzyjazny, niezrozumiały i nieautentyczny. Sieć – przeciwnie – choć wirtualna, jest namacalna, autentyczna i swojska. Jest encyklopedią, miejscem schadzek i sceną. Jest przestrzenią kreatywności młodych i jest jej własną agorą. W sieci młodzi poruszają się pewniej, w niej również budują kanały komunikacji nieporównywalne do istniejących w »realu«. Pozwalają one w dowolnym momencie dotrzeć do najbardziej odległych zakamarków świata i najbardziej odległych kultur. Zbliżają wzajemnie i niwelują różnice”.

Cóż, naprawdę dysponujemy dziś o wiele lepszymi i subtelniejszymi opisami, odnoszącymi się również do polskiej rzeczywistości. Podobne klisze dotyczą oddziaływania kultury popularnej, która to jest jednocześnie uniwersalnym środowiskiem komunikacyjnym i pofragmentowaną przestrzenią, daleką od homogenizacji,

pełną niszy, często nastawionych do siebie antagonistycznie. Pop-kosmopolityzm w kulturze popularnej walczy z pop-nacjonalizmem i nie jest to walka wirtualna. Młodzi z przyjemnością oglądają „Avatara”, arcydzieło pop-kulturowego uniwersalizmu i zagłębiają się w najbardziej egzotyczne przejawy przedwojennej myśli narodowej, szukając sensu w silnych propozycjach budowy tożsamości i wspólnotowości.

W opisach świata młodych ujawnia się dysonans dyskursywny – sytuacja, w której przedstawienia rzeczywistości dominujące w dyskursie publicznym i politycznym są hipostazami niemającymi z rzeczywistością wiele wspólnego. Szkoła, instytucje władzy i kultury na podstawie swoich wyobrażeń o potrzebach pokolenia sieci próbują doskonalić swe struktury, które niezmiennie odtwarzają schemat szczytowego osiągnięcia polskiej myśli i kultury organizacyjnej – folwarku, i próbują je dostosować do rzeczywistości, jaka nie istnieje, bo przeniosła się do innej przestrzeni antropologicznej.

Z drugiej jednak strony, przedstawiciele pokolenia sieci pozbawieni są języka na opisywanie własnych doświadczeń i odkrywanych praktyk życiowych, bo instytucje tradycyjnie odpowiedzialne za tworzenie i transmisję kodów wyjaśniających tego nie robią, bo nawet nie dostrzegają tej nowej przestrzeni i nowych form życia. W rezultacie dyskurs publiczny jest zafałszowany, bo wspólne zasoby symboli i kodów komunikacyjnych pochodzą ze słownika tradycyjnego.

Przedstawiciele pokolenia sieci pytani o wartości i sensy odpowiadają pojęciami, w jaki zaopatrzył ich tradycyjny schemat transmisji kulturowej, pojęcia te jednak nijak się mają do rzeczywistych praktyk społecznych i kulturowych.

Ten dysonans definiować będzie dynamikę rozwoju kultury polskiej przez dekadę–dwie, do czasu kiedy

dzisiejsze Pokolenie Sieci zacznie wchodzić w samodzielne życie, a dzieci jego przedstawicieli żyć już będą w tej samej przestrzeni antropologicznej co ich rodzice. Zanim jednak dojdzie do naturalnej likwidacji bariery antropologicznej, czeka nas fascynujący okres kształtowania nowej kultury. Co okaże się silniejsze: czy tradycyjne kody polskiej kultury dowiodą po raz kolejny swojej siły, podporządkowując sobie nowe praktyki społeczne i kulturowe umożliwione przez nowe technologie komunikacji? Czy również w sieci odtworzymy polski folwark, czy też może w końcu sieć pomoże przekodować polską kulturę, uwalniając ją od przekleństwa dysonansu dyskursywnego?

Oczywiście, mogę się mylić w swej interpretacji – ciągle bardzo mało wiemy nie tylko o młodych, lecz o współczesnym społeczeństwie w ogóle. Alain Touraine przekonuje, że potrzebny jest nowy paradygmat jego opisu, bo stare narzędzia są ślepe i nieme. To nie jest tylko problem poznawczy – możliwość społecznego działania zależy od społecznie tworzonej wiedzy i samowiedzy. W postideologicznym i ponowoczesnym społeczeństwie, które opisuje raport „Młodzi 2011”, rolę ideologii przejęła epistemologia. W zależności od tego, jak opiszemy relacje między ludźmi a techniką, siły determinujące gospodarkę, przekształcenia intymności i więzi społecznych, dostrzeżemy inne sposoby oddziaływania na rzeczywistość społeczną.

Dlatego czytam raport „Młodzi 2011” z optymizmem, bo zmusza do szacunku ze względu na ogrom wykonanej pracy i jednocześnie stawia wyzwanie, by odsłaniać te fragmenty rzeczywistości, które zostały w opisie pominięte lub ze względu na zastosowane narzędzia intelektualne odsłonięte być nie mogły. Tam kryje się odpowiedź na pytanie o możliwość zmiany.[10]

Przyszłość jest kobietą

Widzę dwa możliwe wyjścia z kryzysu: pierwsze, przez katastrofę, przynajmniej w Europie. Drugie, przez wynalezienie nowego życia społecznego, nie opartego już tylko na redystrybucji dochodu narodowego, lecz na afirmacji obrony praw uniwersalnych człowieka jako jedynej możliwej broni przeciwko triumfalizmowi zglobalizowanej gospodarki.

Alain Touraine, Aprèes la crise, 2010

Pokryzysowe refleksje nestora francuskiej socjologii Alaina Touraine'a nie nastrajają optymizmem. W najnowszej swej książce „Aprèes la crise" (Paris 2010) podejmuje refleksję nad światem próbującym powoli wygrzebać się z ostatniego wielkiego kryzysu gospodarczego. Ze sfery gospodarki płyną już pierwsze sygnały ożywienia, choć należy je czytać bardzo uważnie – globalny system napięty jest do granic możliwości i w każdej chwili grozi mu wejście na niebezpieczne trajektorie rozwoju. Presja polityczna podpowiada rządzącym, by sięgać po środki protekcjonistyczne: wojny na rynku najważniejszych walut i oskarżenia o celowe, proeksportowe zaniżanie wartości pieniądza; blokowanie eksportu kluczowych surowców niezbędnych dla rozwoju nowych sektorów gospodarki, by wspomnieć chińskie embargo na eksport pierwiastków ziem rzadkich wykorzystywanych w sektorach zielonych technologii.

Kryzys gospodarczy zdynamizował wiele niepokojących procesów politycznych. Mimo wielkiej kompromitacji kapitalizmu, partie lewicowe zamiast zyskiwać, tracą poparcie i władzę przejmuje prawica: Wielka Brytania, Węgry, Holandia, Szwecja, szykująca się utrata większości

w Kongresie USA przez demokratów. Zdumiewa nie tylko bezradność partii lewicowych, lecz także aktywizacja radykalnej, nacjonalistycznej prawicy, od Węgier przez Holandię po Szwecję.

Zdaniem Touraine'a, wszystkie te sygnały składają się w spójny obraz: skończyła się pewna epoka życia społecznego, „la societe n'existe plus", społeczeństwo już nie istnieje, stwierdza socjolog.

Kategorie społeczne nie są już źródłem działania aktorów: klasy społeczne, związki zawodowe, partie polityczne w coraz mniejszym stopniu odwołują się do tożsamości społecznej swych członków, rośnie natomiast znaczenie identyfikacji przez kulturę oraz znaczenie aktorów moralnych, podejmujących działanie w imię fundamentalnych, uniwersalnych zasad, jak prawa człowieka.

W rezultacie rośnie pokusa integracji rozpadającej się sfery społecznej za pomocą instrumentów czysto politycznych, odwołujących się do schmitiańskiej kategorii polityki jako mobilizacji przeciwko przeciwnikowi. Przeciwnikiem tym w Europie staje się Obcy, grożący lokalnej tożsamości imigrant. Skoro społeczeństwo już nie istnieje, to istnieć także nie może otwarte społeczeństwo wielokulturowe, przekonuje z kolei Paul Scheffer w „Drugiej ojczyźnie", wydanej przez Wydawnictwo Czarne w 2010 r. By móc przyjmować imigrantów oczekując od nich akceptacji integracji do lokalnego systemu norm i podstawowych wartości, trzeba samemu w te normy wierzyć i je stosować. Narastająca fala wrogości wobec imigrantów w Euro-pie jest symptomem znacznie poważniejszej choroby, której niejako ostateczną diagnozę stawia Touraine.

Stwierdzenie, że nie istnieje społeczeństwo, nie oznacza zaniku sfery społecznej. Przeciwnie, jest wezwaniem do jej

rekonstrukcji w oparciu o nowe zasady, skoro stare kody integracji straciły ważność. Albo je wymyślimy, albo nadejdzie katastrofa. Gdzie szukać inspiracji? Wszelkie próby rekonstrukcji sfery społecznej przebiegać muszą ze świadomością faktu, jaki ujawnił kryzys: dominacji systemu gospodarczego nad wszystkimi sferami życia. Gospodarka zupełnie się wyalienowała i zautonomizowała, podporządkowując sobie lub niszcząc innych aktorów.

Gorzej nawet, dominującą pozycję zyskał kapitalizm finansowy, który logice finansjeryzacji podporządkował enklawy gospodarki realnej. Kapitalizm finansowy stał się groźny nie tylko dla sfery społecznej, stał się zagrożeniem dla samego kapitalizmu. Touraine upatruje istotę „klasycznego" kapitalizmu w dynamicznej równowadze między kapitałem, pracą i państwem, która służyła ochronie systemu przed nim samym i wpisanymi w logikę kapitału skłonnościami do ekscesów. Kapitalizm finansowy wyzwolił się spod tej kontroli i rzeczywiście doprowadził do katastrofy. Problem w tym, że mimo jej skali nie ma w grze poważnych propozycji alternatywnych dla samego kapitalizmu. Skoro tak, to należy lekarstwa na naprawę szukać wewnątrz systemu – to znaczy w mobilizacji sił kapitalizmu realnego przeciwko dominacji sektora finansowego.

Francuski socjolog nie analizuje, jak urealnienie kapitalizmu w sensie przebudowy struktury gospodarczej mogłoby wyglądać. Można jednak zaproponować pewien scenariusz analizując zarówno strukturę działań antykryzysowych wiodących państw, jak i przyglądając się rozwojowi dyskursu o przyszłości. Dominująca część pakietów stymulacyjnych trafiła do systemu finansowego, potwierdzając tezę o jego dominacji. To, co zostało – ciągle całkiem sporo w Stanach Zjednoczonych czy Chinach – zasiliło gospodarkę realną: rozwój infrastruktury oraz rozwój nowych technologii, z naciskiem na zielone

technologie energetyczne. Tak ukształtowana struktura wydatków publicznych, a także struktura inwestycji prywatnych w rozwój nowych technologii sugerują, że przyszły kapitalizm realny będzie miał zielony kolor. Czy będzie miał on jednak wystarczającą siłę, by przeciwstawić się autonomii świata finansów?

Wraz z tym pytaniem należy wrócić do kwestii rekonstrukcji sfery społecznej, bo to od niej i rządzonych w niej wartości oraz budowanych na tych wartościach stylach życia, modelach konsumpcji zależeć będzie kultura nowego kapitalizmu. Nie wiadomo, jak będzie przebiegał proces przebudowy systemu gospodarczego w kontekście przemian społeczno-kulturowych. Jedno jest jednak pewne – czynnikiem o największym wpływie będzie wzbierająca fala umacniania się podmiotowości kobiet.

Nadchodzi świat kobiet, stwierdził Alain Touraine w fundamentalnym dziele „Le monde des femmes", opublikowanym jeszcze przed kryzysem, w 2006 r. Kilka lat wcześniej, w 2003 r., do podobnych wniosków doszli Ronald Inglehart i Pippa Norris w opracowaniu „Rising Tide. Gender Equality and Cultural Change Around the World". To bardzo ważna praca, bo odwołuje się do badań porównawczych z kilkudziesięciu krajów świata objętych systemem badań World Value Survey. Na ich podstawie amerykańscy badacze dochodzą do konkluzji, że wszystkie dotychczasowe doświadczenia pokazują, że zmiana w kierunku upodmiotowienia kobiet ma charakter uniwersalny i jest skorelowana z procesami modernizacyjnymi.

Wraz z modernizacją i rozwojem gospodarczym następuje ewolucja systemu wartości oraz podtrzymywanych w kulturze norm i praktyk społecznych. Nie oznacza to, że zmiana nastąpi szybko i automatycznie, czynniki kulturowe i religijne mogą spowalniać proces, nie mogą go jednak zatrzymać. Kryzys zdaje się potwierdzać

tezy Ingleharta, Norris, Touraine'a. W Stanach Zjednoczonych kryzysowa recesja zyskała miano he-cession, bo z 8 mln miejsc prac, jakie wyparowały z amerykańskiego rynku, zdecydowaną większość stracili mężczyźni, pisze Hanna Rosin w „The Atlantic" (July/August 2010). Tak bywało zawsze podczas głębokich kryzysów, kiedy załamywał się rynek budowlany i przemysł, zatrudniające głównie mężczyzn. Tym razem jednak prognozy pokazują, że nastąpiła radykalna zmiana.

Po pierwsze, amerykański rynek pracy nie odbuduje przedkryzysowego stanu zatrudnienia sprzed 2017 r. Na dodatek powstające do tego czasu, a także później miejsca pracy nie będą już miały męskiego charakteru. Z piętnastu zawodów o najlepszych perspektywach rozwoju w USA tylko dwa mają „męskie" charakterystyki: ochroniarz i technik komputerowy. Statystyki i opracowania pokazujące nadejście świata kobiet można mnożyć. Na początku 2010 r. zatrudnienie kobiet w USA przewyższyło zatrudnienie mężczyzn, na stanowiskach kierowniczych niższych i średnich szczebli oraz wymagających wysokich kompetencji przewaga kobiet ujawniła się jeszcze wcześniej. Mężczyźni bronią jeszcze najwyższych stanowisk w strukturze społecznej.

Już jednak guru od zarządzania przepisują podręczniki dla menedżerów. Role się odwracają. Kształtowany przez setki lat stereotyp kobiety, że posługuje się w działaniu emocjami, a nie rozumem, tak jak mężczyźni ustępuje przed odwrotną opowieścią: kryzys spowodowali napakowani testosteronem faceci trzymający w rękach sektor finansowy, wolne od takich porywów kobiety nie doprowadziłyby do takiej katastrofy. Przemiana stereotypów nie jest wcale wyrazem chwilowej mody. Eva Illouz w „Uczuciach w dobie kapitalizmu" (Oficyna Naukowa 2010) pokazuje, że kapitalizm zaprzągł emocje na swej służbie już blisko 100 lat temu, gdy do fabryk General Electric wkroczyli

psychologowie mający zbadać źródła efektywności pracowniczej. Odkrycie, że emocje są niemniej ważne niż racjonalna organizacja pracy, spowodowało, że „kobiecy" dyskurs emocjonalny zyskał prawo bytu w przestrzeni publicznej, a nie tylko w zaciszu prywatności.

Przyglądając się tej fascynującej przemianie dyskursu męskości i kobiecości należy unikać pułapki prostego psychologizmu. Po pierwsze, naukowe opowieści o płci mózgu są w dużej mierze projekcją dominujących społecznie poglądów i niekoniecznie wynikają z krytycznej analizy naukowych faktów. Po drugie, nawet gdyby psychika kobiet rzeczywiście różniła się od męskiej w sensie biologicznym, a nie w sensie różnicy wytwarzanej kulturowo, to nie wynika stąd, że kobiety będą się zachowywać w zupełnie inny sposób w podobnych sytuacjach, w jakich dziś znajdują się mężczyźni.

Dla tej analizy ważniejsze jest jednak coś innego. Jeśli rację mają Inglehart, Norris i Touraine, to również w Polsce nastąpi przemiana i władzę przejmą kobiety. W pewnych obszarach życia społecznego tradycyjnie zarezerwowanych dla mężczyzn już to się dzieje – funkcje sołtysów w Polskich wsiach, nawet w najbardziej tradycjonalistycznych regionach, przejmują masowo kobiety (stanowią ok. 30 proc. we władzach). Dokładne statystyki nie są znane, widać jednak wzrostową dynamikę. Jeśli chodzi o trend edukacyjny, to na 100 licencjatów ponad 60 przypada polskim kobietom. W 2005 r. z kolei kobiety dogoniły mężczyzn, jeśli chodzi o liczbę bronionych doktoratów. Kadry polskiej nauki w 60 proc. wypełniają kobiety. (Ale niestety tylko 20 proc. wśród profesorów – jak podaje „She Figures": http://ec.europa.eu/research/science–society/document_library/ pdf_06/she_figures_2009_en.pdf str 75).

Te statystyki należy skonfrontować z innymi: poziom zatrudnienia mężczyzn w Polsce wynosi 56,8 proc., kobiet

tylko 42,7 proc. Gdy Amerykanie w styczniu informowali, że kobiety zdominowały rynek pracy, a najbardziej zagrożeni bezrobociem są mężczyźni, w Polsce pojawiły się odwrotne komunikaty – „pierwsze do zwolnienia są kobiety" – informowała Sylwia Szparkowska w „Rzeczpospolitej" 6 stycznia 2010 r. Z kolei podczas V Kongresu Obywatelskiego w październiku 2010 r. Henryka Bochniarz, szefowa Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych Lewiatan i animatorka Kongresu Kobiet, mówiła, że jedynie 7,7 proc. stanowisk kierowniczych w pol-skim biznesie zajmują kobiety. Tych na najwyższym zaledwie 2 proc.

Z jednej strony mamy więc do czynienia z nieodwracalnym trendem społecznym, kulturowym i ekonomicznym, z drugiej zaś strony w sferze publicznej ciągle panuje męska dominacja i wynikająca stąd przemoc symboliczna (a na poziomie rodzin realna, fizyczna). Jej wyrazów można dopatrywać nie tylko w głośnym przypadku wyboru członków zagranicznych Polskiej Akademii Nauk pod koniec 2009 r., kiedy na liście zgłoszonych znaleźli się sami kandydaci. O wiele większym problemem jest to, że dokumenty dotyczące przyszłości oraz strategii rozwoju kraju i regionów przygotowują zespoły zdominowane przez mężczyzn. Również decyzje strategiczne o skutkach odczuwalnych za dekadę, dwie, gdy rola kobiet radykalnie się zmieni i wzmocni, przygotowywane są i podejmowane głównie przez mężczyzn.

W rezultacie powstają opracowania, które są gender-free, ale nie są wcale neutralne pod względem genderowym. Oczywiście uczestniczący w strategicznych pracach męscy eksperci uważają, że reprezentują wiedzę obiektywną, gender-free i genderowo neutralną. Po raz pierwszy z taką sytuacją spotkałem się w 2006 r. podczas prac nad programem Foresight Mazovia, mającym wskazać kluczowe kierunki rozwoju technologicznego dla województwa mazowieckiego. Eksperci pytani o społeczny

kontekst rozwoju stwierdzili m.in., że do najmniej efektywnych sposobów stymulowania rozwoju należy zaliczyć rozwiązania ułatwiające kobietom godzenie pracy z domem.

Henryka Bochniarz podczas Kongresu Obywatelskiego mówiła dokładnie na odwrót – należy zmieniać środowisko pracy tak, by ułatwiało godzenie obowiązków kobietom. Tylko 20 proc. Polek nastawione jest na pracę w stylu „męskim", od rana do wieczora, wykluczającym wychowywanie dzieci. 60 proc. chciałoby elastyczniejszych warunków pracy, pozostałe 20 proc. to te, które chciałyby systemu umożliwiającego łatwiejszy powrót do pracy po macierzyńskiej przerwie.

Podobnych pułapek nie ustrzegły się najbardziej awangardowe opracowania strategiczne firmowane przez ministra Michała Boniego, szefa Zespołu Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów. Pierwsze z firmowanych przez Boniego opracowań, Raport o Kapitale Intelektualnym Polski z 2008 r. Ten ciekawy dokument jest nowatorski i jednocześnie bardzo konserwatywny. Nowatorski, bo wprowadza myślenie o rozwoju w kategoriach wielopokoleniowych, wskazując na problemy związane z aktywnością intelektualną i zawodową poszczególnych grup wiekowych. Konserwatyzm tego dokumentu polega jednak na całkowitym praktycznie pominięciu kontekstu „narastającej fali świata kobiet". Jeśli, tak jak przekonują autorzy, wyzwaniem dla Polski jest stosunkowo niska jakość kapitału intelektualnego, to w świetle wiedzy o dostępnych trendach nie wystarczy uniwersalny, gender-free zestaw działań naprawczych. Potrzebne są dwa zestawy: jeden adresowany do kobiet i służący poprawie wykorzystania ich potencjału poprzez różnego typu akcje afirmatywne i pozytywną dyskryminację (np. parytet polityczny). Drugi zestaw działań powinien zaś uwzględniać, że kapitał intelektualny mężczyzn względem

kobiet będzie się pogarszał i już należy temu procesowi przeciwdziałać. Być może warto, by kampanii promocyjnej „dziewczyny na politechniki” (akcja promocyjna zorganizowana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego) towarzyszyła kampania „chłopaki na pedagogikę”.

Pozorna neutralność raportu nie jest w stanie zamaskować ukrytych założeń ideologicznych. Widać to wyraźnie w rozdziale poświęconym dzieciom, w którym czytamy: „Przykładem negatywnego oddziaływania prawa na dobrostan dzieci było wprowadzenie ustawy o świadczeniach rodzinnych w maju 2004 r., stwarzającej bodziec ekonomiczny, który przyczynił się do wzrostu liczby pozwów rozwodowych i wniosków o separację”. Dalej czytamy pełną listę konsekwencji: „gwałtowny wzrost pozwów rozwodowych i wniosków o separację w 2004 r. oraz dalszy ich przyrost w kolejnych la-tach; wzrost odsetka dzieci urodzonych w związkach pozamałżeńskich i/lub wychowywanych w rodzinach niepełnych; wzrost ryzyka patologii społecznych; wzrost zachowań autodestrukcyjnych (uzależnienia, samobójstwa) wśród młodzieży”.

Szkoda, że autorzy nie dostrzegli, że ów szkodliwy bodziec ekonomiczny nie spowodował, tylko umożliwił kobietom znajdującym się w sytuacji opresji rodzinnej ratunek, z którego skorzystałyby, gdyby np. miały łatwiejszy dostęp do rynku pracy i ekonomicznej niezależności. To jednak jeden tylko aspekt, rozpad tzw. tradycyjnej rodziny jest jednym z efektów przemian kulturowo-społecznych, w których wyrażają się pozytywne wyniki procesów emancypacji, ale które także niosą społeczne koszty. Redukcja całej złożoności zagadnienia do jednego prostego schematu wyjaśniającego zdumiewa, lecz także rzuca światło na inne wady całego opracowania.

Do ciekawych wniosków prowadzi lektura opracowania „Foresight kadr nowoczesnej gospodarki”, przygotowanego w 2009 r. na zlecenie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. Dokument ten ma być wyrazem głębokiej refleksji nad przyszłością rynku pracy. Niewątpliwie jest znacznie bardziej wrażliwy na kwestie różnic genderowych, jednak w sensie prezentystycznym. To znaczy dostrzega aktualny stan problemów związanych z niską aktywnością zawodową kobiet w Polsce i z barierami dostępu do rynku pracy, z czego wynika rekomendacja działań reformatorskich.

Niestety, opracowanie to nie zawiera jednak szerszej perspektywy polegającej na uwzględnieniu trendu „narastającej fali” i faktu, że za 10–15 lat strukturalnym problemem gospodarki będzie niska zatrudnialność mężczyzn nie tylko w wieku 50+. Opracowanie pisane z dominującej w tej chwili męskiej pozycji nie dostrzega w ogóle takiego wyzwania, dopuszcza jedynie „podciąganie taborów”, czyli wyrównywanie szans kobiet (oczywiście niezbędne w tej chwili). Krytykę raportu „Foresight kadr nowoczesnej gospodarki” kieruję także pod swoim adresem, jako że uczestniczyłem w tym projekcie i teraz dopiero przekonuję się, jak trudno podczas takich prac uwolnić się od gorsetu schematów myślowych.

Powyższe przykłady ilustrują wielkie pułapki, w jakie wpadła polska polityka rozwojowa. Niewątpliwie Polska znajduje się w historycznie najlepszym okresie, jeśli chodzi o możliwości definiowania strategicznych celów i kształtowania przyszłości. Jednak zarówno wizje tej przyszłości, jak i dziś podejmowane decyzje nie próbują w żaden sposób zmierzyć się z nieuchronną, głęboką zmianą społeczno-kulturową. Także do Polski nadchodzi „wzbierająca fala świata kobiet”. Jak wyglądałyby decyzje strategiczne, gdyby kobiety już dziś miały na nie większy wpływ, lepiej odpowiadający ich obecnemu i przyszłemu

potencjałowi? Czy z równą bezmyślnością, napędzaną chyba rzeczywiście nadmiernym wydzielaniem testosteronu, podjęłyby decyzje o wydaniu miliardów na piłkarskie stadiony? Czy raczej przeznaczyłyby te pieniądze na przedszkola i infrastrukturę kultury? Jak wyglądałaby debata o regulacjach rynku pracy? O zapłodnieniu in vitro?

Oczywiście, nie znamy odpowiedzi. Samo obsadzenie miejsc w strukturze nie oznacza szybkiej przebudowy przestrzeni normatywnej, w jakiej podejmowane są decyzje. Inglehart i Norris zwracają uwagę, że prawdziwa przebudowa tej przestrzeni następuje wraz ze zmianą pokoleniową. Kobiety pokolenia „ancien régime'u" są jego najbardziej konserwatywnym elementem. Kobiety z pokolenia zmiany najbardziej awangardową tej zmiany szpicą. Widać to po wynikającym z badań porównawczych zwrocie w lewo młodych kobiet w większości krajów objętych systemem World Values Survey, również w Polsce.

Wszystkie te rozważania prowadzą do konkluzji, że aktywne wyrównywanie szans kobiet zarówno na rynku pracy, jak i w strukturach władzy politycznej i gospodarczej jest postulatem nie tylko o charakterze równościowym. Dziś to postulat rozwojowy, od jego realizacji w dużej mierze zależy oczekiwana przez Alaina Touraine'a rekonstrukcja sfery społecznej, zdolnej do przeciwstawienia się bezkarnej autonomii kapitalizmu finansowego. Nowy, zielony kapitalizm lub wręcz nowy system społeczno-gospodarczy oparty na ekonomii zrównoważonego rozwoju wymaga nowego ducha, nowej kultury, która nadejdzie wraz z „wzbierającą falą świata kobiet". Fali tej nic nie zatrzyma. Również w Polsce.[11]

Wielość i solidarność

W życiu każdego społeczeństwa pełno jest paradoksów. Nie widać ich, gdy opisuje się fragmenty rzeczywistości, ujawniają się jednak w pełni podczas prób syntezy. Nie inaczej jest ze społeczeństwem pol-skim. Polska gospodarka należy do najmniej innowacyjnych w Unii Europejskiej, jako jedyna jednak rozwija się od blisko dwóch dekad bez recesji, pokonując na plusie ostatni nawet światowy kryzys.

W badaniach osiągnięć edukacyjnych nastolatków PISA organizowanym przez OECD Polska jako jeden z nielicznych krajów w analizowanej próbie pochwalić się może systematyczną poprawą wyników. Jednocześnie Polacy są bardzo niezadowoleni ze swojej szkoły. W wyniku posocjalistycznej transformacji nierówności społecznoekonomiczne osiągnęły w Polsce jeden z najwyższych w Europie poziomów, nie wywołuje to jednak masowych protestów. Niespełna połowa Polaków angażuje się w najprostsze formy życia politycznego, jak udział w wyborach, jednak system polityczny w Polsce można zaliczyć do najbardziej stabilnych wśród krajów posocjalistycznych.

Egzystencjalne doświadczenie paradoksu nie jest dla Polaków niczym nowym, szczególnie dojmująco doskwierało ono w okresie realnego socjalizmu, kiedy paradoksalny wymiar życia społecznego uzyskiwał rozmiary absurdu. Wybitny socjolog Stefan Nowak, by wyrazić kondycję społeczeństwa polskiego, zaproponował w 1979 r. pojęcie „próżni socjologicznej”. W klasycznym już artykule „System wartości społeczeństwa polskiego” opublikowanym w kwartalniku „Studia socjologiczne” (nr 4/1979), pisał, że w Polsce istnieją jedynie dwa wymiary organizujące życie społeczne. Z jednej strony jest abstrakcyjna wspólnota

narodowa, z drugiej sfera prywatności koncentrująca się wokół rodziny. Między tymi biegunami rozpościera się pustka, której nie wypełniają spontaniczne zachowania społeczne ani inicjatywy obywatelskie.

Piotr Sztompka relacjonuje w swej „Socjologii” (Znak 2002): „Autokratyczna i pozbawiona mocnej legitymizacji społecznej władza partii komunistycznej doprowadza (...) do wytrzebienia sfery autentycznych inicjatyw obywatelskich, spontanicznych form organizacyjnych, oddolnych przejawów mobilizacji. Zanikają wspólnoty szczebla pośredniego, mieszczące się pomiędzy formalnym i publicznym poziomem władzy czy polityki i światem prywatnym – rodziny czy grona przyjaciół, do którego ludzie chowają się coraz powszechniej przed nieakceptowanymi realiami życia gospodarczego i politycznego”.

Już jednak rok później, latem 1980 r. wybuchła Solidarność, „totalny ruch społeczny”, czyli – jak go zdefiniował Alain Touraine – „połączenie akcji związkowej oraz walki o wolne związki zawodowe z ruchem na rzecz demokracji i narodowym powstaniem”. Francuski socjolog wyjaśnia dalej w książce „Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–81” (ECS 2010, przekł. Andrzej Krasiński), że „Polska, należąca ze względu na swoją historię i kulturę do tego zachodniego świata, a jednocześnie silnie związana z radzieckim imperium, mogła zdobyć się na najpotężniejszy odruch buntu i wyraz nadziei – buntu przeciw władzy imperiów i nadziei na odrodzenie się społeczeństw, ich podmiotowości, otartej dyskusji i wolności”. Już nic o próżni społecznej, bo jej miejsce wypełnia społeczeństwo w działaniu, wyrażające się poprzez silny, lecz jednocześnie subtelny i świadomy celów ruch.

Jak to możliwe, że instrumenty badawcze nauk społecznych przeoczyły wypełnianie się próżni kłączami

więzi, które przecież nie w ciągu jednego dnia połączyły zatomizowane społeczeństwo w zdolną do działania strukturę? Nie miejsce tu na wyjaśnianie historii, przywołuję ją jednak dlatego, by mieć w pamięci podczas współczesnej dyskusji o jakości społeczeństwa i jego strukturze. Solidarność została stłumiona zamachem stanu wojennego wprowadzonego przez Wojciecha Jaruzelskiego 13 grudnia 1981 r.

W 1988 r. obawy socjologów sprzed dekady powróciły. Znowu zaczęto mówić o anomii i alienacji, pokolenie robotników 1988 nie miało już wiele wspólnego z pokoleniem Sierpnia ’80. I znowu, minął niespełna rok, by runął system realnego socjalizmu i władzę przejęło odzyskujące podmiotowość społeczeństwo. Gdy Polacy 4 czerwca 1989 r. szli na swoje pierwsze wolne wybory, w Pekinie armia krwawo rozprawiała się ze studencko-robotniczym zrywem. Jak to się stało, że niewzruszona jeszcze do niedawna autorytarna władza, wspierana przez potęgę Związku Sowieckiego, ustąpiła przed społeczeństwem, które nie miało przecież wtedy dostępu do tych wszystkich rewolucyjnych technologii, jak Internet, Facebook, Twitter, telefonia komórkowa, tłumaczących sukcesy rewolucji 2011 r. w Tunezji i Egipcie?

Znowu jednak mniej interesuje mnie historia, a bardziej nurtują tezy głoszone przez wielu współczesnych badaczy polskiego społeczeństwo. Janusz Czapiński, znakomity psycholog społeczny, inicjator wielkich, realizowanych od dekady cyklicznych badań „Diagnoza społeczna”, twierdzi, że nie mamy w Polsce społeczeństwa, a tym bardziej nie istnieje społeczeństwo obywatelskie. Tak mu wychodzi z prowadzonych przez siebie badań, co z kolei doskonale zgadza się z przywoływanymi wcześniej historycznymi studiami Stefana Nowaka: „W Polsce jest próżnia socjologiczna. Istnieją dwa podmioty: naród, który ma charakter wirtualno-moralny, nie sprawczy, oraz wspólnota

pierwotna, czyli rodzina. Między nimi jest pustka: sąsiad nie ufa sąsiadowi, współpasażer współpasażerowi w autobusie. Jak tego współpasażera będą bili, nie będzie interweniował, bo wychodzi z założenia, że będzie sam – biedny Don Kichot – wygłupi się, jeszcze sam oberwie, bo inni się nie ruszą" (cytat pochodzi z portalu NGO.pl).

Teza Czapińskiego jest podwójnie niepokojąca. Po pierwsze, ujawnia istotny paradoks: jak to jest możliwe, że tak liche społeczeństwo, czyli mówiąc bardziej współczesnym językiem, jak zbiorowość o tak niskim kapitale społecznym może nie tylko w ogóle istnieć, lecz także się całkiem nieźle rozwijać. Bo przecież te same badania Czapińskiego i jego „Diagnoza społeczna" pokazują, że Polakom żyje się coraz lepiej i coraz bardziej zadowoleni są z życia (w przeciwieństwie choćby do malkontentów Francuzów). Ten paradoks wyjaśnię za chwilę.

Niepokojący jest wszakże drugi aspekt tezy Czapińskiego. Otóż próżnia społeczna w Polsce, zgodnie z pierwotną koncepcją Nowaka, była w głównej mierze skutkiem działania opresywnej władzy uniemożliwiającej rozwój struktur społeczeństwa obywatelskiego. Pro-sty stąd wniosek, że zmiana systemu władzy na opartą na wolności demokrację uwolni drzemiący potencjał, którego spektakularnym przykładem była erupcja Solidarności w 1980 r. i wybuch wolności w 1989 r. Realny socjalizm i dyktatura nie istnieją już od dwóch dekad, a społeczeństwa obywatelskiego jak nie było, tak nie ma.

Janusz Czapiński radzi sobie z pierwszym paradoksem dość dobrze, odwołując się do ewolucyjnej teorii rozwoju. Zgodnie z nią, polski system społeczno-gospodarczy jest jeszcze na takim etapie zaawansowania, że dla jego sprawnego funkcjonowania wystarczą proste zasoby: dostęp do kapitału fizycznego, praca, kapitał ludzki i psychologiczny. Dostęp do kapitału fizycznego otworzył się

wraz z kapitalistyczną transformacją gospodarki po 1989 r. i napływem inwestycji zagranicznych. Dodatkowym impulsem stała się oczywiście integracja europejska i wzmożony napływ funduszy strukturalnych po 1 maja 2004 r.

Niezwykle ciekawym obszarem jest także przemiana świata polskiej pracy, zarówno w sensie strukturalnym, jak i aksjologicznym. Niezwykle istotnym aspektem ruchu Solidarności w 1980 r. była refleksja nad pracą i jej etyką. Józef Tischner, filozof i kapłan katolicki pełniący funkcję kapelana NSZZ Solidarność, mówił, że polska praca jest chora. W fundamentalnym dla ruchu opracowaniu „Etyka solidarności" ufundował podstawy nowoczesnej etyki pracy odwołującej się do filozofii dialogu i etyki daru. W tym samym czasie, we wrześniu 1981 r., papież Jan Paweł II ogłosił encyklikę o pracy „Laborem exercens".

Diagnoza o chorobie polskiej pracy była jak najbardziej słuszna. Główną zasadą etyczną kierującą pracownikami była dyrektywa: „czy się stoi, czy się leży, tysiąc złotych się należy". Codzienny język wypełniały idiomatyczne zwroty określające patologiczne zachowania związane z pracą. Na początku lat 80. nie wiadomo było wszakże, czy choroba polskiej pracy jest (podobnie, jak twierdzono wówczas, brak społeczeństwa obywatelskiego) wynikiem jedynie opresywnej struktury społecznej, czy też może wynika z głębszych uwarunkowań kulturowych. Pierwsze badania z początku lat 90. nie wyglądały zachęcająco. Na pytanie: „Zakładając, że masz wystarczająco dużo pieniędzy, czy nadal chciałbyś pracować?", 48 proc. respondentów odpowiadało tak, ale nie więcej niż 2 godziny dziennie. Tylko 11 proc. stwierdziło, że dobrze byłoby pracować w pełnym wymiarze czasu. Inne badania prof. Krystyny Skarżyńskiej ujawniły, że tylko 26 proc. młodych ludzi w wieku 20–22 lata uznawało, że „praca jest dobra dla ich rozwoju", podczas gdy 60 proc. twierdziło, że „nie lubi się

spieszyć, nie nadaje się do życia w konkurencji, nie lubi pracować zbyt ciężko, nie ma wygórowanych ambicji”.

A potem stało się coś niezwykłego, w ciągu dekady Polacy stali się narodem pracoholików. Nie dość, że należymy do najdłużej pracujących narodów świata (z wyjątkiem niepokonanych Koreańczyków z Korei Płd.), to jeszcze masowo przyjęliśmy system wartości, który nazwałbym „protestancką etyką pracy”. Badania European Vaues Survey, oparte na ankietach z połowy pierwszej dekady XXI wieku, pokazują, że Polska może pochwalić się najwyższymi wskaźnikami etyki pracy, stawiającymi pod tym względem polskich pracowników przed pracownikami czeskimi, słowackimi czy też holenderskimi i niemieckimi.

Tę gwałtowną przemianę sfery normatywnej, przynajmniej w zakresie etyki pracy, porównać można jedynie z gwałtownością przemian na polskim rynku pracy wystawionym pod koniec 1989 r. na falę transformacyjnego tsunami. Zaordynowana przez Leszka Balcerowicza 1 stycznia 1990 r. terapia szokowa polegała na szybkim przejściu od gospodarki koordynowanej centralnie do wolnorynkowego kapitalizmu otwartego na świat. Transformacyjny szok (pogłębiony przez upadek rynków Związku Sowieckiego i rozsypującego się systemu socjalistycznego) spowodował upadek wielu przedsiębiorstw i uruchomił mechanizm produkcji bezrobocia.

Warto pamiętać, że w pierwszych latach transformacji „wyparowały” w Polsce miliony miejsc pracy. Część bezrobotnych, zwłaszcza z grup zawodowych najbardziej niebezpiecznych politycznie, zneutralizowano oferując przejście na wcześniejsze emerytury i renty. Mniej szczęśliwi zasilili rezerwową armię pracy. W najgorszym okresie początku XXI wieku armia ta liczyła 20–21 proc. osób zawodowo czynnych, a bezrobocie stało się trwałym elementem krajobrazu społecznego (istnieją w Polsce

powiaty, gdzie bezrobocie utrzymuje się niezmiennie od początku transformacji na poziomie przekraczającym 30 proc.).

Przyglądając się tym statystykom można łatwo ulec pokusie hipotezy, że przemiana etyki pracy w Polsce jest wynikiem brutalnej presji ze strony rynku i pracodawców. Rzeczywiście, badania prowadzone przez Krystynę Skarżyńską pokazują, że Polacy pracują ciężko, bo się boją utraty zatrudnienia i szefa tyrana. Jednocześnie badania nad kulturą polskich organizacji prowadzone przez Janusza Hryniewicza ujawniły, że w Polsce w nowej rzeczywistości społeczno-gospodarczej odtworzył się po raz kolejny wzorzec kulturowy folwarku. W swym książkach „Stosunki pracy w polskich organizacjach" (Scholar 2007) i „Polityczny i kulturowy kontekst rozwoju gospodarczego" (Scholar 2004) bada wpływ kontekstu historycznego na życie gospodarcze i kulturę organizacyjną stwierdzając, że w Polsce dosyć trwale ustabilizowała się folwarczna kultura organizacyjna, która zaczęła rozwijać się w XVI wieku wraz z podziałem Europy na zachodni i wschodni kompleks gospodarczy. Folwark stał się wówczas naszym oryginalnym wkładem do kultury gospodarczej jako instytucja ekonomiczna mająca sprostać strukturze przepływów w ramach ówczesnej, pierwszej globalizacji. „Folwark powstał w XVI w. i zwany był wówczas wolnarkiem. Była to autonomiczna wobec państwa i gospodarki całość, cechująca się domknięciem na poziomie właściciela relacji władzy politycznej, administracyjnej i sądowniczej. Jako organizacja gospodarcza wolnark był quasi przedsiębiorstwem rolnym, w którym właściciel miał wobec pracowników pełnię władzy administracyjnej (stanowienie rozporządzeń dotyczących dowolnych sfer życia) i sądowniczej. Od strony socjologicznej, była to typowa organizacja całościowa nastawiona na regulację zachowań personelu w pracy i w życiu osobistym. Domknięcie granic

wolnarku jako organizacji całościowej datować można na 1543 r., kiedy to przyznano właścicielowi prawo do sprzedaży chłopów niezależnie od gruntu, który uprawiali”.

Kultura folwarczna związana była z charakterystycznymi cechami zachowań dzielonych przez pracowników (fornali, dziewki służebne) i kierownictwo. „Folwarczna kultura organizacyjna doprowadziła do utrwalenia dwóch odmiennych typów zachowań pracowników i kierownictwa folwarku. Po stronie właścicieli kierowników mieliśmy nieskrępowaną władzę i świadomość decyzyjności nieograniczonej przepisami, po stronie chłopów wykształcił się etos wymuszonego lub zinternalizowanego posłuszeństwa, w połączeniu z brakiem poczucia odpowiedzialności i zapotrzebowaniem na szczegółowe instrukcje w pracy i opiekę kierownika poza pracą. Kulturę folwarku wzmacniała instytucja pańszczyzny, która wprowadziła de facto niewolnicze relacje w środowisku pracy i quasi-totalitarną organizację społeczną obejmującą blisko 90 proc. społeczeństwa Rzeczypospolitej”.

Z najnowszych badań Hryniewicza wynika, że folwarczne kody regulacji instytucji nadal obowiązują w przeważającej liczbie organizacji i są upowszechnione nie tylko wśród osób o niższym statusie edukacyjno-społecznym. Nawet w grupie pracowników z wyższym wykształceniem ponad połowa oczekuje m.in., że nie będzie musiała w miejscu pracy wykazywać się inwencją, a szef powie, co należy zrobić.

Wśród polskich pracowników dominuje afiliacyjno-obronny model motywacyjny, tzn. cenią oni sobie najbardziej pewność pracy, dobrą organizację, dobre stosunki ze współpracownikami i kierownikami, szacunek. Oczekują oni ciepłych emocjonalnie relacji koleżeńsko-rodzinnych, nisko natomiast cenią osiągnięcia indywidualne – są one akceptowane tylko pod warunkiem,

że nie naruszają nieformalnych hierarchii prestiżu, utartych opinii. W takim środowisku innowacje są tępione.

Folwarczny styl myślenia charakteryzuje także kadrę menedżerską. Najmniej rozpowszechnionym stylem kierowania w polskich organizacjach jest styl demokratyczny, angażujący pracowników w analizę problemów i podejmowanie decyzji. Z takim stylem ma do czynienia zaledwie co piąty pracownik. Wśród szefów dominują postawy wodzowskie, autorytarne lub w najlepszym przypadku biurokratyczne. Kierowanie wodzowskie odwołuje się do dyskrecjonalności, jest emocjonalne i mało przewidywalne. Co gorsza, pracownikom generalnie odpowiada taki styl kierowania.

Dotychczasowa analiza pokazuje, że sposób myślenia Polaków o życiu społecznym określa praca i stosunki w miejscu pracy, jeśli tę pracę się już posiada. Stosunki te mają wyjątkowo aspołeczny charakter. W organizacjach polskich takie relacje są skutkiem odtworzenia funkcjonalnej, najwyraźniej folwarcznej struktury i kultury organizacyjnej. Niestety, niewiele lepiej dzieje się w przedsiębiorstwach o kapitale zagranicznym, które wprowadziły do Polski postfordowską ideologię miejsca pracy odwołującą się do idei elastyczności i autonomii pracownika na fordowski sposób organizacji pracy, oparty na bezwzględnej dyscyplinie i posłuszeństwie, tyle że opartym nie na możliwości odwołania się do przemocy, lecz zapośredniczonym przez różnorakie procedury kontroli produkcji i jej jakości. Utrata podmiotowości w miejscu pracy pokrywa się z utratą podmiotowości obywatelskiej, pokazują autorzy badań relacjonowanych w opracowaniu „Polacy pracujący a kryzys fordyzmu”, jakie powstało pod redakcją prof. Juliusza Gardawskiego. Otóż jednym ze skutków transformacji posocjalistycznej i wyboru „terapii szokowej” jako sposobu reformy gospodarki była faktyczna marginalizacja klasy robotniczej jako klasy

rewolucyjnej, decydującej najpierw o wybuchu Solidarności w 1980 r., a potem o procesie prowadzącym do Okrągłego Stołu i wyborów 4 czerwca 1989 r.

Co ciekawe, marginalizacja ta nastąpiła z pełnym przyzwoleniem robotniczych elit, w ramach swoistej transformacyjnej wymiany zasobów: samorządność w zakładach pracy (wielka zdobycz Solidarności roku 1980) za wolność polityczną i demokrację, pozycje w nowej strukturze politycznej za pewne miejsca pracy, kariery związkowe za szanse w biznesie. W efekcie solidarność klasowa osłabła, „Klasa robotnicza przestała być klasą »silną« w rozumieniu teorii klasowych i większość jej członków zaczęła się dystansować od instytucji klasowych, nie była gotowa ich bronić”.

Jednocześnie jednak pustki po dawnej strukturze społecznej nie wypełniły instytucje społeczeństwa obywatelskiego, wbrew nadziejom, że pojawią się one automatycznie wraz z powiewem wolności. To prawda, że wraz z nastaniem demokracji szybko zaczęło przybywać organizacji społecznych: stowarzyszeń i fundacji, ten organizacyjny entuzjazm trwał jednak tylko do 2000 r., od tego czasu liczba organizacja społecznych ustabilizowała się, a uczestnictwo w nich plasuje Polskę na odległym miejscu w europejskich rankingach. Jednocześnie badania prof. Edmunda Wnuka-Lipińskiego i dr Xymeny Bukowskiej nad rozwojem społeczeństwa obywatelskiego w Polsce ujawniają, że ponad 70 proc. Polaków odczuwa brak sprawstwa w życiu publicznym. 21,6 proc. mieszkańców Polski jest całkowicie biernych (bezpodmiotowych). Przeciwstawieństwem dla nich jest 24,4 proc. osób aktywnych i w pełni korzystających ze swej podmiotowości. Najciekawsza jest jednak grupa tzw. dziwnych uczestników. Liczy ona połowę społeczeństwa, a jej członkowie uczestniczą w formach życia społecznego i politycznego, jednak nie na zasadzie korzystania ze swej podmiotowości,

lecz raczej z pobudek konformistycznych lub na zasadzie uczestnictwa w spektaklu.

Wnioski Wnuka-Lipińskiego i Bukowskiej potwierdzają badania relacjonowane przez Gardawskiego, poświęcone pracy i środowiskom pracy: „Polacy pracujący są wciąż zbiorowością o słabej tkance organizacji obywatelskich, rzadko tworzą własne organizacje, rzadko uczestniczą w istniejących organizacjach, co więcej, w większości deklarują niechęć do takiego zaangażowania".

Coraz częściej jednak pojawiają się sygnały, że fordowski system organizacji pracy (a tym bardziej oryginalny polski, folwarczny) staje się coraz mniej funkcjonalny. Na Zachodzie postfordowska transformacja gospodarki, premiująca postawy elastyczne, dynamiczne, afirmujące częste zmiany i konieczność nieustannego rozwijania kompetencji, trwa już od dłuższego czasu. W połowie pierwszej dekady XXI wieku fala postfordowskich zmian zawitała także do Pol-ski, a ostatni kryzys tylko powinien ją przyspieszyć. Oto uśredniony portret polskiego świata pracy uchwycony w chwili intensyfikacji modernizacyjnych przemian: „Większość deklarowała chęć podnoszenia kwalifikacji, gotowość do długiej pracy, więź z zakładem pracy i ze społecznym środowiskiem pracy. Połowa deklarowała chęć bezpiecznej pracy na etacie w zakładach uzwiązkowionych. Jedna trzecia była gotowa podjąć pracę na własny rachunek, zaryzykować wzięcie kredytu na stworzenie lub rozwinięcie własnej firmy. Postawy otwarte wyrażało około 40 proc. respondentów, a około 30 proc. – postawy autorytarne, ksenofobiczne, punitywne. Gdy pytaliśmy o zadowolenie z zarobków, 30–40 proc. odpowiadało pozytywnie. Ogólnie ujmując, z badań Polaków pracujących, przeprowadzonych w 2007 r., wyłania się obraz ludzi usatysfakcjonowanych lub zaadaptowanych. Osoby sfrustrowane stanowiły mniejszość – około jednej piątej badanej zbiorowości".

To obraz społeczeństwa jednocześnie ubiernionego, ciągle pozbawionego poczucia sprawczości z wyłaniającym się jednak wyraźnie potencjałem działania, zmiany. Jeśli rację mają współczesne tezy o istniejącej w Polsce próżni społecznej, to wówczas zmiana będzie miała charakter co najwyżej społecznego dostosowania do przemian indukowanych przez rynek pracy i przemiany stosunków pracy wynikające z postfordowskiej transformacji. Mogą, lecz nie muszą one doprowadzić do istotnych zmian w strukturze społecznej, w której ciągle dominować będą „dziwni uczestnicy".

Historyczne lekcje 1980 i 1989 roku uczą jednak, że robione metodami socjologicznymi fotografie mogą gdzieś gubić rzeczywistą dynamikę społeczną, mogą nie dostrzegać tworzących się nowych więzi, instytucji i struktur działania oraz nowej podmiotowości i sprawczości. Oto kilka tylko przykładów miejsc w owej próżni, gdzie wyłania się nowe życie społeczne.

Janusz Czapiński sam dostrzega w swych badaniach, że jednym z kluczowych kapitałów, który umożliwił dotychczasowy rozwój Pol-ski i jej gospodarki, jest systematycznie rosnący kapitał ludzki, czyli mówiąc prościej – poprawiające się wykształcenie Polaków. Międzynarodowe testy porównawcze osiągnięć edukacyjnych piętnastolatków PISA pokazują, że w ciągu ostatniej dekady znacznie poprawiły się kompetencje polskiej młodzieży, stawiając ją w szeregu rówieśników z krajów znacznie bogatszych, jak Szwajcaria, Szwecja czy Holandia. Na obowiązkowym gimnazjum młodzi Polacy jednak nie kończą, masowo decydując się na dalszą edukację – odsetek podejmujących studia na uczelniach wyższych stawia Polskę w europejskiej czołówce.

Taka struktura aspiracji rozwojowych wśród młodzieży jest jednocześnie źródłem optymizmu, jak i obaw, które ujawniły się już w analizach sprzed pięciu lat. Na

tradycyjny już problem bezrobocia ludzi młodych (blisko 25 proc.) nakłada się brak pracy dla absolwentów szkół wyższych (pracy nie może znaleźć ok. pół miliona absolwentów). Presję ich frustracji częściowo rozładowuje od 2004 r. możliwość szukania pracy w innych krajach Unii Europejskiej. Kryzys jednak osłabił chłonność zagranicznych rynków pracy i nie poprawił też chłonności w Polsce. Pozostaje więc pytanie, jakie strategie zaczną realizować młodzi Polacy wykształceni znacznie lepiej niż ich rodzice?

Czy usuną się w apatię, czy też przeciwnie, zaczną odkrywać własną podmiotowość i tworzyć nowe struktury działania, wykorzystując nowe kompetencje komunikacyjne związane z rozwojem nowych mediów? Czy można wykluczyć w Polsce Solidarność 2.0? Niekoniecznie w wariancie, jaki nastąpił w Tunezji i Egipcie, wszak być może dla artykulacji roszczeń nowej generacji i nowych aktorów społecznych wystarczą kanały komunikacyjne społeczeństwa demokratycznego?

Ciekawym przykładem takiego poszukiwania nowych form podmiotowości i działania jest proces zainicjowany nieopatrznie przez polski rząd pod koniec 2009 r. podczas prac nad tzw. ustawą antyhazardową. Elementem nowego prawa kontrolującego sferę hazardu miał być rejestr usług i stron niedozwolonych, wprowadzający de facto cenzurę Internetu (prewencyjne wyłączanie stron o zakazanych z punktu widzenia prawa treściach). Rządowy projekt wywołał błyskawiczną reakcję środowisk internetowych, zdominowanych głównie przez ludzi młodych, którzy pokazali, że potrafią wypracować wspólne stanowisko niebędące wyrazem partykularnych interesów, lecz wyraża interes publiczny.

Akcja wywołała reakcję, premier Donald Tusk spotkał się z… I tu właśnie pojawia się istotna kwestia definicyjna. W pierwszym odruchu media pisały o spotkaniu rządu

z internautami. Sami jednak przedstawiciele strony społecznej podkreślali, że są obywatelami korzystającymi z Internetu, a nie mitycznymi internautami. Różnica niby niewielka, jednak istotna, bo pokazuje proces budowania samoświadomości potencjalnego nowego ruchu.

Ruchu, bo choć po pierwszym kontakcie władzy z nowym aktorem społecznym nastąpiła dłuższa przerwa (po drodze miała miejsce tragedia 10 kwietnia 2010 r.), jednak obywatele korzystający z Internetu przypomnieli o sobie ponownie, gdy 4 marca 2011 r. Sejm przyjął rządowy projekt ustawy implementującej unijną dyrektywę o multimedialnych usługach audiowizualnych. Strona społeczna ponownie dopatrzyła się zagrożenia dla podstawowych wolności i zorganizowała protest. Skuteczny, bo premier doprowadził do poprawki w ustawie, a następnie spotkał się z protestującymi. Spotkanie to zainicjowało systematyczną współpracę rządu i strony społecznej, której przedmiotem ma być opiniowanie aktów prawnych dotyczących szeroko rozumianych kwestii społeczeństwa informacyjnego.

Tworzy się więc nowa instytucja na styku władzy politycznej i społeczeństwa, które upodmiotawia się nie tworząc jednak tradycyjnych struktur społeczeństwa obywatelskiego: w rozmowach z rządem uczestniczy struktura sieciowa podobna do kłącza, skupiająca zarówno przedstawicieli organizacji społecznych, zawodowych, jak i niezależnych aktywistów – blogerów pełniących ważne funkcje w sieci. Ujawnienie się tego aktora przed rokiem i jego ponowna aktywizacja powodują, że przedstawiciele władz politycznych odkrywają konieczność otwarcia na stronę społeczną nie tylko za pomocą tradycyjnych, rytualnych narzędzi dialogu społecznego, lecz również nowych form umożliwianych przez nowe techniki komunikacji, w paradygmacie Open Government.

Innym przykładem poszukiwania nowej podmiotowości jest niezwykle ciekawy proces trwający w sferze kultury, zainicjowany jesienią 2009 r. Endemicznym problemem polskiej sfery publicznej są media publiczne ulegające ciągłej degradacji. Destrukcja ta jest wynikiem zupełnej niezdolności klasy politycznej do zaproponowania odpowiednich rozwiązań prawnych.

Czara goryczy się przepełniła, gdy na skutek politycznych machinacji na czele telewizji publicznej stanął człowiek związany z organizacjami skrajnie prawicowymi. Wówczas w środowiskach kultury narodziła się idea powołania Komitetu Obywatelskiego Mediów Publicznych, który miał przygotować społeczny projekt ustawy o mediach publicznych. Komitet zyskał legitymację do działania podczas Kongresu Kultury Polskiej, zwołanego przez ministra kultury we wrześniu 2009 r. Kongres ten, który w założeniu miał być forum promocji osiągnięć rządu w dziedzinie kultury, stał się wbrew intencjom organizatorów katalizatorem procesu społecznego, który wymknął się spod politycznej kontroli.

Obok uchwały o powołaniu wspominanego Komitetu Obywatelskiego Mediów Publicznych Kongres przyjął uchwałę domagającą się zwiększenia nakładów na kulturę z budżetu państwa. Obie inicjatywy z czasem zamiast wygasnąć, zaczęły nabierać rozpędu, przekształcając się w ruch Obywatele Kultury, domagający się od rządu przyjęcia Paktu dla kultury. Sam Pakt definiuje zobowiązania władzy publicznej wobec rozwoju kultury, promocji uczestnictwa i upowszechniania dostępu do kultury. Jego inicjatorzy wychodzą z założenia, że uczestnictwo w kulturze jest warunkiem rozwoju kompetencji demokratycznych i obywatelskich, od niego więc zależy jakość zarówno demokracji, jak i przyszły rozwój społeczno-gospodarczy.

Idea paktu zyskała poparcie prezydentów największych polskich miast, stała się także przedmiotem negocjacji ruchu Obywatele Kultury z rządem, który podpisał Pakt 14 maja 2011 r. W procesie tym ważnych jest kilka elementów. Po pierwsze, sam proces tworzenia się nowego aktora społecznego – podobnie jak w poprzednim przypadku sieciowej struktury skupiającej różne podmioty indywidualne i zbiorowe, zdolnej jednak do podmiotowego działania w imię interesu publicznego. Po drugie, poszukiwanie nowej formuły i instytucjonalizacji dialogu między władzą a społeczeństwem. Po trzecie, oddziaływanie na przestrzeń dyskursu i praktyki sprawowania władzy na różnych jej poziomach.

Do słownika debaty publicznej wróciły znowu takie pojęcia jak interes publiczny, poważnie mówi się o spójności społecznej i konieczności zmniejszania różnic ekonomicznych, a także o konieczności walki z różnymi wykluczeniami – od ekonomicznego przez cyfrowe po kulturowe. Tematy te nie umierają, gdy kończy się debata, lecz przenikają następnie do państwowych dokumentów strategicznych, nad którymi właśnie pracuje rząd.

Należy wspomnieć o jeszcze jednej bardzo ciekawej inicjatywie – Polskim Forum Obywatelskim, które próbuje odbudować w Polsce sferę publiczną w jej klasycznym, habermasowskim wydaniu, czyli jako miejsce debaty klasy średniej o ważnych sprawach publicznych. PFO organizuje Kongresy Obywatelskie, w których bierze udział ponad tysiąc uczestników z całej Polski, przedstawicieli wszystkich środowisk – od biznesu po tradycyjną polską inteligencję, by debatować o stanie państwa, edukacji, jakości demokracji.

Sceptyk stwierdzi być może, że wspomniane inicjatywy (a także inne, tu nieopisane) funkcjonują na marginesie społecznego życia, angażują energię zapaleńców nie zmieniając jednak rzeczywistości, rozwijającej się ciągle

w społecznej próżni. Mnie znacznie bliższa jest jednak intuicja, że wszystkie te procesy, nawet jeśli marginalne i efemeryczne ze względu na swój często sieciowy charakter, są symptomami poważnego socjotwórczego procesu. Składają się nań przemiany w sferze kultury, decydujące o definiowaniu jednostkowych i zbiorowych tożsamości; w sferze edukacji; w gospodarce; w technologii; w sferze demografii. Efektu tego procesu nie jesteśmy w stanie przewidzieć, prowadzić on na pewno jednak będzie do ujawniania w Polsce nowych form podmiotowości. Oby również inspirujących, jak Solidarność roku 1980.[12]

Zamiast zakończenia

Politycy żyją w przekonaniu, że sprawują władzę nad realną rzeczywistością. Wpatrzeni w wyniki sondaży i statystyki, drżą ze strachu lub oddychają z ulgą na każdą zmianę wysokości słupków poparcia. Uczeni i analitycy żyją w przekonaniu, że ten realny świat opisują produkując kolejne tomy statystycznych opracowań. Wynika z nich, że Polacy są całkiem szczęśliwi, że nie ufają sobie ani instytucjom, że faktyczne bezrobocie jest mniejsze niż oficjalnie meldowane przez Główny Urząd Statystyczny. Statystyki GUS nie budzą już jednak takich wątpliwości, gdy Urząd składa kolejne meldunki o PKB, potwierdzające krzepiącą opowieść o Polsce, Zielonej Wyspie.

Trudno przyczepić się do statystycznego obrazu Polski i Polaków. Wyłania się z niego kraj transformacyjnego sukcesu. Oczywiście, nie brakuje mankamentów – niski kapitał społeczny, brak zaangażowania w życie obywatelskie i polityczne, beznadziejnie słabe uczestnictwo w kulturze. Zawsze jednak mogło być gorzej, wystarczy popatrzeć za wschodnią granicę. Lub choćby na Grecję. Więc cieszmy się z tego, co mamy. Wszak przybywa stadionów, orlików, akwaparków, muzeów, oper, kilometrów autostrad. Żyjemy dłużej i lepiej, należymy do Unii Europejskiej i NATO, jesteśmy regionalnym mocarstwem, przodujemy na kontynencie w produkcji elektroniki, sprzętów gospodarstwa domowego, mebli i okien, żywności przetworzonej i świeżych owoców. Młodzież zawsze mogłaby być lepsza, lecz w sumie jest grzeczna, chętnie i pilnie się uczy, może mało angażuje, ale też i nie sprawia kłopotów. Kraina opływająca mlekiem i miodem, krzywdzona zawsze przez historię, w końcu może cieszyć

się wolnością, demokracją, niepodległością i powoli, lecz systematycznie rosnącym dobrobytem.

Trudno kłócić się ze statystykami, to najważniejsze dostępne przybliżenie społecznej rzeczywistości. Przybliżenie jednak zbyt gruboziarniste, jak pokazałem w rozdziale analizującym raport „Młodzi 2011”. Zapewnia dokładność wystarczającą w czasach spokoju, zawodzi w czasach kryzysu i zmiany. Zmiany powstają na marginesach statystycznego błędu, rodzą się w głowach negujących normę wynikającą z uśrednienia. Powstają więc pomysły, często zbyt egzotyczne, by przebić się do głównego nurtu debaty publicznej podtrzymywanej przez masowe media. Ktoś wpadnie na przykład na pomysł, żeby poświęcić czas i pieniądze na powrót do lepszej historii, do czasów, gdy prawdziwi mężczyźni walczyli o honor z mieczem w ręku. W ciągu kilku lat marginalna inicjatywa przekształca się w gigantyczne zjawisko angażujące setki tysięcy ludzi.

Czy warto jednak zajmować się poważnie grupami rekonstrukcji historycznej, czyli ludźmi biegającymi w pieczołowicie odtworzonych zbrojach lub mundurach? Warto, bo ci ludzie traktują to bardzo poważnie. I nie są to dzieci, lecz prokuratorzy, lekarze, przedsiębiorcy, studenci – przedstawiciele tak ważnej przecież dla przyszłości kraju klasy średniej. Mówią sami, że mają już dość przaśnego polskiego grilla, realna polska rzeczywistość uwiera, jest zbyt wirtualna, zbyt trudno uchwytna i niedostępna, prawdziwe życie zaczyna się w średniowieczu lub na polach bitwy warszawskiej.

Nie uciekają w marzenie, swe marzenie o prawdziwym, lepszym życiu dosłownie wykuwają szykując blachy pancerzy. Grupy rekonstrukcji to wielka fabryka kapitału społecznego, by użyć języka socjologów, kapitału, którego tak bardzo brakuje w rzeczywistości statystycznej. Fabryka nie jedyna. Fandom fantasy, czyli miłośnicy fantastyki

z podobną pieczołowitością jak współcześni rycerze odtwarzający rynsztunek szturmowców Imperium z „Gwiezdnych wojen”. Kolejne tysiące ludzi samoorganizujących się, by zbudować kawałek świata, w którym mają autonomię i nad którym sprawują kontrolę. A liga cybersportu? Jakieś 100 tys. ludzi organizujących swój czas i życie wokół rozgrywek w gry komputerowe.

Ba, Tomasz Rakowski, lekarz i etnograf w jednym, ujawnia w swych badaniach niezwykłe oazy kreatywności i innowacyjności w miejscach, które nie mają prawa istnieć. Biedaszyby w Wałbrzychu, wsie popegeerowskie i inne obszary wykluczenia. Wnikliwy badacz zamiast patologii dostrzega tam niezwykłe przejawy samoorganizacji. Tyle tylko, że na jej uwznioślenie nie ma miejsca – wykluczeni nie są ludźmi sukcesu, nie są też wyborcami, nie mieszczą się w radosnej opowieści o sukcesie transformacji, nie pasują także do opowieści towarzyszącej, o nieuniknionych kosztach przemian.

Pokazują bowiem, że potrafią zmierzyć się z realnym życiem, strzegąc swojej godności. Inny badacz i animator, Wacław Idziak, pokazuje działaniami we wsiach pod Słupskiem, że wystarczy uznać tę godność, zdjąć stygmat nieudacznika, włączyć do wspólnoty przez zaangażowanie w kulturze, by obszar wykluczenia stał się przestrzenią intensywnego życia społecznego.

W końcu młodzi, główni bohaterowie protestów przeciwko ACTA. Swą przestrzeń autonomii odzyskali dzięki Internetowi, bo w realnej rzeczywistości nie ma dla nich miejsca. Kolejne miejsca są „modernizowane” i kolonizowane: przaśne boiska ustępują przed nowoczesnymi orlikami, odrapane sale sportowe znikają zastąpione „wypasionymi” halami. Statystyki się cieszą, młodzi mniej, gdy odkrywają, że dostępu do ich, jak im się wydawało, przestrzeni strzeże cieć. Wszak wpakowano

w nową infrastrukturę tyle kasy, że strach wpuścić młodych bez kontroli. Jeszcze coś popsują.

Świat coraz bardziej zaczyna przypominać Warszawę, miasto poszatkowane zamkniętymi osiedlami, gdzie przestrzeń publiczną w imię walki z przaśnością sprywatyzowano. Gdy piszę te słowa, ważą się losy skłotu Elba, jednego z ciekawszych miejsc na kulturalnej mapie stolicy. W czym problem, pyta jednak prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz? Przecież w mieście nie brakuje miejsc w noclegowniach dla bezdomnych.

Trudno o lepszy przykład autyzmu władzy próbującej kontrolować świat, który coraz bardziej kontroli się wymyka. Im bardziej jednak ten świat się oddala, tym kontrola staje się ściślejsza. I mniej skuteczna. W odpowiedzi powstają nowe formy podmiotowości, które zaskakują nawet wytrawnych badaczy, by przypomnieć charakterystyki liderów „actawistów". Kim oni są: nowoczesnymi patriotami czy zalążkiem przyszłej faszystowskiej falangi, a może zwykłymi oportunistami? Mogą być wszystkim, bo są samoformującym się tworzywem wypełniającym dostępną przestrzeń rzeczywistości. Od tej właśnie rzeczywistości zależy, jakiego kształtu nabierze dość ciągle bezkształtna masa.

Statystyka jest tu bezradna, bo w ogóle jest bezradna wobec sieci. Tą rządzi inna dynamika, szczęśliwie coraz więcej na ten temat wiemy. Szkoda tylko, że tak niechętnie z tej wiedzy w Polsce korzystamy, tkwiąc ciągle w kategoriach nadających się do opisu społeczeństwa przemysłowego. Coś się wydarzyło i coś się dzieje. Tej dojmującej świadomości nie zasłonią ani statystyki, ani arogancjaignorancja władzy. Coraz więcej osób pyta, czyje są miasta? Czyja jest przestrzeń publiczna? Czyje jest państwo? Coraz większej rzeszy nie wystarcza już przaśny grill i ciepła woda, to było dobre dekadę temu, na czas wytchnienia po najtrudniejszym etapie transformacji.

W końcu na ulicę wychodzą młodzi, by z dziecięcą naiwnością odważyć się i krzyknąć: król jest nagi!

Bo rzeczywiście, ci młodzi są żywym dowodem „the biggest market failure", największej klęski ideologii wolnego rynku i polskiego realnego kapitalizmu. Przez lata przy pomocy swych rodzin inwestowali w siebie, podejmując lepsze i gorsze studia, takie, na jakie było ich stać i jakie oferował rynek. Przez lata zachęcaliśmy ich do tego. Dziś oni nie mają pracy, a gospodarka mimo tak gwałtownej poprawy kapitału ludzkiego jak była nieinnowacyjna, tak nadal tkwi w tym stanie. Rynek, jak mówi teoria, zapewnia optymalną alokację zasobów. W tym przypadku zawiódł zupełnie, prowadząc do katastrofalnego marnotrawstwa zgromadzonego takim wysiłkiem i trudem kapitału. To nie rynek jednak jest winny, tylko ludzie, którzy ochoczo powierzyli mu swoje obowiązki.

Jak podczas każdej bańki inwestycyjnej, gdy drobni ciułacze w końcu tracą, zyskują spekulanci, sprzedawcy papierów dłużnych bez pokrycia – bezwartościowych dyplomów wyższych uczelni, ewangelizatorzy modernizacyjnego cudu, obwoźni handlarze intelektualnej tandety, wędrowni dystrybutorzy bullshitu. By jednak przypomnieć intuicję cytowanego wcześniej Harry'ego Frankfurta: wszyscy mieliśmy tego świadomość, wszyscy w tym uczestniczyliśmy. Bańka pękła, bullshit się rozlał, musimy posprzątać. Udawanie, że nic się nie wydarzyło, nie odświeży atmosfery. Buntu sieci nic nie powstrzyma.

Zapraszam do dyskusji: www.buntsieci.pl

[1] Tekst w pełnej wersji został opublikowany w „Krytyce Politycznej” (19/2009)

Powrót

[2] Równolegle tekst ten ukazał się w magazynie „Miasta” wydawanym przez Instytut Przestrzeni Publicznej (2/2012)

Powrót

[3] Edwin Black, *IBM i Holocaust*, tłum. Piotr Budkiewicz, Warszawa 2001

Powrót

[4] Edward Luttwak, *Turbokapitalizm*, tłum. Ewa Kania, Wrocław 2000

Powrót

[5] Fragment książki autora *Zatruta studnia*, W.A.B., Warszawa 2002

Powrót

[6] Tekst został opublikowany w magazynie „Opcje”, nr 1/2010.

Powrót

[7] Tekst powstał w grudniu 2011 r. na zamówienie Nowego Teatru w Warszawie

Powrót

[8] Tekst został opublikowany w wydaniu specjalnym „Polityki” „Sztuka Życia” (nr 5/2011)

Powrót

[9] Tekst powstał na podstawie wykładu wygłoszonego 20 listopada 2009 r. podczas V Sympozjonu „Warto zapytać o kulturę” w Ciechanowcu i opublikowanego w tomie „Warto zapytać o kulturę” (Białystok-Sejny 2010). Spotkanie zorganizował Urząd Marszałkowski Województwa Podlaskiego i Ośrodek Pogranicze z Sejn.

Powrót

[10] Tekst powstał w odpowiedzi na raport „Młodzi 2011” Michała Boniego i został opublikowany w pełnej wersji 30 sierpnia 2011 r. w serwisie „Krytyki Politycznej”.

Powrót

[11] Tekst został opublikowany w 2010 r. w zbiorze „Kobiety na »zielonej wyspie«. Kryzys w Polsce z perspektywy gender” pod red. Anny Czerwińskiej, Zofii Łapniewskiej i Joanny Piotrowskiej wydanego nakładem Fundacji Heinricha Boella i Fundacji Feminoteka.

Powrót

[12] Pełna wersja tekstu została opublikowana w magazynie „OstEuropa” (nr 5–6/2011)

Powrót